

P. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/246

1968



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

G. HERLING-GRUDZIŃSKI : **PRAGA I WARSZAWA**

J. CZAPSKI : **WYRWANE STRONY 1965**

ZEBRANIE WARSZAWSKICH LITERATÓW

29.2.1968

MANIFEST LIPCOWY — GOMUŁKA 1956-1957

SPIS RZECZY

Adam Sutkowski:	<i>Sprawy muzyki polskiej (2)</i>	3
Paweł Hostowiec:	<i>Bolesław Miceliński</i>	15
Józef Czapski:	<i>Wyrwane strony 1965</i>	19
Z. S. Siemaszko:	<i>Spotkanie z Mackiewiczem</i>	43



Maciej Gruby:	<i>Plaża</i>	55
Andrzej Lubelski:	<i>Konsument to ja</i>	65

WIERSZE

Bułat Okudźawa:	<i>Podróż drożką po nocnej Warszawie</i> ..	73
Henryk Grynberg:	<i>Dziedzictwo</i>	74
" "	<i>Aż do końca</i>	75
" "	<i>Nasz Pacyfik</i>	76

OBSERWATORIUM

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Praga i Warszawa</i>	78
----------------------------	-------------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Ewolucja czy rewolucja</i>	83
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	91

K R A J

—	<i>Zebranie warszawskich literatów</i>	99
Leopold Tyrmand:	<i>W rok później</i>	107

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

—	<i>Manifest Lipcowy</i>	114
—	<i>Gomułka 1956/1957</i>	119

KRONIKA KULTURALNA

Józef Gidyński:	<i>Czesław Znamierowski</i>	124
Paweł Hostowiec:	<i>Wspomnienie o przyjacielu</i>	130
—	<i>Komunikaty</i>	132

K S I Ą Ż K I

Adam Czerniawski:	<i>Sumienie poety</i>	134
Andrzej Chciuk:	<i>Pierwsza książka o Schulzu</i>	137
Magdalena Czajkowska:	<i>Sex dla kolekcjonerów</i>	140
Benedykt Heydenkorn:	<i>Dobra robota</i>	142
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	144



J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	146
------------	----------------------------------	-----



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	154
--------------	----------------------------	-----



Z. Dubnowa-Erlichowa, G. Herling-Grudziński, K. Wędgolski:	<i>Listy do Redakcji</i>	157
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień - Avril

1968

INSTYTUT



LITERACKI

NOTY BIOGRAFICZNE

Dr Józef Kazimierz GIDYŃSKI, adwokat Nowojorskiej Izby Adwokackiej, b. członek Izby adwokackich w Warszawie i Poznaniu, b. Sekretarz Generalny Polskiego Instytutu Socjologicznego w Poznaniu.

Henryk GRYNBERG, ur. w r. 1936 we wsi Radoszyna, pow. Mińsko-Mazowieckiego, syn wiejskiego kupca. W r. 1942 rodzice wraz z nim uciekli przed załadowaniem na transport do Treblinki. Po rocznym ukrywaniu się po lasach i chłopskich zagrodach otrzymał wraz z matką „aryjskie papiery” na nazwisko Krzyżanowski. Ojciec zginął w r. 1944. W latach 1945-1954 mieszkał w Łodzi, gdzie ukończył gimn. im. Kościuszki, po czym wstąpił na Wydz. Dziennikarski Uniw. Warszawskiego, który ukończył w r. 1958. W r. 1959 zdał egzamin magisterski. W tymże roku zaczął występować w Państwowym Teatrze Żydowskim, a jednocześnie wydrukował we „Współczesności” pierwsze opowiadanie „Ekipa Antygona”. Pod tymże tytułem ukazał się w 1963 tom jego opowiadań w PIW-ie. W 1964 wydał tomik wierszy pt. „Święto Kamieni” w PAX’ie, a w r. 1965 opowieść „Wojna żydowska” w Czytelniku. Za tę książkę otrzymał nagrodę im. Kościelskich w r. 1966 w Genewie. Radio Wolna Europa uznała „Wojnę żydowską” za drugą książkę roku (1966) po „Austerii” J. Strykowski.

Jesienią 1967 r. przyjechał z Teatrem Żydowskim do New Yorku i tam już pozostał.

Najserdeczniej dziękujemy za nadesłanie nam egzemplarzy „Kultury”: p. Wallace W. Witkowskiemu (McLean, Va., USA), za nry 8/25 z 1949 r. i 1/51 z 1952 r.; p. Arturowi Klott de Heydenfeldtowi (Paryż) — za nry 1 1947, 4 i 5 z 1948 i 3/20 z 1949 r.; i p. W. Pajorowi (Don Mills, Ont. Kanada) za nry 5 z 1948, 2/40-3/41 1949 i 1/51 z 1951 r.

WPLATY NA FUNDUSZ „KULTURY”

Hanna Gutkowska, Arleta, Cal. (USA), po raz drugi	F. 14,70
Wallace A. Witkowski, McLean, Va. (USA), po raz drugi	F. 45,00
Czytelnik z Polski	F. 67,50
Tadeusz i Irena Orscy, Long Island City, N.Y. (USA), dla uczczenia pamięci drogiego przyjaciela, dra Józefa Obrębskiego ..	F. 97,00
C. Fabierkiewicz, Toronto, Ont. (Kanada), po raz drugi	F. 9,00
Inż. Zbigniew Szpikowski, Willowdale, Ont. (Kanada), po raz ósmy	F. 54,00

DZIĘKUJEMY!

Imprimé en France

Sprawy muzyki polskiej (2)

Historię polskiej muzyki, jak zresztą i całej kultury, cechuje brak ciągłości. Jest to też niewątpliwie jednym z jej słabych punktów — tradycja tworzona w ciągu wielu pokoleń ginie na okres kilku następnych, każąc kolejnej fali przyływu zaczynać od punktu niemal zerowego.

Oczywiście zjawisko to nie jest wyłącznie polską specyfiką — powtarza się ono także w dziejach kultury wielu innych krajów Europy, tak jednak gwałtowne i długotrwałe przeskokki od okresów bogactwa do ubóstwa, od ożywionego nurtu twórczości do jej niemal całkowitego wygasania spotykamy w podobnym stopniu chyba jedynie w kulturach iberyjskich.

Obserwacja i analiza tego zjawiska legły u podstaw jakżeż bardzo sugestywnej „historiozofii kultury” José Ortega y Gasset’a*, leży jednak ono również u podstaw polskiej współczesnej twórczości muzycznej, będąc w pewnej mierze źródłem jej możliwości wolnego wyboru i jednocześnie także wielu jej słabości.

Z potrzeby nawiązywania do tradycji i jednocześnie jej niestannego tworzenia zdawali sobie sprawę wszyscy niemal wybitni twórcy, szczególnie w okresie dojrzałości — po wyczerpaniu młodzieńczego zachłyśnięcia sobą. Nawet tak skrajny indywidualista jak Karol Szymanowski szukał w końcu źródeł tradycji polskiego stylu w historycznej pracowni Zdzisława Jachimeckiego czy etnograficznej Adolfa Chybińskiego. Że budowanie własnego stylu w oparciu o tradycję jest drogą twórczą dowiodło wielu kompozytorów tej miary co Janaček, Bartók czy Kodaly, nie mówiąc już o kompozytorach krajów tradycyjnie wiernych tej zasadzie, jak chociażby kompozytorzy francuscy.

Wprawdzie dziedzictwo Szymanowskiego jest dziś bardzo kontrowersyjne, będąc, co gorsza, od dawna przedmiotem zakłamania okolicznościowo-laurkowej krytyki, pozostaje jednak fak-

* José Ortega y Gasset — „Meditaciones del Quijote”.

tem, że to ono właśnie ponownie wyprowadziło polską muzykę na tory aktualności.

Oczywiście podstawowym warunkiem „*sine qua non*” jest dziś dokonanie oceny tego dziedzictwa bez uprzedzeń i kierowania się jakimikolwiek racjami postronnymi. Pierwszego wyłomu w „zgodnym współbrzmieniu komplementów” (co gorsza coraz bardziej rozmiągających się z oczywistym faktem zejście muzyki Szymanowskiego z międzynarodowego forum) dokonał w ubiegłym roku Stefan Kisielewski w swym studium otwierającym rocznicowy (trzydziesta rocznica śmierci kompozytora) numer „Ruchu Muzycznego”. Niegdy chybą nie napisano o Szymanowskim tyle autentycznej, po prostu mądrej, prawdy.

Kisielewski nie zawahał się mówić wręcz o „amatorstwie” Szymanowskiego, o jego ambicjach przekraczających możliwości ich realizacji, a równocześnie o niewątpliwym geniuszu zrealizowanym w części, o znakomitych pomysłach muzycznych rozproszonych w wielu utworach. Pełne ukazanie ich to niewątpliwie jedno z zadań polskiego środowiska muzycznego możliwe jedynie drogą selekcji i ukazania z twórczości Szymanowskiego tego co jest w niej niewątpliwie wielkie unikając jednocześnie ekspozowania utworów chybionych. Jednak chociażby ostatnie sukcesy „Króla Rogera” w Teatrze Wielkim świadczą, że owe „rozsiąne perły” są wystarczająco liczne aby przywrócić muzyce Szymanowskiego miejsce na które z pewnością zasługuje.

Dokonany w ostatnich latach renesans muzyki Leoša Janáčka (kompozytora którego umiejętna akcja prowadzona przez czeskich muzyków zdołała upowszechnić w tej mierze, że dziś należy on do najpopularniejszych „klasyków XX wieku”) dowodzi realności działania w tym kierunku. Nieobecni w końcu nigdy nie mają racji...

Niezależnie więc od jej późniejszych losów twórczość Szymanowskiego spełniła istotną historyczną rolę wprowadzając za życia kompozytora, po raz pierwszy od czasów Chopina, polską muzykę na estrady i sceny zagraniczne. Do niej więc musieli się faktu nawiązywać (drogą jej afirmacji lub przeciwnie, opozycji) kompozytorzy okresu międzywojennego. Waleru kontrowersyjności nie utraciła ona także dla niektórych kompozytorów ostatniego okresu (B. Schaeffer).

Wiele więc orientacji w muzyce okresu międzywojennego wiąże się z pozytywnym lub też negatywnym oddziaływaniem Szymanowskiego. M.in. jak gdyby powielonym odbiciem jego osobistych tendencji była powszechna dążność do „światowego sukcesu”, do „wyjścia z zaścian”. Cele te okazały się w wielu wypadkach złudne. Droga Bartóka czy Strawińskiego prowadziła z pewnością do celu, ale nie droga Szymanowskiego szukającego dróg do kariery od młodości aż po krótki niestety okres krystalizacji „siebie samego” poprzez upodabnianie się do innych aż do „kalkowania” (w najbardziej jaskrawych wypadkach) ich wzorów.

Oczywiście sytuacja startujących wówczas nie była łatwa... Z jednej strony silna i wysoce prowincjonalna „konserwa”, stojąca w ostrej i bezkompromisowej opozycji w stosunku do Szymanowskiego („wykańczanie” nie jest w Polsce bynajmniej wynalazkiem „socjalistycznej rzeczywistości”), z drugiej on sam, daleki od ideału przywódcy awangardy.

Jak zwykle w podobnych wypadkach, w sukces przyszło wyjście zewnętrzne w postaci pielgrzymek do Paryża i „terminowania” w szkole Nadii Boulanger. To właśnie, szczególnie dla „nawieściwszych”, okazało się fatalne. „Szkola” ta skutecznie odcięła polską muzykę od kierunków reprezentujących istotne perspektywy przyszłości spychając ją na mielizny jałowego „neoklasycyzmu”. W szczególnie jaskrawych wypadkach (Spisak, Bacewiczówna, częściowo Szałowski) spełnienie jego formułkami inwencji niewątpliwie utalentowanych kompozytorów przekształciło się w manieryzm umożliwiający wprowadzić seryjne niemal produkowanie utworów, ale jednocześnie powodujący niemożność wyjścia z zaczerpniętego kręgu wciąż tych samych, okrągłych „galijskich” formułek tematycznych i klasycyzujących konstrukcji formalnych.

Większość kompozytorów, tych nawet którzy mieli się zeń wkrótce wyzwolić, wyszła z tego okresu z neoklasycznym balastem i z nim rozpoczynała nowy, powojenny rozdział historii.

Okres wojny jakkolwiek nie był bynajmniej jałowy (powstało w nim w stosunku do okoliczności wiele utworów), z natury rzeczy nie sprzyjał poszukiwaniu nowych rozwiązań. Wydaje się jednak, że w pewnej mierze sprzyjał odejściu od rygorystycznego „neoklasycyzmu” tych przynajmniej, którym za ciasną była jego konwencja.

Okres bezpośrednio powojenny, „presocrealistyczny” (1945-49) był niewątpliwie momentem krótkotrwałej, ale błyskotliwej „eksplozji twórczości”. Następujący bezpośrednio po nim cios „socrealizmu” musiał być tym dotkliwiej odczuty. Okazał się fatalny zwłaszcza dla startujących w momencie bezpośrednio go poprzedzającym.

Przypomnienie tych wydarzeń nie jest tu oczywiście celem samym dla siebie. Pozwala ono na dokonanie prawidłowej periodyzacji, na odnalezienie momentów mających istotny wpływ na kształtowanie postaw i stylu twórczości.

Kompozytorów naszego stulecia, tych oczywiście, którzy należą doń swym stylem a nie jedynie chronologią biografii, podzielić możemy na pięć zasadniczych grup:

- 1) tych którzy ukształtowali swój styl w okresie przedwojennym,
- 2) krystalizujących swój styl w pierwszych latach powojennych,
- 3) debiutujących w okresie „presocrealistycznym” (1945-49),

4) rozpoczynających twórczość w latach 1956-60,

5) należących do „drugiego pokolenia awangardy” (po 1960).

Oczywiście powyższa systematyzacja nie pretenduje do kompletności. Celem obecnego studium nie jest tworzenie jakiegokolwiek „almanachu kompozytorów” czy „wypisów encyklopedycznych”. Celowo więc pomijam też wszystkich autorów uprawiających wprawdzie kompozycję ale będących w pierwszym rzędzie specjalistami w innych dziedzinach muzyki jak dyrygentura, krytyka czy pedagogika (i siłą rzeczy nie odgrywających w twórczości decydującej roli), jak również tych, którzy debiutując w ostatnich latach nie zdołali dotąd w dostatecznej mierze ukształtować własnego oblicza, ani też ukazać właściwej skali swych możliwości.

Mówiąc o pierwszej grupie mamy do czynienia w szeregu wypadków z twórczością zamkniętą już śmiercią kompozytora (Spisak, Malawski), lub też z natury rzeczy w pełni już ukształtowaną, od dłuższego czasu nie podlegającą większym modyfikacjom. Stąd też możliwa jest jej bardziej pełna charakterystyka, jakkolwiek bynajmniej nie ocena. Drogi którymi twórczość muzyczna (jak każda zresztą) realizuje swe wartości są widoczne przeważnie dopiero z pewnej perspektywy czasu. Stąd też częściej zdarza się, że znajduje ona właściwą ocenę w okresie odległym od daty powstania jej istotnych utworów, nie rzadko pod koniec życia, lub nawet po śmierci, kompozytora (jak w wypadku Bartoka czy Varese'a). Nie jest także szczególna specyfika muzyki. Choćby w polskiej dramaturgii dopiero w ostatnich latach dokonano właściwej, choć zapewne jeszcze nieostatecznej oceny Witkacego którego sztuki nagle stały się „klasyką” repertuaru teatrów bynajmniej nie wyłącznie „eksperymentalnych” ukazując po czterdziestu i więcej latach które upłynęły od ich powstania uderzającą współczesność. A przecież za życia autora twórczość tę, w pełni ukształtowaną już w latach dwudziestych, jakże często kwitowano uśmiechem politowania. Nawet tak wybitny umysł jak Karol Irzykowski nie oszczędził mu paradoksalnego epitetu „genialnego grafomana”.

W muzyce problemy te są jeszcze bardziej skomplikowane autonomią „języka artystycznego” i o wiele niż w innych sztukach większą rolę technicznych środków realizacji dzieła i ich „abstrakcyjnym” charakterem.

Ocena więc wartości dzieła muzycznego jest szczególnie trudna — nie jest ona z pewnością jednoznaczna z nowością środków jego realizacji, nie jest też prostą funkcją wynalazczości kompozytora w tej dziedzinie. Stąd obecne rozważania mają na celu w o wiele większej mierze analizę zjawisk stylistycznych i źródeł orientacji kompozytorów, niż dokonywanie ocen ich dorobku.

W odniesieniu zatem do pierwszej z „generacji” poprzedniej tabeli, najistotniejszym elementem stylistycznym był „neoklasycyzm”. Oczywiście zjawisku temu nie można przypisywać całkowitego uniformizmu ani też cech wyłącznie negatywnych. Dla kompozytorów tamtej epoki był on czynnikiem tak samo istot-

nym jak dodekafonia w latach powojennych. Można było być jego zwolennikiem lub przeciwnikiem, trudno było pozostać neutralnym. Jak każde niemal zjawisko artystyczne styl ten inspirował samodzielnych do poszukiwań ich własnej drogi. Stał się on też z pewnością punktem wyjścia dla poszukiwania bogactwa i ścisłości muzycznej ekspresji poprzez nawiązywanie do monumentalnych form muzycznego baroku znajdujących tak świetne realizacje w twórczości Bolesława Szabelskiego, a szczególnie Romana Palestra.

Położenie akcentu na problemach techniki polifonicznej, dominującej nawet w utworach o „neoklasyknej” inspiracji (np. „Serenada na dwa flety i orkiestrę smyczkową” Palestra) stało się głównym źródłem bogactwa muzycznego języka tych kompozytorów.

Jest faktem dosyć paradoksalnym i trudnym do wyjaśnienia, że muzyka tych właśnie twórców nie wkroczyła w sferę dodekafonii. Związek między tą szczególną techniką sformułowaną pod względem teoretycznym przez Arnolda Schoenberga i jego następców, a renesansem form polifonicznych jest faktem niewątpliwym. Fakt jednak że, aż do roku 1956, technika dodekafoniczna odgrywała w muzyce polskiej jedynie marginesową rolę (Koffler, Regamey) nie może być probierzem jej nowoczesności. W istocie bowiem między stosowaniem tej techniki a rodzajem ekspresji dzieła nie istnieją bliższe związki. Paradoksalne stwierdzenie Regamey'a, że techniką serialną można z powodzeniem komponować w stylu Mozarta nie jest pozbawione dużej dozy słuszności. Istnieje też niewątpliwa wzajemna zbieżność między stylem nowatorów lat dwudziestych i trzydziestych, niezależnie czy byli oni dodekafonistami czy też nie, podczas gdy styl dodekafonistów pokolenia Schoenberga nie ma wiele wspólnego ze stylem dodekafonicznym pokolenia Bouleza czy Pendereckiego...

Tak więc lata trzydzieste możemy uznać za początek bogatego okresu współczesnej polskiej muzyki, okresu trwającego nieprzerwanie po dzień dzisiejszy. Jego ciągłość, mimo zakłócenia jej epizodem „sorealizmu”, jest faktem niewątpliwym. Kompozytorzy tamtych lat nie tylko przyczynili się w wielkiej mierze do uformowania pokolenia powojennego w sensie bezpośrednio dydaktycznym ale także tworząc, w pewnej przynajmniej mierze, jego tradycję.

Wprawdzie z dorobku licznej plejady polskich kompozytorów tamtego okresu ogromna część stanowi dziś martwą pozycję katalogu historii, tym niemniej cechy trwałej wartości możemy przypisać stosunkowo dużej liczbie utworów...

Wśród twórców „pokolenia lat trzydziestych” owe trwałe wartości reprezentuje niewątpliwie muzyka Palestra, Malawskiego i Szabelskiego. Mimo ogromnych różnic indywidualnych stylu posiadają oni wspólny mianownik nie tylko w skali wartości. Najistotniejsze co ich łączy to znakomite władanie techniką kompozytorską, umiejętność konstruowania monumentalnych form symfonicznych i jednocześnie umiejętność wcielania swego stylu

w różnorodne postaci; — muzykę symfoniczną, kameralną; aż po formy muzyki użytkowej jak np. muzyka filmowa.

Ta wielopostaciowość cechuje w szczególnej mierze dawny i nowy dorobek Romana Palestra mieszczący w sobie ogromne bogactwo form od symfoniki aż po muzykę ilustracyjną — teatralną i filmową. Podobny uniwersalizm cechował też twórczość Artura Malawskiego.

Oczywiście zjawisko to, samo w sobie, nie może być miernikiem wartości, świadczy jednak o wytworzeniu się w polskim środowisku zawodu kompozytora, co w oczywisty sposób rzutuje na perfekcję warsztatu. Jest to niewątpliwie zjawisko podobne temu, które w poezji znalazło paradoksalny wyraz w twierdzeniu K. I. Gałczyńskiego, że do obowiązków poety należy też umiejętność napisania wierszowanej reklamy pudru* czy perfum.

Stąd zapewne także pewien heterogenizm stylu, owo tworzenie jego właściwej substancji z elementów pochodzących niekiedy z dosyć wzajemnie odległych tradycji. Zjawisko to zresztą nie było bynajmniej wyłączną cechą polskiej muzyki, na podobnej zasadzie powstał, tak przecież w końcu indywidualny, styl Dymitra Szostakowicza.

Spośród trójki najbardziej reprezentatywnych polskich kompozytorów okresu międzywojennego najwcześniej, bo już w latach trzydziestych, skryształizował się styl Romana Palestra, — i w zasadzie aż po dzień dzisiejszy kompozytor ten pozostał wierny zasadniczym założeniom swej estetyki tamtych lat. Oczywiście fakt ten nie oznacza stagnacji i stylistycznego immobilizmu. Przeciwnie, możemy tu dostrzec istotną ewolucję dokonywaną jednakże zgodnie z zasadniczymi założeniami, skryształizowanymi we wczesnym okresie twórczości.

Ewolucja ta przejawia się może najpełniej w symfonice Palestra, obejmującej zarówno formy noszące tytuły „symfonii” (pierwsza — 1935, ostatnia, czwarta 1950) jak i innych tradycyjnych form tego gatunku („Sinfonietta” (1948), „Symfonia na dwie orkiestry smyczkowe” (1949) czy też „Studium 58”). Uzupełnienie symfoniki stanowią koncerty: skrzypcowy, „concertina” na klawesy, na saksofon, na fortepian, czy też „Muzyka na dwa fortepiany i orkiestrę”. Z symfonią pozostają też w ścisłym związku stylistycznym utwory sceniczne (balet „Pieśń o Ziemi” czy też opera „Śmierć don Juana”, nagrodzona pierwszą nagrodą na konkursie „Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzyki Współczesnej” w roku 1962).

Styl Palestra, mimo że realizuje się w różnych, często pozornie odległych dziedzinach twórczości, jest zjawiskiem nie tylko nacechowanym oryginalnością, ale w równej mierze zwartością i wewnętrzną logiką swej jedności. Wychodząc od monumentalnych postaci symfoniki, inspirowanych w znacznej mierze polifonią późnego baroku, uległ on jednak z biegiem czasu pewnemu uproszczeniu. Jednakże stając się bardziej klarowny nie

utracił swego poprzedniego bogactwa, ani swych poprzednich wartości, w pierwszym rzędzie kapitalnej kolorystyki instrumentacyjnej. Oczywiście ewolucja ta, oznaczająca przemiany w postawie estetycznej nie deprecjonuje utworów powstałych we wcześniejszym okresie. Pod tym względem Palester stanowi nadal rzadki w muzyce współczesnej typ kompozytora, nie tylko niemal od początku swej działalności krystalizującego podstawy własnego stylu, ale osiagającego jednocześnie we wszystkich niemal kompozycjach wartości artystyczne wysokiej miary. Bogactwo inwencji połączone z olśniewającym kalejdoskopem barw II-ej Symfonii, pełnej wewnętrznej logiki w swym pozornie inflacyjnym bogactwie efektów, nie znajduje bynajmniej zaprzeczenia w klarowności i pewnym „ascetyzmie” wyrazu „Studium 58” czy „Sonaty na orkiestrę smyczkową”.

Muzyka ta stając się z czasem „inna” nie staje się „lepszą”. Wraz z ewolucją stylu kompozytora przenosi swe oddziaływanie w inną przestrzeń ekspresyjną, pozostawiając zawsze za sobą dzieła dojrzałe i niepowtarzalne.

Zjawiskiem w pewnej mierze równoległym jest dorobek kompozytorów Bolesława Szabelskiego i Artura Malawskiego. Zwłaszcza twórczość Malawskiego z pierwszych lat powojennych szła podobnymi torami. W utworach stanowiących jej najpełniejszy wyraz, jak np. „Etiudy Symfoniczne” na fortepian i orkiestrę (1947), przejawia się ta sama tendencja co w symfonice Palestra — zdumiewające bogactwo kolorystyki, połączone z techniką polifoniczną i znakomitą umiejętnością konstruowania monumentalnych form.

Wartości te znalazły też wyraz w jednym z ostatnich dzieł kompozytora — kantacie „Wierchy”, podejmującym po raz pierwszy od czasów Szymanowskiego stylizację folkloru Podhala. Utwór ten, mimo że stanowi próbę ominięcia raf początków „sorealizmu”, nie był bynajmniej kompromisem z jego wymaganiami. Dziś jest też jednym z utworów Malawskiego stosunkowo często pojawiających się na estradach filharmonicznych.

Ostatnią wreszcie postacią tej grupy jest Bolesław Szabelski, jeden z nielicznych bezpośrednich uczniów Szymanowskiego, dziś nestor czynnych polskich kompozytorów. Indywidualność szczególnie; do roku 1956 w pierwszym rzędzie autor monumentalnych dzieł symfonicznych o „neobarokowej” inspiracji (Trzy symfonie, „Concerto Grosso”), pod koniec lat pięćdziesiątych dokonał radykalnej przemiany swego języka muzycznego, zdecydowanie „przechodząc na stronę awangardy”.

Oczywiście owej przemiany nie można ujednoznaczniać z licznymi „nawróceniami”, mającymi jakże często podłoże koniunkturalne. Szabelski uległ niewątpliwie fascynacji możliwości wyrazowych nowego stylu, zaskakując jednocześnie swobodą jego stosowania i bogactwem swej wypowiedzi („Wiersze” 1962). Dowiódł, podobnie jak wielu wielkich mistrzów przeszłości, że w muzyce ważny jest w pierwszej mierze nie sam język wypo-

* Artur Sandauer — „Poeci trzech pokoleń”.

wiedzi, ale to co kompozytor ma do wypowiedzenia w swym własnym imieniu.

Odmienne problemy dominują w twórczości kompozytorów dla których okres przedwojenny był etapem młodzieńczych poszukiwań. Dotyczy to zwłaszcza dwu najwybitniejszych: Andrzeja Panufnika i Witolda Lutosławskiego. Tworzą oni w dziejach polskiej muzyki współczesnej rodzaj nieustającego kontrapunktu, mimo tak różnych stylów i biegu życia. Istotą tego kontrapunktu jest tworzenie równoległych wartości przy równoczesnym stosowaniu krańcowo nieraz różnych środków stylistycznych. Wydaje się że, prócz różnicy osobowości obu kompozytorów, faktem nieobojętnym jest różnica środowisk, w którym przyszło im działać w najistotniejszym okresie — po roku 1956.

W Polsce nawet dominująca osobowość Lutosławskiego musiała siłą faktu zająć stanowisko w stosunku do kierunków awangardy, podczas gdy Panufnik, działający od roku 1954 w Anglii, pozostał w dużej mierze niezależny tak od inspiracji jak i ograniczeń płynących z tego źródła.

Tym niemniej tak w jednym jak drugim wypadku można i należy mówić o harmonijnym (mimo tych czy innych wpływów zewnętrznych) rozwoju własnych dyspozycji twórczych obu kompozytorów. Drogi ich twórczości nieustannie krzyżowały się tak w okresie krystalizacji ich stylu, w trudnych latach wojennych, jak i błyskotliwego sukcesu — w okresie „presocrealistycznym” czy też w stosunku do istotnych problemów lat późniejszych.

Podobna była także ich reakcja na presję „socrealizmu” — od ucieczka w stylizację: Panufnika — muzyki staropolskiej, Lutosławskiego — folkloru, po emigrację — w pierwszym wypadku autentyczną, drugim „wewnętrzna”...

Równoległym zjawiskiem, choć zapewne wynikającym z różnych przestanków, był chwilowy kryzys w twórczości obu — w wypadku Lutosławskiego, wywołany sytuacją stworzoną przez „socrealizm”, w wypadku Panufnika adaptacją do nowych okoliczności i tak bardzo niesprzyjającą twórczości pracą stałego dyrygenta orkiestry filharmonicznej.

W tym samym też mniej więcej okresie nastąpiło jego zwyciężenie. Lutosławskiego „Koncert na orkiestrę” a wkrótce po nim „Muzyka żałobna” rozpoczęły nowy, nader owocny okres twórczości, nacechowany jednocześnie intensywnością poszukiwań nowych rozwiązań formalnych.

W twórczości Panufnika podobną rolę można przypisać w pierwszym rzędzie nowym wersjom utworów skomponowanych poprzednio, w latach bezpośrednio powojennych, oraz „Sinfonia Elegiaca” i „Rapsodii”. Właściwy, pełny renesans twórczości przyniosły lata sześćdziesiąte znajdując wyraz w szeregu nowych dzieł z „Sinfonia Sacra” na czele.

Zjawiskiem szczególnym jest tu przerezagowanie całego niemal wcześniejszego dorobku, nadanie mu nowej postaci przy

zachowaniu jednak zasadniczych właściwości stylistycznych, zgodnych z estetyką kompozytora cechującą jego twórczość tamtych, niekiedy dosyć odległych, okresów.

Jednakże dziełem fundamentalnym, najpełniej charakteryzującym ostatni okres twórczości jest niewątpliwie „Sinfonia Sacra”. Stanowiąc jeden z elementów „serii” upamiętniającej polskie „Millenium” (Homage à Chopin, 1966; Jagiellonian Triptych, 1966) utwór ten nagrodzony w 1964 r. pierwszą nagrodą na konkursie w Monaco w pełni odzwierciedla ewolucję stylu kompozytora i jednocześnie jej harmonijność, wierność swej własnej tradycji.

„Sinfonia Sacra” jest utworem niewątpliwie znakomitą i w pełni nowatorskim, jakkolwiek nowatorstwo to nie oznacza żadnego przełomu ani też „zaprzeczania sobie”.

Panufnik posługuje się tu w zasadzie swą dawną metodą swobodnego „rapsodycznego” konstruowania utworu i podobną paletą barw harmonicznym i instrumentacyjnym, a jednocześnie poszerza swą muzyczną ekspresję o zupełnie nowe perspektywy, sięgając po przestrzenność brzmienia — efekt nowy choć szeroko eksplloatowany już w muzyce późnego renesansu. I jeszcze jedna, jakże znamienita i jednocześnie artystycznie owocna archaizacja w postaci „parodii” — zbudowania nowej kompozycji w oparciu o kościec zaczerpnięty z istniejącego pierwowzoru — w tym wypadku z pierwszego wersetu „Bogarodzicy”...

Zasadniczym więc elementem muzyki Panufnika, tak w przeszłości jak obecnie, pozostaje bardzo bogata i oryginalna inwencja wyrażająca się zarówno w tematyce jego symfoniki czy muzyki kameralnej, jak w bardzo szczególnym rodzaju wyrafinowanej kolorystyki opartej na politonalnej harmonice i bardzo szczególnym i osobistym języku instrumentacji.

Twórczość Panufnika, kultywująca z całą świadomością przynależność do polskiej tradycji, jest jednocześnie wartością w pełni uniwersalną, znajdującą w coraz większej mierze właściwą ocenę w międzynarodowym środowisku muzycznym, tak Europy jak i po drugiej stronie oceanu.

Drugi element wspomnianego już „kontrapunktu” — twórczość Witolda Lutosławskiego — rozwijała się dość odmiennymi torami, zdobywając w końcu równie eksponowaną pozycję międzynarodową. Czynnikiem niewątpliwie wpływającym w istotny sposób na jej kształt, było uczestnictwo w ruchu „awangardy” od roku 1956. Oczywiście byłoby błędem zaliczanie Lutosławskiego do owych „nawróconych”, przybierających kameleonową postać w zetknięciu z nowymi prądami, tym niemniej jednak oddziaływanie ich przejawiało się w podjęciu nowej problematyki.

Dalsze kompozycje: „Gry Weneckie”, „Trzy poematy Henri Michaux”, czy wreszcie ostatni — „Druga Symfonia” — w bezpośredni sposób wprowadziły do stylu Lutosławskiego elementy techniki serialnej (dodekafonii) czy też „aleatoryzmu” (ograniczonej improwizacji w realizacji wykonania dzieła).

Podobnie jednak jak w wypadku stylu Panufnika, nowe elementy nie modyfikują jego istoty, poszerzając jedynie przestrzeń jego ekspresyjnego oddziaływania.

W przeciwieństwie do Panufnika Lutosławski nie jest z pewnością kompozytorem obdarzonym darem spontanicznej inwencji. Jest on w pierwszym rzędzie znakomitym konstruktorem, posiadającym ogromną kulturę formy, wyprowadzającym ostatnie konsekwencje z każdego pomysłu tematycznego, nadającego swym utworom postać klasycznej klarowności i doskonałości. Styl jego może niekiedy wydawać się „zimny”, „intelektualny”, „konstruktywistyczny”, nie podobna mu jednak odmówić znamion wielkości.

W sumie obaj ci kompozytorzy stworzyli, i nadal tworzą, bardzo istotne ogniwo polskiej muzyki naszego stulecia, ogniwo którego historyczna trwałość nie ulega dziś wątpliwości...

Jednakże okres „presocrealistyczny” oznaczał nie tylko eksplozję twórczości kompozytorów mających już znaczny dorobek z czasów poprzedzających — był on także świadkiem kilku bardzo interesujących debiutów.

W tym czasie rozpoczęli swą właściwą działalność kompozytorzy odbywający studia w okresie wojny, jak również ci, dla których pierwsze lata powojenne skupiały całokształt muzycznych doświadczeń. W grupie tak jednych jak drugich nie brakowało nader interesujących indywidualności z Bairdem, Serockim i Krenzem na czele.

Ci trzej kompozytorzy wkraczający w bujny rozkwit twórczości u progu „sorealizmu” ścinającego na pniu całą działalność kulturalną, najboleśniej też odczuli jego skutki. Krenz poświęcił się całkowicie dyrygenturze robiąc zresztą na tym polu wspaniałą karierę, natomiast Baird i Serocki wkroczyli w okres długotrwałego kryzysu.

Wydaje się, że jego istotą było niemożliwe w praktyce godzenie koncesji na rzecz „sorealistycznego dyryżyzmu” z elementarnymi choćby wymaganiami twórczości do imponderabiliów której należy swobodne kształtowanie stylu swej wypowiedzi.

Baird i Serocki próbowali różnych dróg — stylizacji w duchu form dawnej muzyki, „nawiązywania do tradycji” monumentalnych form symfonicznych, jednakże efekty tego nie okazały się imponujące. Z pokaźnego ilościowo dorobku tamtych lat nic niemal (poza stylizacjami) nie zachowało żywotnej wartości. Nic zatem dziwnego że kompozytorzy ci w momencie przełomu znaleźli się w pierwszym szeregu „nawróconych”. Tu jednak okazało się w pełni jak dalece kompromis z „sorealizmem” posiadał głęboko destrukcyjne działanie. Mimo wysiłków mających na celu radykalne odnowienie języka muzycznego i obfitego czerpania z arsenału środków awangardy, uwolnienie się od pozostałości skutków „sorealistycznej kolaboracji” okazało się trudne. Prowadziło ono bądź do całkowitego przyjęcia nowej, ale niestety

mało osobistej konwencji stylistycznej (Serocki), bądź też do rozwlekłości i nadmiernie emocjonalnego ekspresjonizmu, będącego najpoważniejszym mankamentem muzyki Bairda.

Że przesłanki ich powstały w okresie „sorealizmu” świadczy najlepiej fakt, że nie ujawniły się one nawet w minimalnej mierze w najwcześniejszym okresie działalności tych kompozytorów (przed rokiem 1949). Wówczas, mimo że były to pierwsze próby obciążone jeszcze w znacznej mierze manierą neoklasycyzmu, ich uderzającą cechą była lapidarność wypowiedzi, celowość i ogromna logika formy.

Tym niemniej twórczość ta, szczególnie Bairda, dostarczyła w ostatnim dziesięcioleciu kilku utworów, które przeżywszy swe prawykonania stały się trwałą pozycją polskiej współczesnej symfoniki czy też muzyki scenicznej, będąc stosunkowo często wykonywane w ośrodkach zagranicznych, szczególnie w centrach muzycznej awangardy.

I wreszcie zjawisko o największej może intensywności: twórczość kompozytorów którzy rozpoczęli działalność w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, oraz fala przychodząca bezpośrednio po nich, w pełni już ukształtowana w atmosferze autentycznej nowoczesności.

Oczywiście wartość twórczości tak jednych jak drugich jest bardzo nierównomierna, jednakże pokolenie debiutujące tuż po roku 1955 odznacza się dużą ilością wybitnych indywidualności. Do niego należą przecież Penderecki, Górecki i Schaeffer, nadający ton istotnym osiągnięciom polskiej awangardy. Mimo wszelkich różnic indywidualnego stylu tych kompozytorów można niewątpliwie mówić o tworzeniu przez nich pewnej „szkoły”, co pozwala na analizę ich dotychczasowego dorobku jako pewnej całości.

Niewątpliwie kompozytorzy ostatniego dwunastolecia znaleźli się w sytuacji pod wieloma względami korzystnej, bez porównania bardziej sprzyjającej niż ta, w której przyszło działać w latach 1946-56. Dotyczy to zarówno sytuacji zewnętrznej, wolnej mimo wszystko od ostrych form nacisku, jak i sytuacji „wewnętrznej” — w autonomicznych sprawach muzyki. Wydaje się bowiem, że twórczość muzyczna wyszła definitywnie z okresu poszukiwań i wkroczyła w okres być może długotrwałej stabilizacji stylu. Zasób środków nagromadzonych w okresie eksperymentów i poszukiwań, trwający przez ostatnie pięćdziesięciolecie, pozwala dziś kompozytorom skoncentrować się na ich selekcji i adaptacji. Mamy tu niewątpliwie do czynienia z powrotem zjawiska dobrze znanego z muzyki epok minionych — z istnieniem przez dłuższy czas ujednoliconego stylu, podlegającego stopniowym przemianom i harmonijnemu rozwojowi w miejsce gwałtownych, nieustannych przekształceń. Zadaniem twórcy jest tu w o wiele większej mierze rozwijanie i wzbogacanie zastanego dziedzictwa, niż zmienianie jego podstawowych założeń. Fakt ten w oczywisty sposób ułatwia twórczość, nie ograniczając w niczym ambicji kompozytora i war-

tości jego dzieł. Muzyka ostatniego okresu zdaje się powracać do tej zasady. Twórczość właśnie omawianego pokolenia cechuje daleko posunięta synteza techniki, opartej na swobodnie traktowanych elementach serialności w połączeniu z wyrafinowanymi efektami brzmieniowymi.

Efektom tego procesu jest powstanie języka muzycznego, który jakkolwiek heterogeniczny, odznacza się wewnętrzną spójnością, a nade wszystko bogactwem zdolności ekspresyjnych. Fakt ten leży niewątpliwie u podłoża tak zaskakującego zjawiska jak ostatnie — w równym stopniu antykonwencjonalne jak i głęboko tkwiące w tradycji oratoria Pendereckiego: „Pasja wg. Św. Łukasza” i „Dies Irae”.

Oczywiście ta tworząca się tradycja może na pierwszy rzut oka wydać się amorficzna. Nawet tytuły utworów nie mają przeważnie nic wspólnego z tradycyjną nomenklaturą, jak np. „Symfonia”, „Koncert” itp. Typowe stały się tytuły określające przenośnie charakter muzyki jak „Fluorescencje” (Penderecki) czy „Zderzenia” (Górecki), czy też w wypadku kompozycji wokalnie-instrumentalnych inspirowane tytułem lub charakterem tekstu.

Jest to jednak typowa „powierzchnia rzeczy”. Tak jak przy każdorazowej radykanej historycznej przemianie stylu, tak i obecnie muzyka, wzbogacając pewne swe środki, upraszcza jednocześnie inne. Oczywiście w wielu wypadkach powstaje problem eksperymentów wykraczających poza zakres muzyki, wydaje się jednak że stawianie tu jakichkolwiek ostro zarysowanych granic byłoby poważnym błędem. Muzyką jest w końcu to wszystko, co przy pomocy tak lub inaczej zorganizowanej materii dźwiękowej jest w stanie wywoływać właściwe muzyce doznania estetyczne.

W sumie więc ostatnie ogniwo współczesnej polskiej muzyki jest zjawiskiem niewątpliwie bogatym i, mimo szeregu scharakteryzowanych poprzednio zjawisk ujemnych, rozwija się w bardzo intensywny sposób. Wydaje się, że jej międzynarodowa przyszłość zależy w tej chwili nie tyle od jej istotnych wartości, które wydają się niewątpliwe, ile od „światowej kariery” choćby kilku jej przedstawicieli i odpowiedniej propagandy na zewnątrz. Działalność „Polskiego Wydawnictwa Muzycznego” aczkolwiek w innych dziedzinach pełna kardynalnych zaniedbań, w zakresie „monokultury awangardy” pozwala na sprawne udostępnianie powstających partytur.

Trudno w tej chwili stawiać w pełni sprawdzalne horoskopy, jednakże wszystko wskazuje, że układ konstelacji ze wszechmiar sprzyja wysiłkom polskiej awangardy muzycznej.

Adam SUTKOWSKI

Bolesław Miciński

Przeglądając moją korespondencję z lat wojennych, znalazłem kilkanaście listów Bolesława Micińskiego, który zmarł w Grenobli 30 maja 1943 w wieku lat 33. Czując zbliżający się koniec, notował pośpiesznie swe refleksje, często w listach do przyjaciół, w nadziei rozwinięcia ich później. Niestety czas był już zbyt krótki, i większość ich pozostała w formie embrionalnej. Z ogłoszonych tu po raz pierwszy dwóch tekstów żaden nie był przeznaczony do druku.

Pierwszy, refleksje o grze w szachy, jest wyjątkiem z listu pisanego z Bouquéron pod Grenoblą w 1941. Drugi jest notatką, pisaną pośpiesznie przed odczytem o eseju, który Miciński miał wygłosić w Grand Hôtelu, zajmowanym przez najstarszych rangą Atlantów, jak nazywaliśmy emigrantów polskich przebywających wówczas w Grenobli. *Myśli do konkluzji* wymagają pewnego objaśnienia.

Wspólne zainteresowanie formą eseju dało początek naszej przyjaźni w połowie lat trzydziestych. Byłem wówczas początkującym eseistą, Miciński zaś kończył studia filozoficzne na uniwersytecie warszawskim i był zniechęcony do tej dyscypliny wiedzy.

Najwyższym autorytetem cieszył się wówczas neopozytywizm, reprezentowany przez tzw. *Wiener Kreis*. Już w XIX w. filozofia wykładana na uniwersytetach i roztrząsana na posiedzeniach towarzystw naukowych ograniczała się niemal wyłącznie do teorii poznania. Szkoła wiedeńska wprowadziła tu nowe rygory, zwiększając jeszcze bardziej zakres badań. Miciński przytaczał często konkluzję łacińskiej rozprawy Wittgensteina, że o tym, czego się nie da jasno sformułować, należy milczeć. Carnap zdyskwalifikował znaczną część używanych w filozofii terminów jako nie posiadających jasno określonego sensu. Dla tejsze przychynny Bertrand Russell radził wykreślić ze słownika filozoficznego termin *przyczynowość*, nieprzezornie używany przez kilka-

dziesiąt pokoleń filozofów i myślicieli. Sądy wartościujące miały zniknąć całkowicie z języka uczonych. Dla Carnapa sądy takie nie mają w ogóle sensu. Wolfgang Köhler, jeden z twórców *Gestaltpsychologie*, mówi we wstępie do swej książki o zagadnieniu wartości, że osoby niewtajemniczone nie zdają sobie nawet sprawy, jakim nietaktem jest wypowiedzenie w laboratorium sądu wartościującego.

Krucjata filozofów przeciw sądom wartościującym zbiegła się z przyjściem do władzy Hitlera. Wierny swej filozofii, lud uczonych w białych kitlach nie popełnił nietaktu wypowiedzania na ten temat sądów wartościujących. Zachował milczenie. W kilka lat później wziął się posłusznie do fabrykacji bomb atomowych dla obu rywalizujących ze sobą potęg.

Miciński, zresztą pełen podziwu dla zmysłu krytycznego neopozytywistów, czuł niejasno, że ramy, zakreślone filozofii przez wiedeńskich spadkobierców Sokratesa są zbyt wąskie i pozostawiają poza jej zasięgiem najważniejsze być może zagadnienia naszego czasu. To, co miałyby do powiedzenia, nie dałoby się zmieścić w tych ramach. Stąd jego zainteresowanie dla mniej rygorystycznych, luźniejszych form wypowiedzi, których szukał w eseju. Dla uzasadnienia swego wyboru zamierzał napisać teorię eseju, przeciwstawiającą jego swobodę rygorom traktatu filozoficznego. Do tego ambitnego pomysłu powracał wielokrotnie. Spisana na prędce przed odczytem notatka, którą tu drukujemy, jest świadectwem tych poszukiwań.

Z okazji 25-lecia śmierci Bolesława Micińskiego ma się ukazać w Polsce wydanie wszystkich jego pism, obejmujące niewydane dotąd fragmenty rękopisów. Wśród nich znajdują się, być może, inne przyczynki do teorii eseju.

Paweł HOSTOWIEC

REFLEKSJE O GRZE W SZACHY

W sanatorium zacząłem grać w szachy. Ale nigdy nie polubię tej gry, bo nigdy nie pogodzę się z taktyką, z wykorzystywaniem słabości i przeoczeń partnera. Jest w tej grze dużo dżungli. Wędrówki królowej po szachownicy — to spacer Kalliklesa po dżungli. Grając, stale uprzedzam partnera: „niech pan tego nie robi, bo straci pan konia” albo: „jeżeli zrobi pan ten ruch, odsłoni pan króla”. Nie rozumiem i *nie chcę* zrozumieć *zjawiska gry*. Szachy są „matematyczne”, „zimne” i „racjonalne”. Ale prawo dżungli jest właściwie „racjonalne”. To, co różniło Mowlego od jego szarych braci, to była właśnie jego *irracjonalność*, jego wybuchy płaczu i śmiechu, które tak gorszyły profesora prawa dżungli, niedźwiedzia Baloo. Wbrew pozorom, przyroda (podobnie jak pewne ustroje, które niestety obserwujemy) jest *racjonalna*. To człowiek, biedna „żabka” z ogniem w ręku

i łzami w oczach jest *irracjonalny*. I Hegel i szachy i Spinoza należą do świata przyrody. Jest w nich nawet symetryczność konstrukcji pszczoł, mrówek i pajaków. „Asymetryczny” i potargany Pascal mieszka w zalęknionej, osnutej dymami wiosce, przycupniętej do ziemi na skraju dżungli Kiplinga. Pascal w kulminacyjnym punkcie życia napisał dwa słowa: *feux, feux* — ogień którym powiewał Mowgli na posiedzeniu wilków. Nie wiem czy jest to ogień odkupienia czy kary, ale wiem, że poznałem jego smak. Mówiłem o tym ostatnio z żoną, której oczy świeciły zielonym, fosforyzującym blaskiem. Może ten ogień różni nas od przyrody — nas ogień piecze tak, że chwilami mam wrażenie, że mógłbym zapalić fajkę „od palca”. Rozmowy z sową w starym domu są bardzo pouczające i pozwalają zrozumieć starożytnego Kanta, który radził pytać przyrodę „jak sędzia podśladnego”. Kiedy nadejdzie dzień zapłaty, będziemy tak pytać podśladnych, którzy chcieli wnieść w nasze ludzkie życie *racjonalne* prawo lasu. Pełnoprawnym jest jak wiadomo w tym świecie tylko ten, kto stoi na czterech łapach. W tym dniu słabi, kalecy, przyrodniczo niedoskonali, ale z tajemnicą łez, śmiechu i ironii, zasiadają przy stole sędziowskim.

MYŚLI DO KONKLUZJI

Jak powiedziałem na wstępie, poruszę dwa problemy: 1) problem formy (esej), który demonstrowałem w dwóch pierwszych szkicach i 2) problem rzeczywistości zastępczych. Wróć na razie do pierwszego.

Czy można wydobyć konkluzję z formy, którą zaprezentowałem? Moim zdaniem *nie* (Laromiguière).

Tym trudniej w eseju. *Esej nie rozwiązuje problemów, ale je stawia*. Franz Hals: *veni, vidi, pinxi*. Esej stawia problem i pozostawia swobodę wyciągania wniosków. W ten sposób postawiłem dwa problemy: Kanta i Juliana. Są to dwa portrety; nie można ich zdefiniować, tak jak nie można zdefiniować Balthazara Castiglione lub Rafaela. Ta pierwsza trudność wynika stąd, że esej nie jest Czymś z pogranicza filozofii i literatury, ale jest formą autonomiczną. Nie można go nazwać transpozycją pojęć na wyobrażenia. Jest to coś jak gdyby pojęciowa wyobraźnia.

Zadaniem eseju jest przedstawienie złożonego problemu tak, aby można go było ująć jednym rzutem — jak obraz. Pokazałem mój *Portret Kanta X*. Jak (ubisiakowi) i byłem zachwycony, że widział go właśnie takim, gdy go studiował, a przecież nie była to analiza filozoficzna. Zagadnienie formy jest tu bardzo doniosłe, bo jest — jak mi się zdaje — odrębnym aspektem poz-

nawczym. Nie jest to zapewne nowością; pierwsze traktaty filozoficzne były, jak wiemy, pisane wierszem. Z wolna dopiero filozofia wyrzekła się swego autonomicznego wyrazu i popadła w niezhodny szablon, niemal totalistyczny uniformizm.

Ileć filozofia oddalała się od średniowiecza, tyleć odnajdywała blask słowa. Obecnie wpadła pod jarzmo nauk ścisłych i zatarła w swoim języku to, co jest osnową danej rzeczywistości — jednostkowość. Wszyscy piszą *tak* samo, a przecież nie są *tym samym*. Nastręcza to nowe problemy. Bergson potępiał schematyzujący charakter pojęć w poznaniu, nie mniej wyraził swą myśl w tradycyjnej, schematyzującej formie pojęciowej. Jest to dramatyczny paradoks, którego Bergson, jak się zdaje, umiał uniknąć jako mówca. Intuicja w dociekaniu musi znaleźć swoją, odpowiednio do intuicyjnego charakteru przystosowaną ekspresję. W ten sposób chciałem pokazać dwóch ludzi i dwa problemy skupione w ich życiu i myśli.

Jeszcze jedna trudność: esej jest z natury swej formą wielowarstwową i niesłychanie rozrzuconą, jest formą pakowną, stworzoną do czytania cicho i kilkakrotnie.

Mówiąc o Kancie i Julianie poruszyłem wielką ilość problemów, mających takie same prawo do stania się przedmiotem dyskusji jak Kant i Julian, bo i problem wielkości i małości, problem historycznego poznania, tragizm starości, problem psychologicznej adaptacji systemów pojęciowych (Kant) i adekwacji życia i myśli. Wszystko to problemy do dyskusji. Gdybym miał je zdefiniować, musiałbym przeczytać drugi raz to samo. Nawet teraz, mówiąc o sztuce, poruszyłem szereg zagadnień: zgodność dzieła z rzeczywistością zjawiskową i z teoriami rzeczywistości, problem woli w sztuce, naśladowania, pluralizmu, struktury dzieła sztuki, egzystencji przedmiotu przedstawionego itd.

Zazwyczaj jeden z takich problemów staje się przedmiotem książki lub tzw. tezy doktorskiej, które go zresztą też nie rozwiązują. Eseiści gromadzi problemy jak słowa. W dobrym eseju powinno być tyle zagadnień ile zdań, a od natłoczonej kaszy pojęciowej różni go unosząca się nad nim pewnego rodzaju jednolita mgiełka. Eseje pisane są — mówiąc za Leonardem — *sformato*; podobnie jak utwory muzyczne mają swoje tonacje; są eseje pisane w *dur* i w *moll*. Takimi tonacjami były w moich dwóch esejach dwa pejzaże: w pierwszym widok ruin zamku królewieckiego, w drugim widok Konstantynopola. Taką tonacją w pierwszym był *Król Lear*, w drugim *Hamlet* (...). Tak przez umieszczenie w jednej tonacji wielu problemów można postawić zagadnienie, którego rozwiązanie będzie z reguły indywidualne.

Bolesław MICIŃSKI

Wyrwane strony 1965

Wtorek 25. V.

Nicht tun aber sein — perspektywa życia, gdzie trzeba będzie najprościej być, niedługi czas, kiedy będziesz mógł jeszcze pracować, już dziś plany twoje są zupełnie poza twoimi możliwościami. W chwilach takiego zmęczenia, to nie straszy. Pani Barbara w „Nocach i dniach” Marii Dąbrowskiej, straciwszy wszystko jedzie na wózku żydowskim w niewiadome i jest nagle szczęśliwa. Pani Maria nie żyje. Ile lat żyła prawie nie pisząc, jakby na rachunek tamtej powieści pisanej z jaką pasją *minutieuse* ścisłości, wagi każdego słowa. Dziś mi się zdaje jeszcze, że o tyle lepiej umrzeć, niż żyć bez sił ze zdezelowaną pamięcią. Ale tak teraz mówię, przyjdą te czasy i będzie się człowiek cieszył życia.

„Chciałbym jeszcze przez parę lat na świat popatrzeć — słowa starego samotnego człowieka (mieszkał pode mną na Filtrowej) po ciężkim ataku apopleksji i paraliżu. Umarł po paru godzinach.

X. w szpitalu. Zainteresowaniami, wolą życia, smakiem życia najmłodszy z moich przyjaciół, z mojego pokolenia i nagle starzec. Jemu wszystko zobojętniało.

I takie chwile wcześniej czy później muszą przyjść; one osłabiają czy nawet przekreślają tragizm, bo człowiekowi już się nic nie chce. Zresztą to zobojętnienie przyjść może w każdym wieku i właśnie u progu śmierci — człowiek nagle odchodzi bardzo daleko. Śmierć Bołkońskiego, jego oddalenie, obojętność. Łzy Nataszy*.

* *Wojna i pokój*.

Jean C. — jego do ostatniej chwili rozdzierające pragnienie życia.

Środa 26. V.

Nie to najważniejsze, że trzeba się znowu kurczyć i znowu przyjąć rytm oszczędniejszy, ale ważny jest *stosunek* do jutra, bo teraz jutro to są albo ostatnie lata pracy albo *décrepitude* bezsilnej starości, ze swoją śmiercią tuż i ze śmiercią swoich bliskich naokoło. Śmierć na jutro, najdalej na pojutrze. Życie przyszłe? Nieśmiertelność duszy? Istnienie poza grobem? *Inaczej* myśleć o tym, mniej abstrakcyjnie i napastliwiej. Kiedy to już nie za borami i lasami. Nieśmiertelność, zmartwychwstanie, „ciało zmartwychwstanie, żywot wieczny — amen”, jak uczy wyznanie wiary katolickiej. Jak wierzy stara baba w opowiadaniu Terca w „Myślach niespodziewanych”, która nie chce by jej obcinano zrogowaciałe paznokcie, bo chce z nimi trafić do nieba. Jak wierzyła moja Matka. „Gdybym umarła i poszła do nieba, nie mogłabym tam być szczęśliwa bez Ciebie”, pisała do ojca rok przed swą śmiercią. I jeżeli myślę o nieśmiertelności duszy to jedynie tak, jak zdawała się o tym myśleć Simone Weil: scalenie z Bogiem, gdzie już nie ma związku z ziemią, z najdroższymi, nie ma ciała, nie ma pamięci!

Ale *jest* Chrystus i Jego obecność, którą ta sama Simone Weil przeżyła w pewnej sekundzie objawienia („Poczułam bez żadnego ku temu przygotowania, bo nie czytałam żadnych mistyków — obecność bardziej osobistą, bardziej pewną niż obecność istoty ludzkiej, niedostępną dla zmysłów i dla wyobrażeń, jak miłość, która objawia się w najczulszym uśmiechu ukochanej istoty. Od tej chwili imię Boga i imię Chrystusa są coraz bardziej niepohamowanie wmieszane w moje myśli”).

Jest też św. Piotr z Alkantary (przed ilu laty go czytałem wracając z Hiszpanii, odkryłem wówczas freski z jego życia w Siedlcach w jakimś kościele) jego słowa powiedziane św. Teresie. Ukazał się jej w chwili swej śmierci, o osiem dni drogi od jej klasztoru. „O szczęśliwa pokuto którą odbyłem, gdyż dała mi taką nagrodę”.

Jest cały świat mistyki, o którym nie wiem naprawdę nic, bo odeszłem, opuściłem ten świat dla życia w materii, w pracy, w cielesnych miłościach, rozterkach i rozdarciach. Nie chodzi tu o takie czy inne wyobrażenie nieśmiertelności, nic, nic o tym nie możemy wiedzieć, to inny wymiar ale chodzi o sekundy przeżyć świadomości, pożywkę jedyną, która daje życie, wtedy właśnie kiedy opuszczają człowieka siły twórcze, kiedy się odkle-

ja od świata, i bardziej jeszcze świat od niego. Wtedy — nie zamazywać nie zdeptywać *le vide* w sobie. Wtedy może przychodzi, może przyjdzie pomoc. Inny widok, inny wymiar. Ale ty chcesz mieć wszystko na raz i tu i tam.

Comme si. Trzeba teraz żyć jeszcze *comme si.* Tak samo, prawie tak samo jak przedtem, ale dla siebie, tajnie — czując, wiedząc że nie o to chodzi, że jest coś innego, najważniejszego. Ziarno tego w sobie nosić.

Cały dzień pisanie, właściwie pierwszy dzień dobry. Dwie części już z gruba przygotowane, do pierwszego dyktowania, trzecia najważniejsza o Tercu i jego „Myślach niespodziewanych” w zupełnej zupie*.

Czwartek 27. V.

Odczytuję notatkę ze środy. Filozofów zarzucał mi, że czytam mistyków, że mistykę trzeba *robić* a nie *czytać* o niej. Chyba nie miał racji, ten drugi plan, drugie dno, trzeba o nim nie zapominać i nosić go głęboko w podszewce swej świadomości, żeby *móc* żyć.



Książka o Picasso Françoise Gilot. Jego rozterki, bezsilność, wciąż nowe zaczynanie. Przy całym wspaniałym uroku nieznośny człowiek, dziki egotysta — genialny. Tak jakbym chciał żyć z Bonnardem, tak *nie chciałbym* żyć z Picasssem. I ten ciągły wyścig: być pierwszym!

Sobota 29. V.

Przebudzenie z lekkim bólem głowy, i już chuchanie na siebie żeby się nie forsować, żeby móc być dziś wieczorem z ostrym spojrzeniem w Operze. Czy nie przesadzam. Simone Weil nie myślałaby o sobie, ale o obowiązkach drobnych, tysiącznych, o ludziach z którymi była. O obowiązkach, które nie cierpią żadnej zwłoki. Dyscyplina żelazna, i dzikie nieprzerwane bóle głowy, które ją latami męczyły i ten inny ból tajemniczy „na styku duszy i ciała”, co jej nie opuszczał nigdy. Po tej drodze dochodziła do przeżyć, do świadomości do objawień, wobec których twoje życie i twoja praca prawie nie istnieją. Mówię: prawie. Bo przecież one też istnieją. Na moją nie jej miarę. To porów-

* „Głosy z daleka”, *Kultura*, lipiec, 1965.

nanie nie powinno ani peszyć ani być złą literaturą: marzeniem-kłamstwem. Każdy ma inną, jedyną, swoją drogę. I na niej jeden krok dalej w uwadze, w pragnieniu, żeby wola postępu była nie w głowie tylko, nie na papierze ale w ciele i krwi, jest ważniejszy niż wszystko. Wczoraj odczytałem jej tekst w „Cahier de Sud”* i wydał mi się jeszcze bardziej znaczący — rewelacyjny.



Słowa Matisse'a — po dwóch operacjach, w łóżku — jeszcze i jeszcze malujący, kreślący, wycinający. Ten sam człowiek, który parę lat wcześniej powiedział do Rouault, który go po latach niewidzenia odwiedził przed operacją: „Jak życie prędko przeszło, to jest straszne!” a tu pogodzony, błogosławiący każdy jeszcze mu darowany dzień, błogosławiący niebo niebieskie, które widzi przez okno i pragnący żeby jego praca była najbliższa: modlitwy. On który mówi do Picassa: „Nie wiem czy wierzę, czy nie wierzę. Jestem prędzej buddystą”.

Te strony Simone Weil, do nich wrócić — gdzie pisze, że grzechem głównym, kłamstwem głównym jest imaginacja. „Człowiek powinien się wcielać bo jest odwcielowany przez imaginację, co jest w nas od szatana to imaginacja”.

Przez imaginację Erenburg ucieka w marzenie, tłumacząc Michajłowowi, jakie to szczęśliwe będą w przyszłości kobiety w Rosji sowieckiej, maszyny będą wszystko za nie robić. I tym wymija zapytanie Michajłowa w związku z wyzyskiem kobiety w ZSSR teraz, wyzyskiem który jest i który widzi.

Callas w „Normie”. Rysowanie. Może coś z tych notatek wyjdzie ale znów wszystkie złe albo żadne, poza dwiema. Nauczyć się iść na takie przedstawienie utrzymując pełną koncentrację uwagi.

Niedziela 30. V.

Przebudzenie. Ta nieustanna analiza siebie, dopuszczalna jeżeli to wykorzystujesz w kierunku świadomości, przyjęcia, że życie wcale nie powinno być przyjemne.

S.W. pisze, że jedyne co jej daje pewną równowagę to przyjęta „śmierć z odroczeniem” (bo tak chciała umrzeć zaraz). To samo pisała gen. Zamoyska, która tak samo pragnęła śmierci, nadzieją tej bliskiej śmierci żyła przez lata. Po urodzeniu pierw-

* „Lettre à Joe Bousquet” przedrukowany w tomie *Pensées sans ordre concernant l'amour de Dieu*, Gallimard.

szego dziecka — pisze we wspomnieniach — zrobiła największą ofiarę, wyrzekła się pragnienia bliskiej śmierci. Jan XXIII powtarza w dzienniku „Nasiąknąć myślą o swojej śmierci, to mi da życie bardziej radosne”. Matisse u progu śmierci błogosławiący co rano każdy dzień i każdy promień słońca. A „naprzeciwko” ci ludzie ta cywilizacja, która śmierci widzieć nie chce, zapomina o niej a jak przychodzi, to gubi ją *dans la drogue*, i ukrywa ją przed chorym gdy ona jest tuż. (Ale jest Becket!).

Wczoraj u fryzjera, poszedłem podstrzyć włosy. Kobieta która przyjmuje, pono kochanka właściciela, twarz jej jak w mleku umaczana, usta czerwone, wargi lipstykiem rozszerzone, powieki jasno-niebieskie. Puste, zupełnie puste oczy. *Et vous faites toujours de belles choses*. Coś chrząkam. A ona: *Oh non, je sais que vous faites de belles choses*. Ta twarz pusta, ta sztanca gadania, przeszła mnie bardziej niż wczoraj Callas swoim śpiewem, a ciemne wagony butelkowej zieleni z afiszami na każdym oknie (niebieskie, turkusowe chorągiewki na białym kwadracie) a potem tłusta kasjerka w kawiarni o dwunastą w nocy z furą blond platynowych włosów na głowie tronuująca nad maszyną do rachowania na tle ciemnych migotliwych szyb, o ileż więcej to przeżyłem niż tandentne i przedpotopowe dekoracje „Normy”. Co mi zostało z tego wieczora. Wrażenie z sali. Zawsze zachwyt: te złota, te czerwienie światła, setki twarzy w tej ramie i światłach a nade mną świeża siła kolorów Chagalla, którego tak mało lubię w obrazach, a tu mi grał rzeczywiście.

Poniedziałek 31. V.

Irzykowski w „Notatkach” kończy 70 lat. Mój wiek, i spisuje swoje plany dramatyczne, rozprawy projektowane etc. Czytam prawie że z uczuciem współczującej wyższości bo ja wiem, że on umrze za chwilę, więc cóż za naiwność te plany. Ale wystarczy kojarzyć, przerzucić na siebie: tak samo plany, tak samo śmierć tuż.

Trzeba by myśleć o *swoim* życiu, czytając go, tak jakbym sam był z nim w czasie Powstania na Filtrowej, i tę śmierć tuż — przyjąć, „I mieć dzięki temu życie bardziej radosne”. (Jan XXIII pisał to na pewno nie jako dobrą radę, nie jako przeżycie imaginacji, ale jako własne konkretne doświadczenie).

Wziąłem dziś kajet — rok 63/II. Wiele rysunków stamtąd wyrwałem. Znalazłem jednak z dziesięć które wszystkie zdają mi się same w sobie obrazami. Poczucie że widzę obrazy z tego zrobione: nie stać mnie na nie. I znowu odruch jeszcze potwier-

dzony, jedyna rada iść na malarstwo z tych tylko rysunków choć przecie przypominam sobie na tej drodze tysiące porażek.

Dawniej to mi się udawało częściej, w pracy błyskawicznej i tylko w najwyższej temperaturze, dziś poprzez malowanie bardzo długie. „Dziewczyna w kawiarni” (własność Lady Phipps) zdaje mi się jednym z płócien najbardziej udanych — transpozycja notatki przez *długie* malowanie — pogłębianie. Obrazy „błyskawiczne” z dobrych rysunków stają się coraz to na płótnie tandetne i płaskie, ileż ich zniszczyłem. Wprost powiększone kopie tych rysunków.

Sroda 2. VI.

Jeszcze kaszel, słabość ale powrót do pracy. Nie ma jak choroba, nawet mała — lekarstwo na przemęczenie. Naraz jest czas na wszystko, kiedy chwilę przed zachorowaniem zdaje się że nie ma już go na nic i praca, która idzie coraz gorzej, nie rusza, a przed nosem zobowiązania, daty na które już nie ma sił. Półgorączki, półgrypa i zaraz wszystko odchodzi, zobowiązania wykreślasz (żadnego dramatu), daty przesuwasz, czegoś tam nie wykonujesz, za to nerwy się uspakajają i czujesz, że możesz być zdolny do pracy prawdziwej, skupionej i niepośpiesznej, bez szpicruty.

(Wspomnienie: rok 1927. Tyfus, a potem tygodnie rekonwalescencji, ten tyfus wyrwał mnie ze ślepej uliczki w malarstwie, z beznadziejnego przeciągnięcia nerwów, zacząłem widzieć jak nigdy przedtem, dopiero wtedy zaczęło mi się w sobie *wiązać* przeżycie, oko i ręka).

Skończyłem „Kosmos” Gombrowicza.

„Wsobność”. Człowiek który stracił związek ze światem. Kiedyś przed laty, utkwiło mi to w „Lady Chatterlay”, to uczucie, że dla bohaterki tej książki cała natura, trawa i drzewa, są za szybami, że przed romansem tej kobiety kontakt jej ze światem jest zerwany. Jakże ja to czułem ostro w wojsku w 1920 roku, na wojnie — zapach wieczorny lasu, wiosek, jak się do nich wjeżdżało, skóry i potu końskiego, ułani zdrowi i po jakimś pełni w życiu. Pamiętam wtedy właśnie to samo uczucie szklanych szyb, które jakby mnie dzieliły od natury, byłem poza nią. Wiele lat potem znalazłem w tej książce swoje własne przeżycia. Przecież wyskoczyłem z tej śmierci zmysłów, spoza tych szyb, z tej „wsobności” (wyrażenie Gombrowicza) wyraźnie dwoma drogami. Zacząłem żyć fizycznie. Namietnie się kochałem przedtem ale nie pozwalałem sobie na nic. W wielu wypadkach nawet nie wiedziałem czego pragnę, przerzucając wszystkie moje

pożądania na ideologię. Druga droga, która mnie poprzez lata wyśiłku, pracy *les yeux amers* z tej wsobności wyzwoliła — to malarstwo. Żadne tam natchnienie, ale właśnie piłowanie natury. Studiowanie, wgryzanie się w nią dało mi po miesiącach i latach pierwszy bezpośredni pełny z nią kontakt. Natchnienie — to znaczy praca w gorące połączonej z jakąś wzmożoną, chłodną jasnością — te stany były tak niezmiernie rzadkie na początku, że chyba dopiero po siedmiu latach — więcej — dziewięciu, zaczęły się uczyć. Ale skąd *wiedziałem* że to moja droga — dlaczego? Nawet nie rozumowałem, że może to nie ta droga, kiedy szedłem od porażki do porażki. Moje wyzwolenie szło po tej drodze, a także w przyjętym życiu seksualnym, które dało mi sto grzechów, win wobec innych, ale wyrwało mnie z samotności absolutnej, którą czułem wobec otaczającej mnie natury, ale nie wobec Boga. Otóż właśnie w okresie zamurowania seksualnego i to zamurowania przyjętego jako obowiązku, konieczność — miałem drogę do Boga niezamąconą, otwartą. Gdybym wtedy na tamtej drodze wytrwał, może mógłbym być żyć życiem mistyki. Ale nie czułem się chyba nigdy do końca i naprawdę na to przeznaczony, wybrany. A jeżeli tkwiłem w tej cnocie (czyż to była cnota?) to że nie wiedziałem jak z tej pustyni wyjść, jak się z niej wyrwać. Byłem naczytany Tolstojem, nie genialnymi jego powieściami ale pouczeniami, filozofiami, nieprawdopodobnie naiwnymi. Zawdzięczam wyzwolenie z tego stanu Rosjanom, Mereżkowskiemu, tzn. jemu i jego żonie, poetce Zinaidzie Hippus

„I nie pit' my nie smiejem
Swiatowo, ziemnowo winu”

a przez nich Dostojewskiemu, Nietzschemu i Rozanowowi, na których mnie Mereżkowski w 1919 roku skierowali.

Ale wracam do Gombrowicza i jego bohaterów. Spowiedź człowieka odciętego od świata, którego nienasycone pożądania rzutują na całą jego wybitną inteligencję i znajdują inne ujście niż ja kiedyś, w tołstoizmie, występowaniu z wojska, ideowych przyjaźniach a potem w malarstwie. On w grzechu (innej wyższej potęg) jego bohaterów? W świętokradztwie, *voyeur'yzmie*, w pragnieniu morderstwa, które wiąże bohaterów „Kosmosu”, bohaterów „Pornografii”, wyzwalać sztucznego, zawsze sztucznego Gombrowicza? On te książki musiał napisać, to było wyzwoleniem z *jego* piekła. Przez grymas i sztuczność wniesiony do literatury. Ale dlaczego Dostojewski, który pisze spowiedź Stawrogina, która pono jest do tego transpozycją jego własnej zbrodni — jest wstrząsający, ale nigdy odpychający, jest ludzki i moralny. Dlaczego Gombrowicz jest niemoralny, dlaczego czytam go coraz

ze zgorzeniem, co mi się prawie w czytaniu nie zdarza. Przy tym arcykowski i coraz to zadziwiająco katolicki! W czym? Jakby w odruchowym wartościowaniu, w *świadomości grzechu* i zła. Literatura pisana w stanie grzechu śmiertelnego? Gombrowicz tak mi obcy, więcej wrogi, to dla mnie sprawa o wiele ważniejsza i większa niż sprawa literatury. Nie umiem sobie z nim dać rady.

Do artykułu którego pewnie nie napiszę. Zacząć od Matisse'a. W jednej z rozmów jego z Picassem, powtórzonej przez Françoise Gilot, Matisse mówi o tym, że umie wyczuć, osądzić malarzy „przeszłości” i malarzy sobie współczesnych, traci jednak pewność, gdy mówi o malarzach, którzy przychodzą po nim, rozumiem jeszcze tych, którzy mają coś z niego, nawet jeżeli od niego odeszli zupełnie w dalszych etapach swojej pracy. Ale inni? Picasso się na to oburza. Nazywa tę ostrożność sądów Matisse'a, tę wyrozumiałość: tendetnym buddyzmem. *Boudhisme de pacotille*. Kategorycznie i chyba trafnie Picasso odrzuca w tej samej rozmowie sztukę czystego gestu i czystego wypadku.

Czwartek 3. VI.

Skończyłem „Vivre avec Picasso” F. Gilot.

Słowa Picassa do F. Gilot: „Każda istota posiada tę samą sumę energii (bzdura!). Człowiek przeciętny trwoni ją na tysiąc sposobów. Ja kanalizuję wszystkie moje siły w jednym kierunku: malarstwo — i jemu poświęcam wszystko — ciebie, cały świat i mnie włącznie”. Myślę, że z wyjątkiem pierwszego twierdzenia, które jest bzdurą, reszta jest prawdą. I niesłuszna była krytyka Gilot, że w starości Picasso traci ze szkodą czas włączając się i dobierając się do innych kobiet. Siły twórcze, siła realizacji twórczej w nim słabła. Dwa wyjścia: kontemplacja, modlitwa albo odprężenie w używaniu. Naturalnie że Picasso uciekał w używanie. Ale czy naprawdę człowiek o tej sumie wysiłku twórczego, o tej realizacji ilościowo ogromnej, jakościowo wielkiej, musi koniecznie dalej i dalej pracować bez wytchnienia? Nawet odejść, odetchnąć nie ma prawa, jeżeli w nim iskra gaśnie?

Najbardziej chyba demoralizuje praca już zaczęta i rzucona, czy załatwiona źle. Artykuł mój muszę skończyć nie oglądając się na czas. Dotychczas istnieje tylko początek.

„W chwilach upadku ducha traktować siebie jak chorego. Nie ruszać się” (Tołstoj). Druga rada już moja, dalszy ciąg tamtej. Kiedy próbujesz wracać do pracy a nie możesz brać wiele — bierz mniej, ale bierz, zamiast rozpaczając że nie możesz pracować.

Piątek 4. VI.

Przeczytałem wczoraj „Synową” Tibora Déry w *Kulturze*. Dlaczego ta nowelka, chyba słabo przetłumaczona, w niczym formalnie nierewelacyjna, nie „nowoczesna”, daje tak dotkliwe i oczyszczające przeżycie. Starość zobaczona, egoizm starczy, jedna jedyna *idée fixe* — jeszcze żyć. A życie naprawdę to synowa i jej młodość ofiarą, ból okropny i pełne człowieczeństwo. Czy śmierć nie jest błogosławieństwem, ale jeżeli starzy tak bardzo chcą żyć? Jakbym co kroku odkrywał grozę starości która przekreśla moje dawne błogie o starości wyobrażenia. Jakbym sam gdy jej jeszcze w sobie nie czułem, nie kojarzyłem ze sobą, nie przeżywał tych starych których kochałem, ich bezsilność fizyczną, i psychiczną, ich problemy, ich *milczenia*. Pamiętać o zdaniu Croce'go. Ale on był chyba do śmierci zdrowy, stworzył wielkie dzieło, miał warunki materialne, opiekę żony i dzieci, które go kochały.

Decyduję się na rozrzutność. Będę rysował na białych dużych stronach, nie wypełniając ich potem piśmem. Jeżeli rysunek żyje swoim życiem, coraz więcej znaczy czystość białej strony, wielki biały margines. Stosunek tej bieli do samego rysunku jest pierwszym elementem samego działania.

Pierwszy dzień pracy trochę chaotycznej, ale intensywnej. Pisanie niszczone rysowaniem i akwarelą. Patrząc na dwa kolorowane rysunki zupełnie źle. Rysunek miętutkim ołówkiem, zaledwie zaznaczony, był dobry. Akwarelę wszystko splątałem, choć właściwie widzenie kolorowe było silne i tak czyste. Teraz patrząc na ostatnie i przedostatnie moje płótna — „Metra” — uderza mnie, że są przecież gorsze od rysunków, nawet tych z akwarelą. I to wcale nie jest ani konieczne ani definitywne. Sam rozwój, waga oleju jest, musi być, inna niż akwarela. Naśladowanie rzuconego rysunku, to nie wyjście. I już dziś widzę jak próbować te swoje „Metra”, pchnąć na drogę olejną, samodzielną. Czy potrafię? Może więc wrócić do kobiety czerwonej nad morzem przyjrzawszy się akwareli i biorąc z niej intensywność bez naśladowania. W imaginacji to wszystko widzę, ale w praktyce jakbym się bał „affronter” to płótno. Tyle porażek na tej drodze.

Niedziela 6. VI.

Rekordy. Suzanne. Z pochodzenia Angielka, bezwyznaniowa, ojciec, kiedyś bardzo bogaty, wszystko puścił na wyścigach. Ona

ma dziś około 60-ciu lat, od trzydziestu czterech lat bez dnia wakacji, bez niedzieli, bez wyjazdu. Żelazne zdrowie. Jest pielęgniarką w Maisons-Laffitte. Stale na swoim solexie rozjeżdża z zastrzykami. Ubiera trupy do trumny, dawniej mieszkała z chorym nerwowo ojcem, dziś już nieżyjącym i z matką staruszką, już też nie żyje. Teraz mieszka sama w domku na wydmuchu, który się powoli rozpada. Wybite szyby, brud i chłód. Wysyła paczki do Polski. Ma najchytrzejsze pomysły, żeby od każdego pacjenta nie brać pieniędzy, to że stary, to że biedny, że był na wojnie, to że przyjaciel. Zakochana w zwierzętach. Przede wszystkim w kotach, które karmi, lecz i bierze na stancje kiedy ich właściciele wyjeżdżają. Ofiarność wcielona. Dobroć, uśmiech. A przy tym jakieś dziecinne uczucie rekordu, rekordu pracy, energii, pomocy ludziom i nawet złych warunków. Dziś już zniszczone zdrowie. Woda w kolanach. Jeszcze i jeszcze w tej samej robocie. Ale już bez sił, w poczuciu, że już nie potrafi tak dalek żyć, wchodzić i schodzić, setki schodów dziennie a inaczej żyć nie może, nie umie. Koniec. Załamana, nie ma siły pomyśleć i przebudować swego życia, z tymi możliwościami i siłami, które jeszcze ma. Całe życie — wzór — ma uczucie rozpaczliwej, opuszczonej starości przed sobą, której przyjąć, wyobrazić sobie, nie może i nie chce.

Nigdy nie zapomnę, jak wezwała mnie na jedenastą wieczór do swego domku w chłodną zimową noc. Chodziło o jakieś przetłumaczenie spisów rzeczy, które wysyłała do Polski dla mojej rodziny. Prosiła, bym przyszedł między jedenastą a dwunastą w nocy, na jedyną godzinę gdzie ją zastać można. Półciemna kuchnia, oświetlona podłą lampką elektryczną, Suzanne warzy w ogromnym kotle jakieś resztki ryb, które jej codzień dają w restauracji za darmo. Widzę jeszcze wielkie oko, chyba karpia, którego łeb wysuwa się z czarnej wody. Naokoło tego garnka siedzi siedem czy osiem kotów, w pozycjach zupełnie nieruchomych, czekają w napięciu na tę nocną ucztę królewską. Susanne wśród swoich kotów w nocy uśmiechnięta i naprawdę młoda i radosna po całym dniu harówki, rozjazdów, w chłód i deszcz, wizyt do ciężko chorych i umierających, ma teraz swoją purpurową godzinę, swoje święto.

Gdyby żyła w średnich wiekach, spaliliby ją razem z jej kotami jak czarownicę, tę najlepszą, najofiarniejszą z kobiet o jednej jedynej słabości — guście rekordu.

W książce Jana Kasjana (IV w.) jest opis anachorety, który się uskarża, że gdy był wśród braci zakonnych w klasztorze mógł żyć jedząc — dajmy na to — jeden sucharek na dzień. A teraz gdy żyje sam w pustelni, musi zjeść aż trzy sucharki dziennie. I święty pustelnik czy jego przełożony tłumaczy mu: „Wtedy

karmił cię podziw twoich współbraci, podziw nad twoją cnotą a teraz podziwu w samotności nie masz, dlatego musisz jeść więcej sucharków (powtarzam nieścisłe z dalekiej pamięci).

Ten gust rekordu, ten kult rekordu, forma szlachetna (?) ambicji, wywyższania się nad innymi. Ile we mnie tego było i jest? Dojść do pogody tracąc wszystko: przyjaciół, zdolność pracy. Powolne wykreślanie siebie ze świata na tej drodze; spotkać możesz wówczas niespodziane i wstydlive odkrycie, gdzie to co uważałeś w sobie za najlepsze, czym żyłeś, z czego byłeś po cichu dumny — okazuje się wcale nie cnotą, ale formą próżności, ambicji, egoizmu blisko pokrewnego ludziom, którzy ciują pieniądze, zbierają skarby czy pchają się po drabinie społecznej po ordery i godności.

Poniedziałek 7. VI.

Na przeciwko kawiarni „Bichette” w szarą pogodę. Rowery na tle zielonkawej ściany i czarnej jamy wnętrza kawiarni z naprzeciwka. Co w tym nowego? Nowe, że widzę coraz dobitniej jakby namacalnie konkretniej (zresztą nadal te wizje, gdy tylko mi się zdaje że je już dosięgam na własnym płótnie — uciekają dalej i dalej jak fatamorgany), coraz dalszy się czuję od abstrakcji, może to taka chwila tylko, ale wyjaśnić to *w sobie* mogę tylko nieugiętą, ciągłą pracą, którą coraz zrywam dla innych prac czy stosunków z ludźmi. Nawet nie tyle o ludzi chodzi — jak jestem malarsko rozkręcony ludzie do pewnej granicy są mi potrzebni, karmią mnie, ale zrywam, zrywam pracę prędzej podczas pisania, które przychodzi na mnie jak mus i nacisk — *tu* staję się słaby, gdy tylko do pisania się zabieram. Pisanie się wlecze, nurt pracy słabnie i wtedy wszystko mi przeszkadza. „Złej taneczniczy...” Zmęczenie coraz to zaciera, wydłuża pracę, od której już uciec nie mogę, jeżeli ją na siebie wzięłam, nurt twórczy słabnie, co raz to ginie, rzucić tej pracy nie mogę bez niszczenia siebie i tu giną tygodnie, które mogłyby być złotymi tygodniami w malarstwie. I gdyby to chodziło tylko o malarstwo, chodzi o *poznanie*, posuwanie się w tym poznaniu, w scalaniu poznania, świadomości, oka, ręki.

Cały ranek praca, z uczuciem że już może nie mam siły na pisanie? Żeby z pisania zrobić całość, żeby była książka, artykuł. Musi być to domknięcie, ta jakaś jedność budowy, stylu, wyrazu. Na to, właśnie na to — trzeba mieć jakiś zapas sił. Czy ta siła ode mnie odeszła? D. Filosofów, wówczas młodszy ode mnie dzisiaj (miał chyba 65 lat), napisał ostatni artykuł, świetny, cięty i dźwięczny, językowo zwarty „Ogułom” i przestał pisać,

jakby nożem uciął. Był już chory w Otwocku. „Ja jewo napisał z gramadnym trudom” — wtedy mi powiedział, że na pisanie już go nie stać, że pisać już więcej nie będzie. To samo było z tym pisarzem niemieckim-romantykiem — Brentano, jego życie czytałem przed wojną. On też w sześćdziesiątym którymś roku uciął z dnia na dzień swoje pisanie.

Wtorek 8. VI.

Po co malujesz? Po co piszesz? Bo wiesz, że tu jeszcze cię stać na jakiś postęp, ruch jeżeli byś umiał w pracy naprawdę być do końca. Wczoraj w „Expressie” popularna historia Einsteina. Jedno mi utkwiło: jak przychodziła do niego myśl ważna — wyłączał się z sekundy na sekundę i szedł za nią „*cessans tout simplement d'être là*”, a jednocześnie jakby nic dla siebie nie żądał. To życie wizji twórczej nie krzywdziło bliskich. Picaso, który dla swej sztuki potrzebował nowych kobiet, nowych doznań, szedł po trupach; czytając F. Gilot ma się uczucie, że ta ogromna góra obrazów i rzeźb jest przeciwwagą krzywd ludziom wyrządzonych. Czy przeciwwagą współmierną? Krzywd które wyrządzają i może muszą wyrządzać ludzie o indywidualności tej miary. Ale nie o to chodzi. Krzywdy które są, muszą być w każdym życiu, rozdartym sprzecznymi obowiązkami; chodzi o to czy wierzymy, że służymy, że praca nasza jest koniecznością. Sensem? Znowu Proust „*le pan de mur jaune*” i zaledwie zidentyfikowany malarz Vermeer. Simone Weil, dla której od dzieciństwa było aksjomatem, że żaden wysiłek nie ginie, że służy. Wszystko to jakoś we mnie się postrzępiło. Degradacja wewnętrzna i nerwy, złości, irytacje, które przeważnie chowam. Wiesz że nie jesteś Einsteinem, nie mieszkasz w Princetonie, nie jesteś sam. Żyjesz w takich a nie innych warunkach, i w tych warunkach musisz dotrzeć od swojego oddechu. Co się zmieniło? Najprościej skurczenie sił a jednocześnie jakby „spuchnięcie” — ten wzrost potrzeby namalowania wypowiedzenia. I zaraz stoi problem wyboru. „*Qui, qui sera assassiné*”.

Nie ma co: życie, radość spojrzenia, uchwyt nieabstrakcyjny, radosny (może prędzej pełny) to moje malowanie, to mój rysunek, a pisanie to umartwienie, to tylekroć nuda i męka (to jest może moja asceza która mi daje inny rozpęd do malarstwa, głód malarstwa), ale trzeba nie za długo pisać, żeby nie za daleko odejść. Szybą którą się odgradzasz od życia podczas pisania: jakże tę szybkość czułem ale nałożoną na siebie świadomie na miesiąc, u Dadejów na Bystrym, zimą 33 roku. Pejzaże przepiękne, śnieg świetny, osłepiający. Cisza po targaniu warszawskiej, daleki

w śnieżnej mgiełce rysunek drzew i krystaliczne powietrze, niebo jasne, gładkie, biało-niebieskie, wszystko to widziałem, do dziś widzę, ale nawet podczas spacerów widziałem to za szybą bo żyłem tylko pisaniami mego Rozanowa. To samo jeszcze dawniej w Mordach, gdzie słoneczne, nie za gorące, ciche, dni sierpniowe wśród najbliższych zużyłem na pisanie o Hiszpanii w zamkniętym pokoju, odcinając się od wszystkiego. Dziś jeszcze po dniu dobrego pisania, chwila w kawiarni, gdzie wprost nie pozwalam sobie *patrzeć*, żeby nie wpaść w pokusę rysowania.

9. VI.

Po pracy nad artykułem znowu uczucie, że cały artykuł jest jeszcze bez formy, ale co gorzej, że mówię za dużo, za daleko, za otwarcie — bo za łatwo o Boga, o religii. Czy moje głębokie odruchy, żeby być w tej dziedzinie milczący i tylko operujący dyskretnie jednym słowem, aluzją — czy to strach przed „pozytywistami”, chęć powiedzieć co chcę, sam się chroniąc w niedopowiedzeniach, czy to przeciwnie strach łatwizny i tego, że jestem niegodny. Ten strach Żydów, którym nie wolno było wymawiać imienia Jehowy. Podejrzewając siebie o pierwsze — pisałem jaśniej, podkreślając. A teraz mnie się to zdaje jak najbardziej wątpliwe, bo nie potrafiłem, nie stać mnie było i wpadłem w jakąś kaznodziejską retorykę, która nikogo nie przekona, a prędzej odepchnie. Źle czy dobrze — kończyć.

Znowu czuję się w moim pisaniu zgubiony jakby w wacie słów nierealnych, patetycznych, niedotykających tego co najważniejsze, gdzie mówić trzeba z całą odpowiedzialnością i oszczędnością zarazem albo milczeć. Dalekie wspomnienie o skakaniu psa przez kij. Otwieram „Pamiętnik” Brzozowskiego z 21. XII. 1910 (cztery miesiące przed śmiercią).

„Niewątpliwie mam dużo do powiedzenia, do usprawiedliwienia mojej bezczynności, apatii i przygnębienia i to właśnie jest fatalne, że mam tyle obiektywnie słusznych racji. Co po tej słuszności? Twoją psią służbą jest pracować, czy masz ochotę czy też nie, czy widzisz cel pracy, czy bez celu. Skakanie przez kij. Skacz. Nie rezonuj!... Już przeszła, skończyła się młodość. Wiek dojrzały zastał bez sił, obciążonego przeszkodami, źle przygotowanego. Już nie ma atmosfery marzeń. Śmierć może czekać lata, ale potencjalnie, in idea stoi za ramieniem”.

10. VI. Czwartek

Jak mi trudno uwierzyć w nieśmiertelność. Wierzyć, naprawdę wierzyć, że Brzozowski *jest*, żyje, tak jak on wierzył, przed

śmiercią, że Newman żyje, jak on czuł, że Newman *jest*, jak on jego, umarłego o pomoc prosił.

Niech błogosławione będzie imię nauczyciela mego i dobroczyńcy (tekst zapisany dwa miesiące przed śmiercią). Prawie lękam się że go znieważam przez to powiązanie mojej biednej duszy z jego światłością... Modlitwom jego przyszłość moją, duszę moją składam, ducha opiekuńczego o wstawiennictwo proszę. ... Wierzę w Jego istnienie, wierzę że żyje... Wierzę w moc wstawiennictwa i błogosławioną siłę modlitwy i obcowania... źle, słabo może ale wierzę, wierzę w tej chwili. Niktą jest ta wiara może zelżywe jej samoistnienie, nie mam innej. Tak wyzuta z prawdy jest moja dusza, z prawdy i odwagi wytrwania przy niej, tak wielka jest przemoc zimnych godzin, zelżywych chwil sceptycyzmu... Nic nie mogę napisać więcej — już przemaga znużenie i przesłania jasność. Teraz mogłyby już tu być tylko słowa”.

Właściwie tu jest mój ciemny punkt, że życie pośmiertne, „świętych obcowanie”, że to wszystko jest dla mnie *lettre morte*, to zaciemnia życie, *moje* życie i to daje „po co”. To życie okrutne a potem? Nic, jeżeli zatrata pamięci, ciągłości mojego ja. Jeżeli światło wieczne w Bogu, ale bez tej świadomości bez pamięci o najbliższych — to po co tu żyć, i *tu* kochać?

11. VI. Piątek

Dla czego Brzozowski, umierający nędzarz, *nie wątpił*, że musi dać swój ostatni wysiłek, że musi skakać przez kij, choć umierał. Przede wszystkim dla tego samego powodu co Simone Weil. Bo wierzył, jak ona, w absolutny sens każdego wysiłku. Ale *też*, bo wierzył w swoją pracę, że może zmienić oblicze polskiej literatury i przez to Polskę samą. Bo wierzył w czyn, w jutro, w Prawdę (przez duże P), w Prawdę, która jest w obrocie gwiazd i w kieszeni (parafrazuję Norwida).

Ce qui m'intéresse c'est le bifteck — powiedział mi siostrzeniec naszej staruszki praczki. Ten światopogląd dziś najczęstszy tu, we Francji — wszyscy jesteśmy choć ociupinkę nim zarażeni. Co taki człowiek może zrozumieć z historii tego księdza na Ukrainie, który w latach 20-tych katowany był przez Czerewyczajkę i napisał zagranicę wymuszony list, że Kościół wcale na Ukrainie nie jest prześladowany. Potem, wypuszczony z więzienia Czerewyczajki, nie tylko nie przystępował do sakramentów ale nie śmiał się modlić w obecności Hostii. Modlił się za ścianą, za którą była kaplica gdzie był Przenajświętszy Sakrament. A potem sam podlał się benzyną i podpalił. Umarł z ran. „Musiałem siebie ukarać”. A ksiądz, który we wspomnieniach o tym opowiada, pisze ze spokojem, że jeszcze zdążył go drugi ksiądz wyspowiadać, ale komunii nie dostał bo z powodu rewizji w kaplicy

ksiądz mu Hostii nie zdążył donieść. I, jak pisze ten ksiądz, został tak przez Boga ukarany, że targnął się na swoje życie. Świat szaleńców? Ale co wart jest człowiek, co warta jest ludzkość bez istot takich, które *dans le pari de la vie*, umieją płacić. A my? A ja?

Cały dzień pracy, tekst słaby niezmiernie. „Skacz, nie rezonuj”.

Sobota 12. VI. godz. 5,30 rano

Znów panika. Ten zły artykuł życie mi zatyka. „*Skąd wrosło w te wszystkie umysły, że życie powinno być przyjemne, przyjemne dla nich, i że gdy nie jest, ma to jakiegokolwiek znaczenie godne obiektywnego opracowania. Wnet wciąga się w dyskusję społeczeństwo, Polskę, byt. Dla tego, że tutaj, w tej lub innej indywidualności nastąpiła przerwa w odczuwaniu przyjemności*” i jeszcze Brzozowski notuje, chyba tego samego dnia, swe uwagi o bezreligijności myśli polskiej zdolnej „doprowadzić do rozpaczy” o instynktownie wycutym braku „wszelkiego związku z długotrwałymi, powszechnie dojrzewającymi sprawami życia gatunkowego, nie chcemy mierzyć samych siebie wielką miarą”. On chce tu wyrazić, piętnować niezaczeptenie każdego z nas o Polskę ani o żadne „długotrwałe procesy stawania”. *Staje się Rosja, stają się Niemcy, socjalizm się staje, czy katolicyzm, my sobie ćwierkamy nieodpowiedzialnie, tak to czuł Brzozowski. Zostaje moje ja, moje sprawy i sprawki. Ale kiedy w tym świecie nie ma religii, wiary autentycznej więc groźnej, ważnej — jest katar, przyszc na nosie i mój nieskończony artykuł. Brzozowski bije nas po twarzy.*

Jest ważne *względnie* czy dam radę z artykułem, czy go rzucę, czy malarstwo moje doprowadzę dalej, czy może na nic mnie już nie stać, *bezwzględnie* tylko to jest ważne czy dam mój cały wysiłek, żeby to, co jest moim zadaniem, osiągnąć. Jestem też ćwierkającym przyjacielem Brzozowskiego, któremu skończyła się przyjemność i którego rzeczywisty wewnętrzny horyzont jest inny niż ten, o którym tak dużo gada i pisze. Rzeczywisty mój horyzont — to żeby nie dostać grypy, żeby w pracy mi nie przeszkadzano, żeby artykuł się udał, żeby być wolnym, to znaczy móc widzieć ludzi miłych i drogich. Ale *to*, ale *korzenie* tych przeżyć są płytkie, niewrośnięte w długotrwałe, dojrzewające przez wieki sprawy. To są sprawy mojej indywidualności. Ale wtedy czym się różnię od tych Francuzów, którzy przynajmniej się przyznają że chodzi im tylko o *bifteck*. Bifteki bywają różne. Jeżeli czytam przyjemnie pod lampą w łóżku, jeżeli moje dobre fizycz-

ne samopoczucie, a nawet malarskie, staje się tylko sprawą *przyjemności*, to się staje też biftekiem. Jeżeli tak czepiam się mojego malarstwa, to bo tu, zaraz, czuję i wiem, wiem pod pędzlem, natychmiast, że malarstwo traktowane jako biftek bez nurtu wkorzonego głęboko przestaje istnieć, jest smakiem, estetyzmem, jest „przyjemne” albo „nieprzyjemne”. Tam jeszcze mam zazębie o sprawy długotrwałe i głębokie. Choć, kiedy patrzę na moje płótna, nie widzę żadnego sensu czy korzyści *dla innych*. Zdają mi się obrazami malarza trochę eklektyka z pewną kulturą i niewielkim talentem, nie odkrywczym. Jednocześnie czuję, wiem, że mógłbym przy większym nakładzie woli, większej wyłączności wysiłku, mieć malarstwo bardziej znaczące. Więc?

Czy naprawdę w każdej robocie trzeba przechodzić przez panikę? Na przykład taką, jak dziś rano. Cały ranek, aż do wy-czerpania, spokojna i ostra praca, którą zawdzięczam tej rannej panice. Prędzej jakimś wyłamaniu ścianki poprzez tę panikę, wyłamaniu ścianki ku spokojowi. To jest w innym, *miniaturowym*, natężeniu ta sama krzywa przeżycia, co u skazanego chłopca, na łóżku szpitalnym, w nowelce Żeromskiego „Cokolwiek się zdarzy”, ta „kryjówka zaczarowana na siedem zamków zamknięta”, to jest to samo co miewałem na froncie, gdzie zupełny spokój i jakieś upojenie podczas bitwy przychodziło po okropnej, długiej panice.

Die Angst ist die Rückseite jedes Willens. Strach.

Strach czego? Perspektywa porażki, która wcale nie jest fikcją a zupełnie konkretnym prawdopodobieństwem tuż, którego nikt poza tobą nie widzi i każdy chciałby głupio pocieszać, gdy zdarza ci się coś o tym powiedzieć. „Ach to już miałeś tyle razy, to przejdzie”. Ale to nie tylko strach, to psychiczna i fizyczna niezdolność przyjęcia tej perspektywy. Najważniejsze *przyjąć* ten wariant możliwy, reszta nie od ciebie zależy.

Wyskok do Paryża. Co widziałem? Pod czarną kolumną, na peronie stacji St. Lazare, jakieś śmiecie i parę rozbitych szklanek, błysk czystości tej bieli, jej *blask* — kontrast z szarością i czernią kolumny. Na moście przed Louvre'em kobieta oparta o parapet, czarny płaszcz, kuciek włosów blond na zwyczajnej głowie. W tle gęsta, puszysta ściana zieleni. To wszystko co widziałem właściwie nic więcej.

Niedziela 13. VI.

W kawiarni.

Wczorajsza panika i potem ostra praca, dziś już przebudzenie

bez śladu paniki i już do pracy zabieram się bez wczorajszego tempa. Tego rodzaju przeżycia jak wczorajsze nie mogą być co dzień, to łaska za którą trzeba potem długo płacić. Tak, łaska paniki, bo daje, rodzi jakiś organ przeżyć świadomości, a poprzez to przeżycie przemienia w nas stosunek do otaczającego świata. I takie malutkie doświadczenie intymne (czy są malutkie i wielkie i w stosunku do czego wielkie czy malutkie? W chwili takiej człowiek nie porównuje) daje prawo, i to na bardzo krótko, do słów powtarzanych już drętwą, bo one znowu żyją i otwierają czy otworzyć mogą drzwi na „dalej”. Na to potrzeba temperatury przeżycia, którą przeważnie daje ból i strach. Że dopóki tego progu człowiek nie przejdzie, kroku naprzód nie zrobi.

Zapytania do Roy Lichtensteina. 1. Obiektywne widzenie świata. 2. Reakcja przeciw mętnej abstrakcji. 3. Industrializacja. 4. U nas karykatura i afisz, u Amerykanów afisz i komiksy, te sztuki służebne, które nie zerwały nici ze światem widzialnym może uratują związek artysty z tym światem, który go otacza. Ale czy skutkiem industrializacji jest konieczność robienia z obrazów przedmiotu gorszego od najbanalniejszego afiszu? Obrazy Lichtensteina mają świadomy wysiłek zupełnego przekreślenia malarskich zalet nie dla stworzenia nowych, industrialnych, ale dla oddania się stylowi życia amerykańskiego. To już nie nasiąkanie otaczającym światem, ale jakiś ostateczny konformizm wobec życia.

Czekam na autobus na szarej ulicy.

Moja radość życia? Chyba to słowo znaczy: wola życia, praca, po odnalezieniu się w samotności i wyraża się w tym, że znowu oddycham swoim oddechem, znowu widzę, oddycham oczami. Ale o co chodzi, jeszcze przed chwilą w kawiarni: noga kobiety i kawałek spódnicy w deseń. Noga spleciona z nóżkami *modern* krzesła. Ta kobieta mnie wcale nie interesuje, ale tę pokręconą nogę razem z krzesłem chcę, muszę ją notować. Czekając znowu na autobus: dom stary czarny z szarymi smugami zamalowanych pęknięć z dużym afiszem o dwóch zieleniach i ciepłym brązie. Te dwa *spojrzenia* na nogę, na dom, które są zupełnie oddzielone od zwyczajnego patrzenia, dlaczego właśnie takie żądają zanotowania i w czym są zupełnie *inne*? Temat (literacki, myślowy) koło takiego widzenia może narastać, rzadko jest punktem wyjścia wizji (choć bywa także). Więc co? Czysta abstrakcja? Nie. Moje odkrywanie świata to odkrywanie form czy układów form istniejących na świecie, które nas otaczają i których przeważnie nie zauważamy. Kto patrzy na brzydkie nogi, wpłątane w brzydkie blaszane rury *modern* krzesła i kto patrzy na tym przystanku tramwajowym na dom ani brzydki ani ładny, tyle że brudny, jakby kurzem pokryty, gdzie mnie czaruje ta wielka

delikatność szarości. Kto patrzy na widziane z góry schodów czerwone kafle naszego korytarza w Maisons-Laffitte (ale *tu* są u mnie reminiscencje holenderskie).

Tylko co przeczytałem duży artykuł o de Staëlu mętny, entuzjastyczny, wielosłowny, ale parę cennych faktów (Pierre Granville „Connaissance” czerwiec nr 160):

„Ach chcę teraz malować pejzaże, martwe natury, akty, portrety, kwiaty” — zwierzył mi się z egzaltacją i natchnieniem de Staël — z natchnieniem, które chciałoby ogarnąć cały świat. Gdy nie czuł już więcej na sobie obsesji modnych formulek, oderwany w swojej dumnej samotności, również od tych grup wyznawców religii abstrakcji, religii teoretycznej, więcej niż odczutej. Kpił sobie z tych malarzy, nazywając ich „le gang de l'abstraction avant”. To była gra słów na tle ówczesnego słownictwa prasowego, gdzie pisano wiele o gangsterach de la traction avant.

Lawina marzeń i planów jak jestem sam. Uznać to za chimerę czy iść w tę chimerę.

Moja rozmowa dziś z Roy Lichtensteinem. Twarz miła, skromnego, młodego człowieka, miła żona. Bez śladu grymasów. Zaledwie mówił parę słów po francusku, ale przecież poczułem zaraz kontakt i zaczęliśmy sobie duknąć o malarstwie. Ale natychmiast mały nachalny dyrektor galerii, Sonnabend, zaczyna mi robić jego propagandę i mówi te same wyświechtane frazesy, które czytam wszędzie. Przerywam rozmowę i wychodzę.

Czwartek 17. VI.

Może najważniejsze wczoraj to kupiony numer „Connaissance” z kolorowymi reprodukcjami de Staëla. To są pewnie znowu złudzenia starości, że ten dzień, gdzie w lejący deszcz — oberwanie chmury — brnąłem po zalewanych wodą ulicach, pchałem się po zapchanych autobusach, zdawał mi się wcale nie zdradą malarstwa, ale wstępem i radością, pożyteczną, płodną dla malarstwa właśnie. I zaraz wtedy sto projektów, wyłamujących planowanie już ustalone, nie swoje tylko, ale nasze!

O krzywdzie. Jak się żyje z ludźmi, wystarczy zrobić ruch *własny*, dla siebie samego nieoczekiwany — zaraz się zadaje cierpienie. To jak w tych przepełnionych więzieniach, gdzie ludzie leżeli w nocy na ziemi, jeden przy drugim. Musieli jednocześnie przewracać się z boku na bok, bo inaczej budzili, dusili, przeszkadzali innym. Więc co za wniosek? — nie ruszać się wcale, nie wstawać, czy wstać, podeptać, wyłamywać drzwi, czy otwierać okna. Na to się ma siły jeżeli się wierzy w sens swych ruchów, sens i korzyść nie tylko dla siebie.

Czwartek 17. VI.

Duże płótno dzisiaj: „kobieta w metrze”, wielkie zmęczenie, zdaje się pierwsze płótno namalowane z pasją od paru miesięcy. Wczorajsze przeżycie w metrze, które dziś właściwie maluję, przecież to jest malarstwo o którym marzę i kupiona „Connaissance” z obrazami de Staëla dała mi jakby szturchnięcie w plecy, które się daje w ostatniej sekundzie skaczącemu ze spadochronem. Może to chwila, może to znowu tylko *élan*, ale spróbować przed wyjazdem tej pracy błyskawicznej, choć i takie plany na najkrótszą metę nie mogą nic znaczyć, bo tu już zupełnie jasne, że nie wola gra, a konieczność. Cóż może dać wola? Nie bruździć. Nie zaśmiecać tych przeżyć.

Piątek 18. VI.

Paryż, galerie.

Niedziela. 20. VI.

(Nagły telefon: Anna Achmatowa przejazdem w Paryżu chciałyby mnie widzieć. Wyruszam natychmiast do Paryża do hotelu przy Etoile, gdzie się zatrzymała. — Notatka spisana ołówkiem zaraz po wyjściu, do której dołączam parę szczegółów zapamiętanych i niezannotowanych).

Duży pokój hotelowy, Anna Andrejewna w wielkim fotelu, gruba, okazała, spokojna, przygłucha. *Très dame*. Mimowoli przypominają mi się osiemnastowieczne portrety wyidealizowanych caryc rosyjskich. Poza nią w pokoju jej wychowanka z Moskwy — młodziutka panna Kamińska, Polka z pochodzenia, towarzyszyka podróży, młoda Angielka z Londynu, dawni przyjaciele z emigracji wchodzi i wychodzą.

Anna Andrejewna rok temu była w Taorminie, po odbiór międzynarodowej nagrody „Etna-Taormina”. Pierwszy wyjazd Achmatowej zagranicę chyba od 1914 roku! Mówi o tej nagrodzie bardzo ironicznie, jak o jakiejś bolszewickiej kombinacji. Chciała wówczas jechać przez Paryż w drodze powrotnej, ale Surkow jej powiedział: *Wy wiernoties' tak kak prijechali*. Teraz znowu wysłali ją do Anglii przez Ostendę, tak żeby nie zawadziła o Paryż.

W Londynie udało jej się uprosić ambasadę rosyjską — narzeczcie pozwolenie dostała, pod warunkiem, że zostanie w Paryżu.

zu nie więcej niż dwa dni. Wczoraj, nie otrzymawszy odpowiednich dla obu pań biletów do Moskwy, odłożyła wyjazd o jeden dzień — ostre wymówki w ambasadzie paryskiej za niesubordynację. Nikt jej tu oficjalnie nie przyjmował na stacji, był jeden Bouchène, kuzyn jej męża (znałem go w latach trzydziestych, jemu zawdzięczałam, że mnie odnalazła).

Zostałem przez chwilę z nią sam, zaraz pytam o syna, (mówiła mi o nim w Taszkencie w 1942 roku, o jego aresztowaniu jeszcze przed wojną i wywiezieniu w niewiadomym kierunku).

Mówi mi, że spędził w obozach w sumie 14 lat, wypuszczali, znowu zabierali, „zdobywał Berlin”, teraz jest na wolności, profesorem, napisał tezę o Hunnach, jest w doskonałej formie fizycznej „ale coś mu się w głowie pomieszało w obozie. Od powrotu mnie znienawidził i nie chce się ze mną spotykać, już trzy lata go nie widziałam”.

— *Nu chtoż — dodaje Anna Andrejewna — tak bywajet chto samyj blizkij czeławiek stanowitsia czużdym.*

Drugie o co pytam, to o poetę Brodzkiego. Zna go, bardzo go ceni. Wypuszczono go z obozu pod Archangielskiem na trzy dni (na Wielkanoc czy Boże Narodzenie?). „Najwyższe władze lekarskie, do których go wysłaliśmy, oceniły jego stan zdrowia jako bardzo poważny, schizofrenia etc., wrócił do obozu z wszystkimi świadectwami od lekarzy, ale lekarz tamtejszy uznał go za całkiem zdrowego.

— *Nie ponimaju w czom dieło, wied' nikawo, nikawo nie arestujut i wdruč Brodzkij!* — Achmatowa mówi dalej — „Stalin doprowadził kraj, do ostatniej *deprawacji*, teraz nadal jest trudno, ale bardzo dobre jest nowe pokolenie, to *po Stalinie*”. Mówi to z ciepłym, żywym akcentem. W ogóle mówi spokojnie, bardzo oszczędnie, bez śladu superlatywów i to daje wagę każdemu jej słowu.

O Kulturze słyszała od profesora Jakobsona. Wie również, że o niej pisałem, znalazła wzmiankę o tym w jakiejś bibliografii, naturalnie nie czytała.

Wspominam Terca i Arzaka (Siniawskiego i Daniela). Reaguje bardzo ostrożnie: „Nie wydaje mi się, by „*Fantasticzeskije razzkazy*” Terca mogłyby być napisane w Rosji” — i milknie. (Czy tak myśli naprawdę, czy może wie wszystko i dla tego tak mówi?)

Przed Bouchènem i przede mną deklamuje swoim półspiewnym głosem wiersz napisany w Londynie. Ten wiersz zapisany na kartce, włożonej w karnet z londyńskimi adresami, drze na drobny mak, „znam go już na pamięć”, mówi. Ten karnet także zamierza zniszczyć! Kiedy Bouchène dziwi się, że swoich własnych notatek przewieźć nie może, Achmatowa zwraca się do

mnie: *Wot widitie, sorok liet nie był w Rassiji i daże on nie panimajet! Chto gawarit' o Francuzach!*

Znajomi z emigracji, przyjaciele z dawnych lat, wyznawcy jej poezji, przychodzą i wychodzą. Pokazuje nam artykuł o niej w amerykańskiej emigracyjnej gazecie — entuzjastyczny. Mówi, że to jej może bardzo zaszkodzić.

— W czym to może pani zaszkodzić? — pyta ktoś z nas obecnych.

— No chociażby, że zbiór moich wierszy się nie ukaże i że wyjechać znowu mi nie pozwolą (projektowana jest jej podróż do Ameryki).

Rozmowa toczy się dalej; prostuje jakieś szczegóły swej biografii, jeszcze sprzed czternastego roku (okres Paryża, jej przyjaźni z Modiglianem etc.). Mówi o tych czasach z dużego oddalenia. Jakoby Makowski był zazdrosny o Mandelsztama i jeszcze o kogoś, stąd straszne fałszywe o niej w książce, która ma się ukazać w Ameryce. Między innymi, że w Paryżu ona była zazdrosna o Gumilowa czy on o nią. I dodaje z humorem: *Nu chtoże, my wsie w eti wremiena kuwyrkalis', a tiepier o nas tiezisy piszut!* — Znowu uczucie, jak u Marii Dąbrowskiej, że ona jest już monumentem, że musi pilnować swej biografii. Może nie monumentem, ale strażą przednią, która pilnuje dobrego imienia, czy może prędzej ścisłych danych biografii... Achmatowej.

*Przypisek późniejszy**. To było moje spotkanie z Achmatową, pierwsze po dwudziestu trzech latach i ostatnie. Anna Andrejewna umarła w marcu 1966 roku i teraz tak mi żal, że ta notatka, spisana ołówkiem w kajecie, pośpiesznie zanotowana, jest tak oschle lakoniczna. Pisałem o niej w „*Nieludzkiej Ziemi*”, o moim z nią spotkaniu w 1942, przemilczając naturalnie to, czym mógłbym jej wówczas zaszkodzić, przemilczając tę nocną wędrówkę z nią, gdy ją od Aleksieja Tołstoja odprowadzałem. Od tamtych czasów jakie było jej życie: całe okresy dla mnie tajemnicze — wierszy pisanych nawet nie do szuflady, przyjaciele najbliżsi uczyli się ich na pamięć. Taszkient, Ałma-Ata, i nagle słowa Stalina: *Anna Achmatowa wielikij poet*, które z chwili na chwilę zmieniają jeszcze podczas wojny jej los: hołd w Moskwie, powrót do Leningradu, a po wojnie żdanowszczyzna, nowe prześladowanie, potem okres postalinowski, częściowe zwolnienie obciążenia ucisku, jej wzrastająca sława, legenda i wiersze, które do nas

* 1967.

dochodziły z Rosji i z Ameryki, tych parę, które mnie nie opuściły od czasu gdy je przeczytałem jak „Radnaja ziemia” (z 61 r.).

*„I w mire niet ludzi biezszlozniej
nadmiennieje i proszcie nas”*

i „Pasliedniaja roza” (62 r.):

*„Gospodi! Ty widisz ja ustala
Woskresat’ i umirat’ i žit’*

i te wydane w 63 r. w Monachium w tomiku „Requiem”. Aż po te same „Requiem” przez Łobodowskiego tak pięknie, tak wiernie w *Kulturze* przetłumaczone:

*„...Chcę tutaj, gdzie tyle męczyła się czasu
A rozbić nie mogłam ni krat ani zasuw,
Bo nawet przez śmierci mej spokój i ciszę
Zgrzyt wozów więziennych chcę znowu usłyszeć.
Bo nie chcę zapomnieć jak łoskot brzmi głuchy
I wycie zwierzęce nieszczęsnej staruchy.
By śnieg topniejący wciąż sływał na nowo
Jak łzy nieustanne spod powiek spiżowych,
Gruchanie gołębi w więzieniu przeklętym
I wolno po Newie niech płyną okręty”.*

W Paryżu patrzyłem na tę kobietę w fotelu hotelowym nie na tę tragiczną i jeszcze piękną poetkę, spotkaną w Taszkencie, ale kobietę wiekową, jakby uspokojoną, która już z daleka i z wysoka patrzyła na swoją przeszłość i dzieło swojego życia. Wielką poetkę w aurze swojej wówczas już światowej sławy, otoczoną oddanymi jej młodymi kobietami i dawnymi przyjaciółmi z emigracji.



Dopiero po jej śmierci otrzymałem z Londynu list — pytano mnie czy znam wiersz napisany przez poetkę w 1959 roku*, który jakoby mnie poświęciła. Nigdy o tym wierszu nie słyszałem. Napisano mi, że ona tak nieraz robiła, nie mówiła komu wiersz poświęca — niech się domyśli. Ale ja tego wiersza nie znałem, może ona wówczas w hotelu paryskim czekała, żebym o nim wspomniał? Przysłało mi go dopiero w maju 1967 r. Wiersz ten

* Zamieszczamy go w oryginale na str. 42.

ukazał się w dwóch kolejnych wersjach. Cytuję tutaj fragment z otrzymanego listu, który mi o tym po raz pierwszy opowiedział.

„Posyłam panu fotokopię poematu 'Iz cikła Taszkientskieje stranicy' z książki 'Biez wremieni', Moskwa/Leningrad 1965. Pierwszą rozmowę w związku z nim miałam z przyjaciółką Achmatowej, ona mi wskazała różnicę dwóch wersji i powiedziała mi, że Achmatowa nie śmiała w pierwszej wersji, która się ukazała w druku, pomieścić słowa Warszawa (wydanie moskiewskie 1961 r.) ale że to teraz już możliwe. Spytała mnie czy wiem o kim tam mówi poetka. Powiedziałam, że nie. A ona na to: 'ja wiem, ale nie powiem, powiem tylko że tu słowo Warszawa, da pani odpowiedź'”.

„Parę dni potem mówi mi pani X. (również bliski człowiek Achmatowej). 'Nie rozumiem dlaczego nie chciano pani powiedzieć o kim mowa w tym wierszu, to był malarz polski, który przybył do Taszkentu w czasie wojny i którego Anna Achmatowa spotkała'. Co do mnie (pisze moja korespondentka) jestem pewna że jedynym Polakiem którego wówczas widziała był pan”.

Tyle w liście. Sam nie mam wątpliwości, że ten wiersz z 1959 roku to poetyckie wspomnienie po siedemnastu latach tej nocy, kiedy ją odprowadzałem od Aleksieja Tołstoja, po wieczorze który opisałem w książce, na którym czytałem *à livre ouvert* Norwida i wiersze Balińskiego i Słonimskiego, które do nas nadeszły z Londynu. Pamiętam jeszcze łzy w oczach Achmatowej kiedy niezręcznie tłumaczyłem „Kolędę warszawską”.

*„I jeśli chcesz już narodzić w cieniu
Warszawskich zgłiszcz
To lepiej zaraz po narodzeniu
Rzuć go na krzyż”.*

Achmatowa obiecała wówczas ten wiersz tłumaczyć. Potem ona deklamowała swój „Poemat leningradzki”. Do tego przeżycia nie wracam, opisałem go w książce. Pamiętam jak ją odprowadzałem późną nocą. Był księżyc. Po zaduchu dnia, oddychalne powietrze. Oboje byliśmy pijani wierszami. Anna Andrejewna po paru krokach pozbyła się dość bezceremonialnie kogoś, który wraz ze mną chciał ją odprowadzać. I wtedy mi wyznała śmiertelny niepokój i strach o syna. „Ja celowała sapagi wsiem znatnym Balszewikam czto by mnie skazali żywli on ili miortw — ja nicze wo nie uznała” i nagle ta kobieta, jakby o sztucznym zachowaniu w salonie Tołstoja, dostojnika stalinowskiego, z dystansem do nas wszystkich stała mi się nagle po ludzku bliską, inną kobietą i do dna tragicznym człowiekiem. Wtedy jeszcze powiedziała mi: „Nie wiem co to jest, przecież się prawie nie znamy, a pan jest

mi bliższy od tych wszystkich ludzi naokoło mnie". Czuła najprościej, rozmawiając ze mną, inne powietrze, większą swobodę, brak strachu, który wówczas w Rosji dławił każdy oddech, wszystkich, dosłownie wszystkich.

Jak wdzięczny jej jestem, za ten wiersz, za to, że zechciała mnie jeszcze widzieć w Paryżu, jak nie umiem sobie dziś dać z tym rady, że nie dane mi było mówić z nią i jej słuchać, tak jak wtedy, że nie przeczuwałem nawet, że to krótkie, prawie że w tłumie, spotkanie było ostatnie, że jej więcej nie zobaczę, że nie powiem jej już czym były i czym są dla mnie niektóre jej wiersze i tamto taszkienckie spotkanie.

Józef CZAPSKI

ИЗ ЦИКЛА «ТАШКЕНТСКИЕ СТРАНИЦЫ»

В ту ночь мы сошли друг от друга с ума,
Светила нам только зловещая тьма,
Свое бормотади арыки,
И Азией пахли гвоздики.

И мы проходили сквозь город чужой,
Сквозь дымную песнь и полуночный зной,
Одни под созвездием змея,
Взглянуть друг на друга не смея.

То мог быть Стамбул или даже Багдад,
Но, увы! не Варшава, не Ленинград,
И горькое это несходство,
Душило, как воздух сиротства.

И чудилось: рядом шагают века,
И в бубен незримая била рука,
И звуки, как тайные знаки,
Пред нами кружились во мраке.

Мы, были с тобою в таинственной мгле,
Как будто бы шли по ничейной земле,
Но месяц алмазной фелукой,
Вдруг выплыл над встречей-разлукой...

И если вернется та ночь и к тебе,
В твоей для меня непонятной судьбе,
Ты знай, что приснилась кому-то,
Священная эта минута.

W wydaniu moskiewskim z 1961 roku dwa pierwsze wiersze z trzeciej strofy były następujące:

То мог быть Каир или даже Багдад,
Но только не призрачный Мой Ленинград.

Spotkanie z Mackiewiczem

(W drugą rocznicę śmierci)

Często przedmiotem wspomnień pośmiertnych jest nie tyle osoba zmarła, co sam autor. Te wspomnienia będą miały właśnie taki charakter. Są one pisane wyłącznie z pamięci, więc nie dziwnego, że tu i ówdzie mogą być pewne nieścisłości.

Chłopcu, który urodził się jakieś 50 km. na północ od jeziora Narocz świat objawił się w sposób zróżnicowany. Chociaż w domu przestrzegano, żeby chłopiec mówił poprawną polszczyzną, to już na dziedzińcu folwarcznym i w całym otaczającym świecie polski i białoruski miały jednakowe prawa. Z jednymi chłopami rozmawiało się po polsku, a z innymi po białorusku i przechodziło się z jednego na drugi bez żadnych zahamowań.

Chłopi nie byli wszyscy tacy sami i nie tylko dzielili się na tych którzy mieli jedną krowę i jednego konia, lub dwie krowy i jednego konia. Jedni byli polskiej wiary i obchodzili Boże Narodzenie w tym samym czasie co i panowie, a inni ruskiej wiary i obchodzili Boże Narodzenie o dwa tygodnie później. Tuż za jeziorem leżała wioska, chyba jeszcze biedniejsza od innych, ale nazywała się Okolica. Jej mieszkańcy nosili się czupurnie i od święta rozmawiali między sobą po polsku. Mówiono, że to szlachta. Dalej za lasem mieszkali Moskale osadzeni na ziemi zabranej jakiemuś przodkowi za udział w powstaniu. Słowo Moskal wymawiało się z pewną odrazą, ale chłopiec zapamiętał opowieść Ojca, jak właśnie jeden z tych Moskali przewodził go na stronę niemiecką i przez to uratował od bolszewików. Z przerażeniem słuchał chłopiec opowieści o bolszewikach i cieszył się, że gdzieś sobie poszli, ale kiedyś zaskoczyło go, gdy jedna ze służących powiedziała: — „Balsawiki toż ludzi”.

Raz na rok z odległych Duniłowicz przyjeżdżał ksiądz po kołędzie, którego, tak jak panie, trzeba było całować w rękę. A kiedy Wielkanoc prawosławna była w tę samą niedzielę co i katolicka przyjeżdżał pop z pobliskiego Osinogródku. Popa w rękę nie trzeba było całować. Chłopak domyślał się, że nie tylko dlatego, że miał on bardzo szerokie rękawy.

Byli panowie wielcy, jak Przeździeccy w Woropajewie, Tyszkiewiczowie w Duniłowiczach, czy Piłsudscy w Mosarzu, u których chłopiec nie bywał. Byli też jacyś niby-panowie, jednych z nich nazywano Amerykanami, a innych dzierżawcami. Chłopiec znał ich tylko z widzenia.

Byli też jacyś zupełnie inni ludzie, nazywano ich Żydami. U nich zatrzymywało się konie w miasteczku, im się sprzedawało i u nich się kupowało, a Jankiel z pobliskiej karczmy przynosił przed Wielkanocą macę, jakieś słodycze i wino. Byli to dziwni ludzie, szwargotali między sobą w zupełnie niezrozumiały sposób i nikt inny tak szwargotać nie umiał. Z panami rozmawiali po polsku, a z chłopami po białorusku.

Chłopów wpuszczano tylko do kuchni i do pokoju Ojca, tych z Okolicy tak samo, z wyjątkiem Juluka, który przychodził strzyc i targał za włosy starymi nożyczkami. A Żydzi czasami siadali na końcu jadalnego stołu, ale było to jakieś dziwne. Żyd miał swój chleb, swoją sól i swoją serwetkę. Podawało się mu jedynie jajka gotowane na twardo. Żyd miał coś na głowie w czasie jedzenia i nie pozwalał nikomu nalać sobie herbaty.

Czasem Żydami straszono dzieci, ale jeszcze częściej straszyci się Cyganami. To byli też jacyś inni ludzie, stale gdzieś jechali i wszyscy bali się, że mogą się zatrzymać. Byli czarni i mieli dużo brudnych dzieci, a Cyganki ubrane w kolorowe chusty, z dużymi kółkami w uszach i pociągającymi czarnymi oczyma mówiły do Mamy: — „Paniczka, pawarażyć?”

Chłopak wiedział, że są najrozmaitsi ludzie, których trzeba rozmaicie traktować, ale gdzieś jest jakaś granica, bo kiedyś za uderzenie batem parobka z przełamanym nosem, którego nazywano Anton, dostał chłopiec od Ojca porządne lanie.

Chłopiec rósł i kiedy miał 10 lat oddano go do gimnazjum w Wilnie. Otworzył się przed nim wielki świat.

Wilno lat trzydziestych szarpane było różnymi prądami. Przeżywało ono wstrząs procesu młodzieży komunistycznej. Jeszcze niedawno ta zdolna młodzież, często wywodząca się z dobrych domów, była nadzieją miasta i kurii arcybiskupa Jałbrzykowskiego. Miasto przeżyło rozruchy antysemickie z trupami po obu stronach, co spowodowało opamiętanie i ograniczenie akcji do pikietowania bardziej wykwintnych sklepów żydowskich, które

polegało na tym, że przed wejściem do sklepu stał student i przypominał klienteli, że to jest sklep żydowski.

Sanacyjni wojskowi napadli na docenta Uniwersytetu Stefana Batorego i na redaktora „Dziennika Wileńskiego”. Narodowcy nosili w klapach marynarek mieczyki, krzyczeli „Polska dla Polaków” i śpiewali „Ojczyzny wolność pobłogosław Panie”, to ść aż gwizdało w pięknych kościołach wileńskich.

W gimnazjach z powodu braku członków dogorywała wspierana przez rząd Straż Przednia, a tajna Narodowa Organizacja Gimnazjalna (NOGA) zataczała coraz szersze kręgi działając poprzez dozwolone organizacje gimnazjalne. Istniał też podobno komunizujący Związek 13 Maja, ale chłopiec z nim się nie spotkał.

„Słowo” zwalczało oficerskie nocne napady, piętnowało sanacyjne rządy, atakowało narodowców i komunistyczną grupę młodzieży, broniło rozbierane cerkwie i rybaków nadnaroczańskich, którym galicyjscy urzędnicy wyrządzali jakąś krzywdę. „Słowo” propagowało monarchię i tradycję jagiellońską. Zwalczało ono również reformę pisowni, jeden z artykułów na ten temat nosił tytuł „F pokoió było coś i Nitsch” (prof. K. Nitsch — przewodniczący Komitetu Ortograficznego).

Jedni krzyczeli „Dmowski!”, a inni „Piłsudski!”. A jeżeli Piłsudski, pytał chłopiec, to jaki? Czy socjalista ze Straży Przedniej, czy nieomylny bóg-cudotwórca jak go przedstawiali sanatorzy, czy też prawie monarcha, tradycjonalista, mający wizję i koncepcję, jak go przedstawiał Mackiewicz? Sprowadzenie serca Piłsudskiego na Rossę wywarło na chłopcu potężne wrażenie — czerń kirów i werble w ciszy przerywanej jedynie komendami wojskowymi.

Przed kilkunastoletnim chłopcem stał szeroki wachlarz możliwości. Socjalistycznych, czy komunistycznych ciągotek chłopiec nigdy nie miał. Pojęcia rewolucja, czy lud pracujący odstraszały go, bo rewolucja, to gwałt, to spalone dwory, a lud pracujący, cóż to właściwie znaczy, przecież panowie, chociaż inaczej, ale też pracują (chłopiec miał na myśli w pierwszym rządzie swego Ojca). Nie, to nie chwytalo. Antykościelnych ciągotek chłopiec też nie miał.

Nie chwytala też reforma rolna, bo chłopiec już wiedział, że Ojciec płaci kilka razy większy podatek z hektara niż chłop i wyliczył sobie, że gdyby rozdzielić ziemię między parobków, dając taką samą działkę panu, to i pan i parobcy staliby się chłopami z jednym koniem i jedną krową. Więc Mackiewicz miał rację, to nie było rozwiązaniem, to się po prostu nie opłacało. Ale w klasie swojej chłopiec był jedynym obrońcą ziemiaństwa. Synowie urzędników, oficerów, robotników i ludzi o wolnych zawodach wszyscy byli za reformą rolną, a kilku synów ziemian milczało, odnosiło

się wrażenie, że problem ten ich nie interesuje. W argumentach przeciwników dało się odczuć zazdrość o tradycyjną pozycję jaką dawało ziemiaństwo, co występowało najwyraźniej wśród synów miejskiej inteligencji wywodzącej się z ziemiaństwa.

Narodowcy też chłopca nie pociągali. Jakoś wąsko i ciasno było z tym okrzykiem „Polska dla Polaków”. Chłopiec zapytywał siebie, jeżeli tak, to gdzie ma się podziąć Szakoła, lub Dragun, albo dajmy na to Jankiel. Z narodowcami sprawa została zdecydowana prosto. Chłopiec był w zarządzie Sodalicii Mariańskiej, którą chciała opanować Noga. Wobec tego napuszczono na niego kolegę z sąsiedniej klasy, który był bratem jednego z przewodców studenckiej endecji. Na skutek ciągłych nalegań chłopiec zgodził się wreszcie pójść na zebranie szóstki tajnej Nogi. Z trudem wysiedział tam do końca. Jakiś matoł, kierownik szóstki, kazał zakładać na pamięć slogany na temat narodu, państwa i Żydów. Duszno tam było i ciasno pod każdym względem. Kolega z sąsiedniej klasy zawiedziony był odmową, ale dał spokój.

Sanatorzy, państwowotwórczość, slogany Ozonu zbliżone do sloganów endecji też chłopcu nie odpowiadały. Miał on szacunek do Legionów, ale wiedział, że to nie cała prawda. Profesor historii, po przerobieniu ze szczegółami dziejów Legionów, kazał odłożyć książki i wygłosił kilka wykładów na temat Wojska Polskiego na terenie Rosji, o czym w książce ani słowa nie było. Chłopiec znał te sprawy trochę z opowiadań rodzinnych.

Chłopiec lubił patrzeć na wojsko, na tę doborową piechotę 1-ej Dywizji Legionów (1, 5 i 6 p.p. leg.). Ale z większym sentymentem patrzył na buńczuk w szwadronie tatarskim 13 pułku ułanów wileńskich, czy na popa-rotmistrza, który bryczką za jeździł do cerkwi na Wielkiej Pohulance, czy też na białoruski napis na sztandarze pułku strzelców wileńskich. To były elementy tej wielkiej Polski, które fascynowały imaginację chłopca.

A więc wybór był prosty. „Słowo” znał chłopiec od dziecka, było ono zawsze w domu. W „Słowie” wszystko pasowało, i wizja Polski z miejscem dla wszystkich, i monarchia, i potępienie reformy rolnej, i zwalczanie przejawów dyktatury czy to ze strony sanacji, czy ze strony nacjonalistów.

Wilnianie czytali „Słowo” namiętnie. Pociągała ich świetna forma, sensacyjność i źródłowe informacje. „Słowo” nigdy nie było nudne. Ale poglądy redaktora dzielili tylko nieliczni. Większość uważała go za swego *enfant terrible*. Jedni wieszali się przy sanacji, a umysły innych opanowywał coraz bardziej Dmowski swoją prostą koncepcją etnograficznej Polski bez żadnych powikłań i bez żadnych kompromisów. I to właśnie działo się w mieście, które nosiło jeszcze tradycje Wielkiego Księstwa Litewskiego. Nacjonalizm i skłonność do dyktatury kwitły w ca-

łej Europie i dotarły aż tu. Chłopiec był trochę odosobniony, bo brał Mackiewicza na serio i podzielał jego poglądy.

Sama osoba Mackiewicza była źródłem sensacji. Kiedyś grupa studentów, przyjaciół osądzonych komunistów, oczekiwiała Mackiewicza wracającego nad ranem z redakcji na klatce schodowej kamienicy, w której mieszkał, żeby zemścić się na nim za artykuły potępiające ich kolegów. Ktoś ich zauważył, zadzwonił po policję, która zabrała oczekujących. Następnego dnia Mackiewicz napisał, że strasznie mu przykro, iż studenci musieli na niego czekać i mieli jakieś nieprzyjemności z policją i że bardzo żałuje, że się z nimi nie spotkał. Żeby na przyszłość uniknąć tego rodzaju nieporozumień Mackiewicz podał czas, w którym nad ranem opuszcza redakcję, trasę którą idzie i godzinę o której wchodzi do swego mieszkania na ul. Zygmuntowskiej. Tak, żeby ci, którzy chcą go spotkać nie musieli czekać i narażać się na nieprzyjemności.

Skorzystał z tego lewicujący student Brodowski, który uważał, że Mackiewicz obraził w jednym z artykułów jego przyjaciela Wrońskiego przebywającego w tym czasie w areszcie. Brodowski napadł na Mackiewicza w sionce redakcji. Był on wysoki, chudy i nosił obfitą, czarną czuprynę. Mackiewicz złapał go za włosy, przygiął do ziemi i w takiej pozycji doprowadził do posterunkowego, który stał nie daleko przed gmachem wojewódzkim.

Kiedy Mackiewicza uwięziono w Berezie, ukazał się w „Słowie” wywiad z jego byłym dowódcą, płk. Dąbrowskim, w którym podał on treść meldunku stwierdzającego, że gdzieś w początku 1919 r. patrol konny w takim to a takim składzie, a między innymi ułan Stanisław Mackiewicz, zajął miejscowość Bereza Kartuska. Opowiadano potem, że płk. Dąbrowski został wezwany do gen. Dąb-Biernackiego, który żądał wytłumaczenia dlaczego, będąc w służbie stałej, udzielił on wywiadu bez zezwolenia władz wojskowych. W odpowiedzi płk. Dąbrowski wyciągnął rewolwer i strzelił do siebie, ale na skutek czynnej interwencji gen. Biernackiego jedynie zranił sobie przedramię. Chłopiec wierzył w tę opowieść, kiedy parę tygodni później zobaczył na ulicy płk. Dąbrowskiego z ręką na temblaku.

„Słowo” podlegało stałym konfiskatom. Na straganach z gazetami leżały numery z białymi płatami. Konfiskowano głównie samego redaktora. Czasem zostawał tylko tytuł i podpis. Młodzieniec nie wiedział jak to się działo, ale gazeciarze zawsze mieli w zanadrzu nieocenzurowane numery „Słowa”, które sprzedawali po podwójnej cenie, tzn. 40 gr. Jedynie na prowincję nieocenzurowane numery nie dochodziły.

Przed wojną znany był proszek do prania Radion, który reklamowano sloganem „Radion sam pierze”. Cenzorem wojewódz-

kim był niejaki Radziwon. W „Słowie” ukazywała się taka sama reklama jak i w innych gazetach, ale nie „Radion sam pierze”, a „Radziwon sam pierze”. I rzeczywiście wypierał pan Radziwon „Słowo” ze wszelkiego rodzaju „antypaństwowych” wybryków.

Ale najlepiej zapamiętał chłopiec incydent z ruską byliną. Polegało to na tym, że wydrukowano w „Słowie” długą bylinę opisującą ograniczonych administratorów ruskiego grodu Głupowa, którzy doprowadzili do tego, że cały gród utonął w skonfiskowanych egzemplarzach czasopisma „Głogoł”. Cenzorzy pana Radziwona nieznający rosyjskiego przepuścili bylinę nic nie podejrzewając. Następnego dnia ukazało się w „Słowie” sprostowanie, mówiące, że to pomyłka, że bylina odnosi się do czasów współczesnych, że Głupowo to Wilno, że „Głogoł” to „Słowo”, że zramolały burmistrz Aistow to wojewoda Bociński itd. Sprostowanie z trzaskiem skonfiskowano, ale śmiechu było co niemiara.

Mackiewicz był zwolennikiem polityki proniemieckiej. Jednak zorientował się wcześniej, że wojna z Niemcami jest nieunikniona. Zaczął wówczas udowadniać, że Polska ataku niemieckiego nie wytrzyma, a sojusze z Francją i Anglią, które nazwał egzotycznymi, nic Polsce w walce z Niemcami nie pomogą. Mackiewicz zaczął nawoływać do zbrojenia się i między innymi napisał artykuł pod tytułem „Panie Prezydencie proszę stworzyć choć jedną dywizję pancerną”. Może to właśnie z tego artykułu cenzura zostawiła tylko tytuł i podpis, ale chłopiec, ma się rozumieć, czytał całość. W tym czasie ukazała się na pierwszej stronie „Słowa” karykatura — ogromny czołg niemiecki z czarnym krzyżem, a naprzeciwko mała sylwetka kawalerzysty z krzywą szabelką. Wystąpienia te spowodowały zamknięcie Mackiewicza w Berezie.

Nawet chłopiec był oburzony tą karykaturą. Ale wahał się, czyżby Mackiewicz miał rację, przecież takie piękne i bohaterskie jest nasze wojsko. Dla chłopca wojna była w pierwszym rzędzie wielką przygodą, a już dochodził do takiego wieku, że mógłby wziąć w niej udział. Wszyscy dookoła krzyczeli jak to dzielnie i zwycięsko będziemy się bić. Ale Ojciec milczał, a Mackiewicz pisał wyraźnie, że zginiemy. Jak to jest naprawdę — zastanawiał się chłopiec.

Wybuchła wojna, wszystko się waliło, ale na Wileńszczyźnie było jeszcze spokojnie. 15 września panicz, jak go już teraz nazywano, wracał konno z Duniłowicz. Zwykle jeździł szybko i ostro, a Mohort, na którym teraz siedział, nadawał się do takiej jazdy. Ale tym razem zawiązał wodze i Mohort szedł stępą, a panicz rozpakował dwa numery „Słowa”, które zabrał na poczęcie i przeglądał. W jednym z nich, pisał Mackiewicz, że Armia

Czerwona koncentruje się na polskiej granicy i wyrażał zdanie, że lada dzień przekroczy granicę i zajmie wschodnią część Polski. Artykuł był napisany bez normalnej swady i lekkości, zdania były ciężkie i tragiczne.

Panicz wiedział, że Polska się wali, że Niemcy zaszli daleko, ale przecie jeszcze co najmniej połowa przestrzeni została, jeszcze są rezerwy, jeszcze cały wschód Polski nie został ruszony. Jeszcze nie koniec sprawy. A teraz Mackiewicz z tymi bolszewikami. Panicz nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Przecież z Rosją mamy pakt nieagresji — myślał sobie.



Na stepach kazachstańskich było sporo czasu do rozmyślań — młodzieniec zastanawiał się co stało się z Mackiewiczem. Do ostatniej chwili był on w Wilnie, czy udało mu się uciec z matni? Odpowiedź nadeszła w specyficzny sposób.

Gdy ogłoszono tekst układu polsko-sowieckiego z lipca 1941 roku młodzieniec miał swoje ciche zastrzeżenia. Nie podobało mu się słownictwo, ta „amnestia” i ci „słusznie ukarani”. Ale uważał anulowanie paktu Hitler-Stalin za wielki sukces gen. Sikorskiego. Jednak w kilka dni później przyszło wyjaśnienie. Artykuł w „Izwestiach” tłumaczył, że fakt przekreślenia paktu Hitler-Stalin wcale nie znaczy, że granica ryska została uznana. Rozumowanie wydawało się logiczne. Jednocześnie Mama wyrażała zdanie, że przecież z nimi nie ma sensu pertraktować, bo i tak żadnej umowy nie dotrzymają. A ktoś opowiadał, że radio moskiewskie po nadaniu wiadomości o zawarciu paktu z rządem Polskiej Republiki, jak to się wówczas mówiło, rozpoczęło koncert z płyt piosenką pierwszej konnej armii Budionnego „Pomniat psy atamany, pomniat polskije pany konarmiejskije naszi klinki”. Wreszcie, kiedy w grudniu 1941 r. przeczytał młodzieniec przemówienie Mołotowa o bestialstwach hitlerowskich popełnionych na ludzie sowieckim, w którym mowa była prawie wyłącznie o Lwowie, nie miał już wątpliwości. — Nabili Sikorskiego w butelkę — myślał sobie.

Nawet do Kazachstanu dotarła deklaracja potępiająca londyńskich opozycjonistów polityki gen. Sikorskiego, która była podpisana przez wiele znanych osobistości z terenu Rosji. Wśród potępionych opozycjonistów wymieniony był „znany warchoł” Cat-Mackiewicz. A więc uratował się! Młodzieniec był dumny z tego, że używając własnego zrozumienia spraw politycznych doszedł do wniosku podobnego do opinii Mackiewicza, a z drugiej strony martwił się, że sprawy polskie tak źle stoją.

Na początku swej służby wojskowej młodzieniec uchodził za wzorowego żołnierza i w nagrodę jako jeden z pierwszych w kompanii dostał przepustkę do Tel-Awivu. Do miasta przyjechała cała grupa. Starsi wiekiem podoficerowie pomaszzerowali w kierunku Jaffy, reszta gdzieś się rozpiechła i młodzieniec został sam. Wąsał się tam i z powrotem po Allenby Street. Rzuciły się w oczy napisy „Tu mówi się po polsku” i z restauracji dolatywały dźwięki kujawiaka. Młodzieniec chciał wejść, pieniądze przecie miał, ale zabrakło mu odwagi. Już prawie trzy lata nie był w żadnym tego rodzaju lokalu i już nie wiedział jak należy się tam zachować. Bał się kompromitacji. Więc chociaż był trochę głodny wsał się dalej. Wreszcie na straganie z gazetami zobaczył tytuł „Wiadomości”. Kupił dwa numery i powędrował z nimi nad morze. Tam dopiero zauważył, że były to numery sprzed kilku tygodni. Nie zdając sobie sprawy z tego, że gazety przewożono z Anglii okrętem, pomyślał sobie — oszukał mnie Żyd — i zabrał się do czytania. Autorem jednego z artykułów był Stanisław Mackiewicz. Rozczuliło to młodzieńca. Znowu po tylu latach czytał to co napisał Mackiewicz, ale dało się odczuć, że to już był trochę inny Mackiewicz, już nie niezależny redaktor znanego dziennika, a jedynie autor artykułu w cudzym tygodniku.

Wyjeżdżając z Palestyny młodzieniec nie zwrócił do biblioteki żołnierskiej w Gederze „Historii Polski” Mackiewicza i nie miał wyrzutów sumienia z tego powodu. W przewlekłym transporcie do Szkocji przeczytał tę książkę kilkakrotnie. Z braku innej literatury koledzy też ją czytali, tak, że wylądowała ona w Greenock w nadwyrażonym stanie.

W latach 1943-45 czytał młodzieniec regularnie miesięczne broszury Mackiewicza i tylko dlatego był przygotowany do katastrofy która nadchodziła. Decyzje teherańskie ukrywano przed Polakami skrzętnie. Premier Mikołajczyk zapewniał kraj i Polaków na Zachodzie, że całość i niepodległość Polski jest zapewniona. Tylko Mackiewicz napisał prawdę, że cała Europa środkowa została oddana Rosji bez zastrzeżeń. Młodzieniec, nauczony przeszłością, wierzył już teraz Mackiewiczowi, a nie premierowi Rządu Polskiego. W tym czasie młodzieniec powiedział do jednego z kolegów: — „To jeszcze nie jest wcale pewne, czy nasz powrót do Polski dojdzie do skutku”. Kolega aż się poderwał i wykrzyknął: — „Nie rozumiem jak Polak może wypowiadać takie zda-

nie”. Niech i tak będzie. Ta kochana polska kołtuneria. Młodzieniec już więcej takich poglądów nie wygłaszał, bo i po co, jeszcze Dwójka zacznie się interesować tymi „objawami defetyzmu”.

W tym czasie Mackiewicz kładł do głowy Polakom, że nie ten wygrywa wojnę, kto dużo do niej włożył, ale ten, kto w dniu zakończenia wojny jest najsilniejszy. Ale gdzież tam, nie chcieli słuchać, stale chełpili się „naszym wkładem wojennym” i „przelewem krwi za Ojczyznę na wszystkich frontach”. Mackiewicz krytykował akcje Armii Krajowej ze względu na nierówne szanse walki i nadmiar ofiar. Młodzieniec podzielał opinie Mackiewicza, a większość Polaków chełpiła się „bojową postawą kraju”.

Ale największe oburzenie powodowały dwa twierdzenia Mackiewicza, a mianowicie, że Polska przyjmując gwarancje angielskie w 1939 r. ściągnęła na siebie atak niemiecki i że wojna wcale nie jest o Polskę i o przywrócenie jej niepodległości. Nawet młodzieniec miał pewne trudności w zaakceptowaniu takiego stanowiska, ale Mackiewicz przekonał go. Teraz wiadomo, że tak było, dokumenty potwierdzają tezy Mackiewicza, ale wówczas oburzenie było okropne i byle gryzipiórek rządowej gadzinówki bez mała nazywał Mackiewicza „zdracą polskiej sprawy”. „Przecież myśmy sami zdecydowali się walczyć w obronie naszej wolności i honoru, przecież Polska jest sumieniem świata, przecież nasi alianti, Wielkie Demokracje Zachodu, wielki przyjaciel Polski Prezydent Roosevelt” itd. — kontrargumentowano. Nagonka zgrai hurra-patriotów na Mackiewicza była coraz silniejsza. Młodzieniec przyjmował ich wypowiedzi z pogardliwym uśmieszkiem i myślał sobie — zobaczymy kto ma rację.

Wojna skończyła się tak jak Mackiewicz przewidział. *Victory* została uwieńczona najbardziej tragiczną jego książką „Lata nadziei”, którą młodzieniec zdążył nabyć przedtem nim polskie Ministerstwo Informacji wykupiło większość nakładu i spaliło.

W czasie powojennych studiów młody człowiek chodził przed snem na szybkie spacery między Earls Court i South Kensington. Na jednym z takich spacerów, w zimną i mglistą noc, zobaczył on Mackiewicza, który miał na sobie zniszczoną marynarkę. Kieszenie były wypchane papierami. Jedno ramię trzymał o wiele wyżej niż drugie. Włosy spadały mu na czoło, dolna warga mocno odstawała wprzód, a z ust przy każdym oddechu wydobywały się kłęby pary i parskanie podobne do końskiego. Szedł szybko dużymi krokami. Tak wyglądał Mackiewicz zaszczyty w Londy-

nie. Młody człowiek zastanawiał się, czy nie podejść i nie powiedzieć mu parę przyjemnych słów, ale zrezygnował, bo i cóż właściwie mógł mu powiedzieć. I tak ta jedyna okazja faktycznego spotkania nie doszła do skutku.

Po wojnie wydawał Mackiewicz tygodnik „Lwów i Wilno”. Duży procent jego artykułów był skierowany przeciwko Anglii i Anglikom. Jeden z nich utkwiał młodemu człowiekowi w pamięci. Była to recenzja z filmu „Third man”. W filmie tym była scena, w której człowiek ścigany przez policję przedzierał się przez druty kolczaste i krwawił sobie ręce. Jak zwykle w takich momentach angielska widownia śmiała się. Na podstawie tej reakcji Mackiewicz udawał, że Anglicy są z urodzenia sadystami. Dalej stwierdzał, że są nienormalni, gdyż „damska podwiązka podnieca wszystkich mężczyzn od braciszka zakonnego do największego rozpustnika, ale Anglika nie podnieca”. Można było zgadzać się z twierdzeniami Mackiewicza, lub nie, ale recenzja była napisana świetnie.

Mijały lata. Nastąpił rozłam polityczny emigracji i Mackiewicz został Premierem na Zamku. Młody człowiek miał już lat trzydzieści i oto stała się rzecz nadzwyczajna, po raz pierwszy jakaś polska władza zainteresowała się jego zdaniem, urządziła wybory. Postanowił skorzystać z tej może jedynej okazji. Idąc do lokalu wyborczego na Cromwell Rd, który kwiatami i obecnością pań przypominał trochę dworek kresowy, spotkał przyjaciela-narodowca (Stronnictwo Narodowe należące do przeciwnego obozu bojkotowało mackiewiczowskie wybory). Przyjaciół nie chciał uwierzyć, że młody człowiek idzie głosować, myślał że żartuje, był oburzony jak można brać udział w takiej „farsie”. W czasie, kiedy młody człowiek głosował, przyjaciel czekał po przeciwnej stronie ulicy, a kiedy młody człowiek wrócił, zaglądał mu z zaciekawieniem w oczy i pytał: — „Jak tam było?” Młodemu człowiekowi przyszło na myśl, że gdy jeden z kolegów idzie po raz pierwszy do domu rozpusty, a drugi, jeszcze niewinny, czeka na niego na ulicy, to ponowne spotkanie powinno wyglądać bardzo podobnie.

Kiedys młody człowiek był w Ognisku na obiedzie mając przed sobą o kilka stolików Premiera-Mackiewicza. Dopiero teraz młody człowiek zrozumiał co to znaczy na prawdę jeść. Zrozu-

niał, iż jest to czynność niezmiernie ważna, którą należy wykonywać z przejęciem i rozkoszą. Już nikt nie potrafi tak jeść jak Mackiewicz. Wszyscy inni tylko niezdarnie dziobią.

Mackiewicz zdecydował się na wyjazd do Polski, ale nie uciekał jak inni, a wydał oficjalne oświadczenie. Hurra-patrioci tryumfowali, przecież twierdzili już od dawna, że Mackiewicz jest „zdrajcą”.

W kraju Mackiewicz wydał „Londyniszczę”. Kołtuneria, tym razem krajowa, była oburzona, „jadł angielski chleb przez tyle lat, a teraz oczernia Anglików”, „tęże w żywe oczy pisząc, że jest wielu Anglików nieochrzczonych, przecież Anglicy to taki kulturalny naród”. Kiedy młody człowiek powiedział przedstawicielce kołtunerii emigracyjnej, że „Londyniszczę” przeczytał z zainteresowaniem, wyciągnęła ona prosty wniosek, że jest on anty-angielsko nastawiony. Polacy uchodzą za wielkich indywidualistów. Wydaje się, że są oni jedynie indywidualistami czynu i drobnych spraw, natomiast na pewno nie są indywidualistami myśli i lubują się w szufladkowych rozwiązaniach.

Polacy mieszkający na kontynencie mówią, że nazwa Londyniszczę świetnie pasuje do tego rozległego miasta, a w umyśle młodego człowieka kojarzy się to z zasłyszczanymi w dzieciństwie określeniami miejsc takimi jak uroczysszcze czy horodyszcze.

Pierwszy artykuł w *Kulturze* podpisany pseudonimem Gaston de Cerizay był sensacją. Takim stylem mogło pisać tylko dwóch ludzi, Wańkowicz i Mackiewicz. Wkrótce okazało się, że Wańkowicza oskarżono o inne „przestępstwa”, więc nie było już wątpliwości kim jest Gaston de Cerizay. Powoli Mackiewicz odbierał palmę tym, którzy tryumfowali z powodu jego wyjazdu do Polski. Każdy artykuł podpisany pseudonimem Gaston de Cerizay był nowym uderzeniem obucha. Nikt nie potrafił pisać o obecnej sytuacji Polaków tak jak Mackiewicz.

Mackiewicz zerwał się do ostatniej rundy, do rundy najmniej bezpieczniejszej w jego życiu i zakończył ją „Zapiskami z kraju niewoli”, w których nie było już piękna stylu, nie było polotu, a tylko gorzka treść, gorzki obraz tragedii narodu polskiego.

Kiedys pisał Mackiewicz we „Lwowie i Wilnie”, że najgorszą karą jaka może go spotkać na tamtym świecie będzie słuchanie płyty z nagraniem pochwał na cześć Anglii, które sam napisał w przedwojennych artykułach.

Oby ta płyta nie była *longplay*'em.

Z. S. SIEMASZKO

nowość !

**ZOFIA
ROMANOWICZOWA
ŁAGODNE OKO BŁĘKITU**

POWIEŚĆ

CENA : We Francji Frs. 10.00

W Anglii Sh. 18/-

W U.S.A i innych krajach \$ 2.00

**Książka do nabycia we wszystkich
polskich księgarniach lub u Wydawcy:**



LIBELLA

12, RUE SAINT-LOUIS-EN-L'ÎLE-PARIS IV

Plaża

„Zmiłuj się powiedz
gdzie ta droga wiedzie”
W. Iwaniuk

Nareszcie dwudziesty czerwca. Kolejny rok zakończony.

Ostatnie spotkania z chłopcami, ostatnie porady bywalców Szwajcarskiej. I w drogę. Tego roku auto-stopem, bezpośrednio do Świnoujścia.

Ustawiłem się o szóstej za Jelonkami. Pogoda auto-stopowa, bez deszczu, nie za ciepło. Dzień był również dobry — piątek. Ale szczęście mi nie sprzyjało. Krzysia, Rysia i Mysia przyszedł później, wystartowały wcześniej. Nawet Miki ruszył wcześniej. Nie martwiłem się tym zbytnio, przecież i tak cel nasz jest ten sam. Świnoujście.

Po jakiejś godzinie zatrzymałem osobową Warszawę.

— Gdzie syn jedzie? — zapytał kierowca.

— Dzień dobry, na Szczecin — grzecznie odpowiedziałem.

— Pakuj się syn, my do Poznania — zaproponował kierowca.

Dyrektor, sekretarka-kochanka i kierowca. Pierwsza para z tyłu — chichocząco-chrzękająca. Ponieważ tworzyłem z panem Władziem parę — musiałem chcąc nie chcąc podtrzymywać rozmowę. Polski stereotyp.

— Drogo, nie? To sukinsyn Władek, nie? Patrz, syn, ten Lubański, nie? Ponoć Łysy dobrze zabaletował w szwedzkim stoisku na Targach, co? Patrz no syn, jak te ruskie znowu załatwili naszych, cholery wszędzie nas tak załatwiają, co? — pouczał mnie pan Władzio.

Panowie na prawo, panie na lewo. To się trochę przeciągnęło. I wreszcie po pół godzinie ukazał się dyrektor i sekretarka — z tym że oboje po lewej stronie.

Ponieważ Poznań już się nam pokazywał, pan Władzio skupił się nad kółkiem a „tylni” bohaterowie odpoczywali. Oglądałem smutny, mieszczański pejzaż przedmieść Poznania. Wreszcie i on sam. „Tyły” zaczęły się szminkować, poprawiać, przeciągać i narzekać: „cholera, kiedy mi dadzą tego resortowego Fiata, tu przecież się w ogóle nie można ruszyć”.

Co ponieważ było i prawdą, z radością wziąłem tramwaj. Tuż przed pętlą czerwone światło i *pick-up* ze szczecińską rejestracją.

— Mam książeczkę, podrzuci mnie pan na Szczecin? — zapytałem.

— Pakuj się, tylko szybko — odpowiedział po uprzednim zmierzenu mnie od stóp do głów. I tak wyprzedziłem Mikięgo, który stał parę kilometrów za miastem. Denerwowało mnie to, że tercet wyprzedził mnie za bardzo. Przecież jutro o dwunastej na tarasie Albatrosa czeka sikacz na zwycięzcę.

Pick-up szedł bardzo ostro. Byłem sam z tyłu. Drzemałem na jakichś paczkach. Były na szczęście miękkie. Zatrzymaliśmy się. Kierowca i kierownik przedsiębiorstwa. Rozwinęli jajka na twardo, rzeszowska i ćwierć. Dwoma ostatnimi pozycjami poczęstowali. Uff, zaczęło się.

Pick-up szedł jeszcze ostrzej.

Przed Pyrzcami wyrzucili mnie, jechali do Stargardu Szczecińskiego, a ja potrzebowałem na Szczecin.

Pyrzce powitały mnie „Czerwono-czarnymi”. Z Kasią, Karin, Grażynką, Piotrem, Pol-Basem, Wojtkiem, Maćkiem. Ale na spotkanie dłuższe i bardziej konkretne umówiliśmy się w Hotelowej. Będą tydzień odpoczywali w Świnoujściu. Wychyliłem z Piotrem sto i mimo siódmej wieczór ustawiłem się na szosie. Było smutno. Zimno, to ciągnęło od pobliskich jezior. Samotnie, tak ale ten tercet i czekający bełt. Zatem stałem, siedziałem, podskakiwałem — w oczekiwaniu.

— Hej, stopowicz? — od razu mnie poderwało na nogi.

— Tak, mam książeczkę, a jedzie Pan na Szczecin?

— Siadaj, podrzucę cię do Dąbia na jaką piątą rano ale musisz ze mną kłapać, bo inaczej to się znajdziemy w rowie. Wisz, kręcę już bez przerwy trzydziestą godzinę. Do Wrocławia i teraz do chaty, z powrotem. Wyrabia się ten ich zaszary plan. Z tym, że moja Stara też w dupę kopana, wyrabia. Tyle że jej własny plan. A mały pewnie znowu wybił ze dwie szyby, oj, psie życie. To wymknęło mu się w pierwszych trzech minutach.

Po jakiś dwu godzinach zatrzymał swego Lublina. Z pola ściągaliśmy pięć snopków. Jeden wspólny pod głowy, jeden służył mi za materac, drugim się przykryłem. „Pamiętaj, nie dłużej niż dwie godziny” — służyło mi za dobranoc. I punktual-

nie po dwóch godzinach, odstawiwszy na miejsce snopki — ruszyliśmy. Tym razem wymykały mu się marynarsko-dziwkarskie przygody. Były niczego sobie, toteż z zainteresowaniem wysłuchałem. Od czasu do czasu pytałem o ostatnie szczecińskie wydarzenia. Zaczął, jak prawie każdy tego lata, od lamentu nad zamknięciem *Bajki*. Mnie również było bardzo smutno z tego powodu. Jak by nie było to właśnie w *Bajce* dwa lata temu kupiłem od holenderskiego bojka džinsy za półtóry stówka. Tak się zaczęło. A rok temu spotkałem Bożenę z podstawówki. Miała się niczego sobie, obracała w grupie Waldka. Chcąc zapewne podnieść morale Szczecina zamienili *Bajkę* na bar mleczny. Cóż za nierealne pomysły. Szczecin i morale. Lub nadzieje na poprawę.

Z tymi myślami dojechaliśmy do krzyżówki. W lewo był Szczecin, na prawo Dąbie i droga do Świnoujścia. Ustawiłem się na prawo. Była piąta trzydzieści. Ostry wiatr i pusto na szosie. Koło szóstej zaczęło się. Ciężarówki, *pick-up*y osobowe i, jak Boga kocham, Zim. Zatrzymał się. Zdrętwiałem. Za co?

— Student do Świnoujścia? — zagadał Zim.

— Tak, ale właściwie to ja... — mamrotałem.

— Proszę się nie obawiać, mamy dużo miejsca, zapraszamy — proponował Zim.

Wsiadłem. Ruszyli w przerażającym tempie. Sto dwadzieścia, trzydzieści...

— Proszę się nie przerażać, my nie mamy czasu, o jedenastej mamy w Odrze odprawę — wyjaśnił Pierwszy Tył.

— Pamiętaj, że musimy wpaść przed odprawą do Międzyzdrojów — przypomniał Drugi Tył.

Duszę miałem na ramieniu, o sercu zapomniałem.

Goleniów.

— Kolankowski, mamy czas na szybkie śniadanko? — zapytał Drugi Tył kierowcę.

— Ależ oczywiście, towarzyszu Dyrektorze — odpowiedział Kolankowski-Zim.

— Pan student oczywiście z nami — zaproponował Pierwszy Tył. Jajecznicza, dwie setki i oranżada, tylko Kolankowski-Zim musiał się zadowolić dużym jasnym (z pianką, panno Krysiu). Postawili.

Przed nieprawidłowo zaparkowanym Zimem stał glina.

— Co wy tu, obywatelu kapralu, szukacie, nie widzieliście nigdy przedtem Zima, co? A może chcecie go sobie lepiej utrwalić w pamięci — zaatakował Drugi Tył.

— Ależ skąd, ja tylko pilnuję, żeby gówniarze nie porysowali — odpowiedział glina zapominając o mandacie.

Tempo wzrosło. Na szosie robiło się coraz ciasniej. Świnoujście siedemnaście, Międzyzdroje siedem — na drogowskazie.

Była dziesiąta. Musieli być na jedenastą w Odrze; pojechałem z nimi do Zdrojów. Na Chopina Pierwszy Tył kupił pięć czerwonych goździków. Za rogiem wysiedli.

— Będzie wesoło wieczorem u pani Hani — sobie a muzom wyjaśnił Kolankowski-Zim.

Wrócili w dobrych humorach po piętnastu minutach. Od drogowskazu Kolankowski-Zim pokazał klasę.

Za dziesięć jedenasta wpadliśmy do Warszowa, za pięć do Odry. Miałem godzinę i pięć minut.

Gdzie jest tercet, jak idzie Mikiemu?

Na promie spotkałem Dojnego. Zaprosiłem go na wieczór do *Gryfii* — cóż, rytuał.

Dotknąłem Świnoujścia. I właściwie dopiero zaczęło się.

Czekał na mnie Fred i jego nowa Jawa.

— Się masz Gruby, aleś zmizerniał w stolicy — powitał mnie Fred.

— Jak tam obsada wieży, Stary już zdecydował? — uciąłem krótko.

— Nie, dzisiaj o szóstej, czekamy na kilku chłopców z Wrocławia, ale Bolek, Budek, Inżynier i Łabądz już są — wyjaśnił Fred.

— A co z Bucefałem? — zapytałem.

— Nie wiadomo czy mu Stara pozwoli — uśmiechając się odpowiedział Fred.

Żeromskiego na lewo i do końca, do pawilonów.

Twarzą do promenady, do głównego wejścia na plażę, do urwanego mola stał *Albatros*. Była za pięć dwunasta. Pusto. Wygrałem. Ciotka zaraz poleciała po owocowego bełta. Wypiliśmy w trójkę. Syna Ciotki jeszcze nie wypuścili; siedzi w Goleniowie.

— Gruby, postaraj mi się o dobry szwedzki sweter, to mu poślę na jesień.

— Zrobi się, Ciociu, ale najpierw otwieramy dzisiaj sezon w *Gryfii*.

— Dobrze, ja co drugi dzień jestem na noc w *Gryfii*, dzisiaj pracuję — wyjaśniła Ciotka, dodając na odchodnym: wpadnij po siódmej do mnie.

Kierownik dał mi pokój na parterze, z prośbą o kilka koszul nylonowych i skarpetki. DWMost należał obok URMu do najlepszych domów w Świnoujściu. Sąsiedował z *Albatrosem*, do plaży dwa kroki.

Ucałowałem rączki pani Heleny w kuchni. „Ach, Panie

Gruby nie śmiem prosić, ale gdyby się trafiły ze dwie koszulki, to ja chętnie, dla zięcia potrzebuję”.

Pod zimny prysznic, rzuciłem się na łóżko. Byłem w Świnoujściu.

W pokoju byli już Rudek, Łabądz i Fred. Kończyli pół litra. Obudziłem się.

— No, jak *gentlemen*’i, do przodu? — zagadałem.

— A witamy stolicę — rzucił Łabądz, który nie mógł mi nigdy wybaczyć Warszawy. Sam był z Krakowa.

— Układy są do przodu, mamy do dyspozycji plażę, molo i dansingową salę w *Gryfii*. Zresztą Pułkownik będzie dzisiaj koło dwunastej w *Gryfii* — wyjaśnił rzeczowo Rudek. Sam był ze Szczecina i pilnował naszych interesów w czasie zimy.

— Wstawaj Gruby, Stary nie będzie czekał — zagadał Fred.

W małym domku, na urwanym molo, mieścił się Ośrodek Wypoczynkowo-Przywodny czyli świnoujskie OWP. To był nasz trzeci sezon — byliśmy ratownikami na największej polskiej plaży.

Zbyszek z Wrocławia został starszym ratownikiem, Rudek, Bucefał i Łabądz dostali jedynek (*vis-à-vis* Wisusa) ja z Fredkiem na dwójce, Bolek na trójce a Inżynier z Galonem na Warszawie. Lepszego układu nie mogliśmy sobie wymarzyć. Praktycznie kontrolowaliśmy całą „szwedzką” plażę i mieliśmy inżyniera w tzw. „kurwim dołku” czyli nowo oddanej (od ruskich) plaży w Warszawie. Każda wieża postawiła Staremu po litrze i wszyscy byli zadowoleni. Ruszyliśmy do *Gryfii*.

Było już dobrze po siódmej, kiedy zaglądnąłem do Ciotki. Śpieszyła się do roboty.

— Pamiętaj Gruby, na taryfach tajniaki, na promie regularnie dwóch, u was tylko jeden, Galon. Poza tym zmienił się skład *Gryfii*, tak, że lepiej bądź czysty w lokalu. Dobre układy są w *Morskiej*, o reszcie zapomnij. Nasz sygnał bez zmian. Pamiętaj o swetrze dla mego chłopaka — wyrzuciła jednym tchem Ciotka.

Nie było w tym żadnych złych nowin, choć ten Galon trochę mnie denerwował, zamrażał pozycję Inżyniera.

W *Gryfii* tłumy, trochę znajomych, kilku wczesnych kuracjuszy z kuracjuszkami. Chłopcy siedzieli przy naszym etatowym stoliku; na lewo przy orkiestrze. Zaczęliśmy od czystej. Przy drugim litrze (na ośmiu) Fred, który ze względu na swój kulturowy trening nie pił, zawyrokował:

— Gruby i Rudek kończą zaprawkę, za godzinę Pułkownik powinien przyjść. I miał rację. Czuję już co nieco w głowie.

Wymieni nas Dojny z Wackiem, którzy się właśnie zameldowali. Na sali zrobiło się tłoczno. Pierwsze antylopy już zaczęły pracę. Siostry, Zuzia, Doktorowa, Kimono, jak zawsze wodziły rej.

Tuż przy drzwiach siedziała świetnie ubrana, pod czterdziestkę Lady. Jej widok psuła tylko Aneta.

— Och Rudek, poznaj mnie z przyjacielem — zaczęła nas Aneta, udając, że się nie znamy. Ale miała w tym swój cel.

— Miło mi panie poznać, nazwisko moje Maciej Gruby, ratownik na dwójce — przedstawiłem się.

— Halo — to było tyle co usłyszałem od Lady.

Parę minut później Rudek mi wyjaśnił. Owa Lady alias Garbata to przedstawicielka grupy Waldka na obecny sezon.

— Ale uważaj, to duża klasa i ma dobry posłuch u chłopców, ponoć stała dupa Pułkownika, tak że lepiej daj se spokój — dodał Rudek.

— A co z zeszłoroczną Lady Aliną — zapytałem, mając w pamięci naszą świetną kooperację.

— Poderwała dzianego Szweda i ożeniła się z nim. W maju pojechała do niego — ze smutkiem wyjaśnił Rudek.

— Co to Panowie Alinkę wspominacie? — odezwał się zza moich pleców Pułkownik.

— A no tak, panie Pułkowniku, dobre ciała są zawsze w naszych pamięciach — odpowiedziałem.

— Zapraszam na koniaczek i parę minut rozmowy — odezwał się Pułkownik.

Nie zmienił się ani na jotę. Ten sam styl, to samo cygaro, dwurzędówka, ta sama gwardia przyboczna (zawsze w promieniu dziesięciu metrów). I kto by w nim rozpoznał byłego sekretarza partii w Szczecinie za stalinowskich czasów. Chyba tylko Bucefał, który był jego kurierem. Pułkownik był w owym czasie nie tylko sekretarzem ale i szefem gangu. Wpadli w 55-tym. Odsiedział jedną trzecią i zwolnili go za „dobre” sprawowanie. Ograniczył teraz swoją działalność do kutrów rybackich a w sezonie do Świnoujścia.

Warunki podyktował ciężkie, *Gryfia* należała do nas tylko w środy i soboty. Zgodziliśmy się. Nie było innego wyjścia.

— Panowie, proszę żeby mi się Łabądź nie kręcił w ciągu dnia po mieście — dorzucił na odchodnym.

Pod wieżą, o dziewiątej, czekał na mnie Miki.

— Kurwa mać, ostatni raz byłem na stopie. Całą noc siedziałem pod Poznaniem — powitał mnie.

— A co z tercetem?

— Pewnie się zameldują za tydzień — odpowiedział.

Wszystko było zaklepane, należało czekać tylko na pierwszy

szwedzki prom tego lata. Następnej niedzieli. Siódma, trzydzieści. Odpoczywałem.

„Jens Koffod” był pełny. Odprawa ślimaczyła się. To zresztą stało się żelazną rutyną. Bardzo dobrze. Mieliśmy czas na zmianę ciuchów.

Pierwsze ruszyły Volva, należały do Czarnego Waldka. Czarny Waldek operował na Junaku i większość interesu załatwiał na szosie między Warszawem a Międzyzdrojami. My przyszliśmy żeby się rozglądnać. Towar był bardzo dobry. Większość z nich przyjdzie jutro na plażę. Innych rozrywek na szczęście Świnoujście nie ma. Ruch się zrobił na całego. Jelenie zaczęły *business* już na promie. O naiwni. My spokojnie czekaliśmy. Do jutra, na plaży.

Rudek dzwoni z jedyńki.

— Gruby, pchnij się do nas, nie mogę się dogadać, a towar pozytywny.

— *Welcome in Swinemünde, what I can do for you, Sir?* — zacząłem.

— Och, gdyby Pan był tak dobry i wytłumaczył koledze, że mogę mu dać pięć koszul, Melka, *of course*, ale musi się postarać o prawdziwy gruziński koniak — wytłumaczył swój problem Lars.

— Ależ oczywiście, o ósmej w hotelu — odpowiedziałem.

W czasie półgodzinnej przerwy obiadowej Rudek podskoczył do rosyjskiego kasyna. Załatwił co trzeba.

— *May we come in?* — zapytaliśmy.

Było ich trzech wysokich blondynów ze Sztokholmu. Pracownicy telewizji. W pokoju stała skrzynka wody sodowej i skrzynka Johnnie Walkera, który, o ironio pijackiego losu — *was born 1832, still going strong*.

Najpierw *business*, potem uczczenie tego *business'u*. Rudek trzymał się dobrze, Kjell odpadł pierwszy.

Zaczęliśmy pracę bezpośrednio po *business'ie*. Nie było czasu na spanie czy mycie zębów. Była dziewiąta rano. Słoneczny dzień.

Od dwóch dni pod naszą wieżą opala się młode szwedzkie małżeństwo z dwuletnią córeczką. Poszli do wody. Płacz „javla, ferbanna” — szwedzkie odpowiedniki polskiej łaciny.

Chłopcy oczyścili w międzyczasie ich kosz — ze wszystkiego. Zostali w strojach kąpielowych.

Ponieważ to było przeciw naszym *rules* obiecałem Matsowi, jego żonie i Karin pomoc. A działać trzeba było szybko. Kamera filmowa, paszporty, zegarek i ciuchy — to są najchodliwsze rzeczy.

— Dobry wieczór, Panie Pułkowniku, przykro mi ale pańscy chłopcy zrobili brzydką robotę na naszym rewirze, to nie jest *fair*, a poza tym gdzie jest nasza umowa? — zaatakowałem.

— Słuchaj Gruby, ty mi tu nie opowiadaj o umowach, bo jak ja Ci wyłożę co Twój Łabądź robi codziennie o pierwszej pod pocztą na Rynku to zobaczysz kto tu pierwszy nie dotrzymuje umowy — odparował Pułkownik.

— W porządku, ja załatwię z Łabędziem ale muszę mieć z powrotem wszystkie rzeczy, które pańscy chłopcy zwinęli z kosza. Przede wszystkim paszporty. Szwedzi czekają na nie do dziewiątej wieczorem, później meldują glinom — postawiłem nasze warunki.

— O'key, panie Gruby, ale Łabędzia będzie to kosztować górala twardych. On i tak nie straci na tym, bo poderwał dobrego klienta i jestem pewien, że go obskubał na więcej — zgodził się Pułkownik.

O dziewiątej do hotelu gdzie mieszkał Mats z żoną i Karin doręczono paczkę. Niczego nie brakowało. Łabądź zapłacił Pułkownikowi a od nas dostał „swoje”.

Zaczął się tydzień deszczów, jak zawsze w Świnoujściu pod koniec lipca. Pracowaliśmy w te mokre dni na zmiany. Do drugiej i następnego dnia do siódmej. Na molo w te dni panowało szaleństwo gry „w numerki” banknotowe. „Po warszawsku” lub „jak leci”. To była domena Bucefała, z tym tylko, że później Bolek z Inżynierem i Zbyszkciem oczyszczali go przy pokerze. Bucefał był naszym „naj”. Najwięcej wygrywał, najwięcej tracił, był najwyższy i najmniej ważył, był najstarszy ale i najbardziej dziecinny spośród nas, najbardziej lubiany. Nawet jeśli nie umiał pływać — co nie było wśród nas wyjątkiem. Byliśmy ratownikami z jedyneką.

Dzisiaj dopiero przyjechał tercet, Krzysia, Rysia i Mysia. Poderwały dwu dziennikarzy z Francji. Pomogły im w zwiedzaniu ojczyzny. I nie tylko. Niedługo zabawiły w Świnoujściu. Miejscowe antylopy nie lubią rywalek. I to na dodatek tercet. Przeniosły się do Zdrojów.

Łabądź nawinął dziś pod promem Erika.

— Słuchajcie, *my friends*, ja nie piję, kocham tylko chłopców i przyjechałem do Polski, żeby poznać waszego najlepszego aktora Bylskiego — wyjaśnił nam po dwóch setkach, w czasie których walczył nad swoją *tea*.

Wysłaliśmy go z odpowiednimi adresami do Sopot i warszawskiego Inter-Clubu (to po prostu letnia nazwa *Hybryd*).

Po tygodniu.

— Panie Gruby, jakiś blondas dopytuje się o Pana — zbudził mnie Kierownik DW. Most. Była piąta rano.

— Serwus Gruby, Erik jest u mnie, chce się z tobą widzieć

— to był Łabądź.

— Jak tam podróz? Poznałeś Bylskiego? — zapytał Erika.

— Och tak, panie Gruby, ale on tylko lubi dziewczynki, ale zdarzyło się nieszczęście. Ukradli mi w Sopot mój paszport a ja muszę jutro wracać do Göteborga. Możecie mi pomóc, *friends* — wyjaśnił swoje zmartwienie Erik.

— To nie będzie takie łatwe a przy tym będzie drogo kosztować — wyjaśniłem. Wieczorem wybrałem się z Łabędziem do *Morskiej*. Kosztowało nas to czerwienca i półbasa czystej ale zdobyliśmy. Był to śliczny duński paszport. Na szwedzki trzeba by czekać trzy dni i był dwa razy droższy. Ale Eric powinien dać sobie radę.

Dzisiaj odprowadziliśmy go na prom. Udało mu się. Pomachaaliśmy. To był dobry choć naiwny klient.

— Gruby, patrz, znowu ten stary wypłynął na czerwoną boję — powiedział Fred.

— Dobra, daj na razie spokój, przyjdzie po obiedzie to go wtedy przyfilujemy, stowa minimum. Acha, ściągnij na popołudnie naszego ormoche — odpowiedziałem.

Po obiedzie była moja kolej na łódkę. Masa ludzi — ale spokojnie. Potworny upał. Po jakiejś godzinie nasz przedpołudniowy obiekt zameldował się do wody. I oczywiście za czerwoną boję.

— Pływanie za czerwoną boję jest wzbronione. Proszę natychmiast płynąć z powrotem — wyrecytowałem formułkę dopłynawszy do niego. Nie reagował.

— Czy pan nie rozumie co się do pana mówi? Proszę natychmiast zawrócić — powtórzyłem.

Bez skutku.

— Siada pan natychmiast na łódkę i bez idiotycznych gierek — zaczęło mnie ponosić.

— Zamknij się gówniarzu, ja cię mogę nauczyć pływania. A wiesz kto ja jestem — przemówił.

— Gówno mnie to obchodzi, wraca pan natychmiast albo ja panu pomogę — odpowiedziałem.

Zaczął powolutku płynąć z powrotem. Przy żółtej boi znurkował. Próbował uciekać. Nie wiedział, że na brzegu czeka na niego Fred i nasz ormowiec ze stu złotowym mandatem. Na brzegu dopiero zaczęła się z nim „polka”.

— Co wy tu gówniarze zaczepiacie mnie, patrzcie na ten numer. Ja za was gniłem w Oświęcimiu. A wy mnie tu szykanujecie, polujecie na mnie jak hitlerowcy. Ładnie was wychowali — krzyczał.

Zbaraniiliśmy. Nie wiedzieliśmy co z nim robić. Tłum gęstniał. On siedział na piasku i darł się:

„Gówniarze, gorsi niż hitlerowcy, polują na ludzi nawet na plaży, w wodzie”. Robiło się coraz bardziej nieprzyjemnie.

Było nam strasznie wstyd, nie wiedzieliśmy jak go uspokoić. Tłum milczał. Był też tym widowiskiem zaszokowany. Nagle z tłumu wyszedł starszy, siwy pan.

— Wstyd mi za pana, ja też byłem w Oświęcimiu. Powinien pan mieć więcej godności. Ci młodzi są ratownikami i mieli rację, że upominali pana o przestrzeganie przepisów. A pan zrobił z siebie idiotę, mało tego, jako były więzień wstyd mi za pana — suchym głosem upomniał nasz obiekt.

Zamilkł. Było mu wstyd. Ruszył w stronę swego kosza. Zapomnieliśmy o mandacie. Marzyliśmy o ucieczce z plaży. Żaden z nas nie przemówił ani słowa. Fred wziął łódkę. Ormocho poszedł na pola. Siedziałem na wieży. Nawet nie usłyszałem go, nie widziałem go.

— Czy pan śpi? — powtórzył.

Teraz stał przede mną na wieży. Metr na metr, trzy metry nad ziemią. On — w slipkach, niski, ze smutnym wyrazem twarzy. Było mi bardzo niewygodnie.

— Nie, a o co chodzi? — wydusiłem z siebie.

— Nie, nic takiego, ja tylko chciałem zapłacić mandat — odpowiedział speszony.

— Proszę zapomnieć o tym. Wszystko jest o'key — odpowiedziałem.

— No, to ja dziękuję, czy mogę Panu pokazać te zdjęcia? — zapytał wyciągając z portfela jakieś fotografie.

Ludzkie szkielety, stosy butów, piec krematoryjny, zwęglone zwłoki... Zrobiło się zimno, głucho, dziwnie. Odebrał mi je. Zszedł. Bez słowa. Więcej się nie pokazał na plaży.

Dzień później mały chłopak przyniósł w zaklejonej kopercie, na której było wydrukowane: Młodzi na wieży numer dwa. W kopercie sto złotych. Bez słowa.

Tego wieczoru upiłem się. Było wciąż zimno, głucho, dziwnie. A Świnoujście bawiło się, kochało się, była świetna pogoda. Nie dla mnie i Freda.

Była połowa sierpnia. A ja już chciałem wracać. Zaczęłem wykańczać interesy, sweter dla Ciotki, koszule dla pani Heleny, zamówienia pana Kierownika. Świnoujście przestało mnie bawić. Było wciąż zimno, głucho, dziwnie.

Nie mogłem pić w Świnoujściu, jakoś nie szło. Jeździłem co wieczór do Zdrojów, do *Europy* lub do *Czarnego Kota*. Zapomniałem o interesach. Próbowałem otrząsnąć się z zimna, głuchości, dziwności. Nie dałem rady. Wyjechałem przed końcem sezonu. Nikt nie mógł zrozumieć dlaczego.

Tylko Fred wiedział dlaczego. Było zimno, głucho, dziwnie.

Maciej GRUBY

Konsument to ja

Jestem skromnym człowiekiem. Nie zostałem stworzony do naprawiania świata i dobrze mi z tym. Moje przekonania są zgodne z przekonaniem większości; to mnie uspokaja, nawet jeżeli nie gwarantuje racji. Znam swoje granice i nie mam wygórowanych ambicji; jedno co potrafię doskonale to przystosować się do wszystkiego.

Mój pogląd na świat uformował się dawno. Wcześniej zauważyłem, że postępowaniem ludzi kieruje własny interes. Każdy myśli najpierw o sobie i chciałby brać dla siebie — z wyjątkiem może Chrystusa, który ma ręce przybite. Jednocześnie wszyscy udają że jest inaczej i w rezultacie sami siebie potępiają. Czemu nie przyznać się otwarcie do tego co słuszne i oczywiste? Nawet Kościół nie każe nam kochać innych więcej niż siebie. Kto próbuje być altruistą spada na dno — bliźni go pograżą. A przecież każdy chce żyć, i to jak najlepiej. Ja też.

Jestem człowiekiem wierzącym. Chodzę do kościoła dla ćwiczenia charakteru, spowiedź stanowi dla mnie duchowe wypróżnienie nieodzowne dla dobrego samopoczucia. Wiara pomaga mi żyć zdrowo i spokojnie, odpowiada na wiele trudnych pytań. Może te odpowiedzi są uproszczone i nie kompletne, ale nie chcę o tym myśleć; nie chcę się zastanawiać czy jest prawdziwe każde słowo, które nie wiadomo dokładnie kto napisał podobno dwa tysiące lat temu. Wierzę z zamkniętymi oczami bo tak trzeba, ci którzy nie widzieli a uwierzyli są uprzywilejowani. Dopóki wierzę jestem zabezpieczony, po śmierci czeka na mnie emerytura. Wiara zdejmuję mi z głowy problemy i pozwala sumiennie zająć się teraźniejszością.

Kiedyś byłem popychadłem, pracowałem w Zarządzie Miejskim w Radomiu. Za moją pilność i staranność dostawałem dy-

plomy przodownika pracy. Nie brałem poważnie tego rodzaju odznaczeń, ale na więcej nie miałem widoków. Poczucie spełnionego obowiązku nie wystarczało mi, chciałem realnych korzyści. Postanowiłem wstąpić do partii.

Na ten krok zdecydowałem się z niechęcią: przyłączałem się do grupy której prawie wszyscy chcieliby się pozbyć; ja też. Krewni, przyjaciele, czuli do mnie żal. Ale ja nie miałem innego wyjścia, nie miałem innej szansy na awans. Gdybym miał zawód, wykształcenie, albo był naprawdę zdolnym człowiekiem — to co innego; ale nie byłem, wiedziałem o tym. A jakoś przecież musiałem wydostać się na wierzch.

Okazało się że dobrze zrobiłem: wkrótce zostałem przeniesiony na niezależne stanowisko, miałem wyższą pensję, mniej pracy. Moi zwierzchnicy kierowali się interesem partii, czyli interesem jej członków. Zyskałem spokojną pewność należenia do ludzi wyróżnianych na pierwszym miejscu, opuścił mnie kompleks człowieka któremu się nie powiodło.

Musiałem dać za to czego ode mnie żądano: chwaliłem nonsensy i przytakiwałem kłamstwom, mówiłem „przed naszą erą” zamiast „przed Chrystusem”, nazywałem towarzyszami ludzi których wolałbym nie spotykać. Nie kosztuje to tak wiele jak by ktoś myślał, człowiek się przyzwyczaja. Widok dawnych kolegów pozostawionych w cieniu dodawał mi animuszu.

Po pewnym czasie doczekałem się prawdziwego awansu: dostałem pozwolenie na zamieszkanie i pracę w Warszawie; bez pomocy partii nie mogłem o tym marzyć. Niedługo potem miałem w ręce przydział na własny pokój z osobnym wejściem. Czego więcej można było żądać? Otrzymałem dowód, że wybrałem słuszną drogę.

Przypominam sobie dobrze ten okres. Czułem się coraz lepiej w nowej sytuacji, innymi oczami patrzyłem na istniejący ustrój. Rozumiałem logikę grupy rządzącej, czułem się jednym z właścicieli państwa — przedsiębiorstwa kierowanego przez nas i przynoszącego nam korzyść. Dawniej wydawało mi się, że decydujące powinno być życzenie większości społeczeństwa, dziś najważniejsze było dla mnie dobro mojej partii, nasze dobro, dobro naszego państwa. Kiedyś w głosowaniu na jedną listę widziałem czysty nonsens, teraz to była dla mnie życiowa konieczność. Z naszego punktu widzenia głosowanie i wybory były słuszne. Na szczęście mieliśmy środki żeby naszą słuszość uczynić obowiązującą.

W moim biurze miałem polecenie wglądu w życie podwładnych, krytykowałem ludzi na zebraniach produkcyjnych, w gazetce ściennej; czujność była dobrze widziana, wzmacniała moją pozycję. Na swoim odcinku mogłem przesuwac pracowników nie

licząc się z ich wolą czy interesem — w pewnych granicach, oczywiście — byłem tylko znalazł formułę tłumaczącą posunięcie dobrem partii. O aprobatę nie było trudno, świadomość że jesteśmy w mniejszości wzmacniała solidarność, a wierność dla systemu usprawiedliwiała ewentualne błędy.

Pamiętam jaką satysfakcję sprawiała mi władza. Coraz więcej liczono się ze mną, a do mnie nie mógł się nikt przyczepić. Nie dawałem powodu; prowadziłem się skromnie, głowę trzymałem na kłódkę. Wystarczyło mi co zarabiam, teraz nie mogłem narzekać. Zacząłem sobie odkładać pieniądze. Moje życie naprawdę nabierało sensu.

Przystosowałem się do nowych warunków, już wydawały mi się całkiem oczywiste. Nie czułem najmniejszej potrzeby zastanawiać się nad czymś takim jak moralna strona mojej postawy. Po co? I tak wiedziałem że z tej jedynej dostępnej dla mnie drogi w górę nie zejść. A w końcu nasze położenie jest zawsze jakoś niesprawiedliwe w stosunku do mniej uprzywilejowanych; jeżeli nie jest oparte na czyjejs krzywdzie to można mieć czyste sumienie.

Kiedyś wziąłem udział w bezpłatnej wycieczce do Hamburga, zorganizowanej dla nas, członków partii. Zachód znałem dotąd z wystaw sklepów komisowych i z luksusowych opakowań towarów w Delikatesach, nie byłem tam nigdy. Jechaliśmy wagonem sypialnym; obudziłem się w innym świecie, w atmosferze pewnej siebie, zadowolonej sytości. Ludzie ubrani na codzień jak u nas w niedzielę, w sklepach stopy nieznanych towarów, na ulicach sznury nowych prywatnych samochodów. Szeroko otwierałem oczy. Nie do wiary, że to my zakończyliśmy wojnę po zwycięskiej stronie.

Zwiedzaliśmy miasto parami, dzień przed powrotem chodziłem z sekretarzem dzielnicowym. Powiedział wtedy do mnie:

— Widzicie kierownika jak tu ludzie mają? Tu jest tak jak my wszystkim opowiadamy, że u nas będzie za pięćdziesiąt lat. Ameryka im pomogła, to prawda, ale pytam się was — dlaczego Związek Sowiecki nie mógł tego samego dla nas zrobić? Przypatrzcie się, co dla nas luksus u nich codzienna rzecz. A wiecie skąd ta różnica? My to między sobą możemy powiedzieć: bo im wolno żyć tak jak każe zdrowy rozum. Zapamiętajcie to sobie kierowniku. Ile macie lat?

— Dwadzieścia osiem.

— Piękny wiek. Po niemiecku umiecie?

— Trochę umiem.

— Coś wam powiem kierowniku, nie obrażcie się. Gdybym ja był w waszym wieku, nie miał mojej czwórki na głowie i jeszcze umiał po niemiecku, wiecie co bym zrobił? Zostałbym tu.

Tak. Nie patrzcie na mnie, to nie prowokacja. Mówię co myślę. Nie jak partyjny, jak człowiek do człowieka. Za duży jestem dla was i za długo w partii żebyście mi mogli zaszkodzić. Zresztą znam was i wiem że jesteście sprytny ale nie wazelinarz. Dlatego was w partii dużo nie czeka. Tu co innego. Tu każdy może zrobić pieniądze i być panem. Wystarczy energia, oszczędność, pracowitość — a tego wam nie brak. Szkoda mi was, marnujecie się. Nie musicie nic mówić, kierownikowi, rozumiemy się dobrze bez tego.

Nie miałem zamiaru odpowiadać, zacząłem rozmowę na inny temat. Na drugi dzień wsiadłem do pociągu razem ze wszystkimi.

W Warszawie zdając sprawozdanie z wycieczki w komitecie partii, na pytanie — czy zauważyłem kogoś zachowującego się podejrzanie — podałem nazwisko koleżanki, którą widziałem jak handlowała w Hamburgu. Uważałem że przynosi nam wstyd, a oprócz tego chciałem w ten sposób zabezpieczyć sobie następny wyjazd. Trzeba mi było wrócić do Warszawy żeby zauważyć całą różnicę między Polską a Zachodem; rozumiałem, że sekretarz miał rację.

Jestem od wielu lat w Niemczech Zachodnich. Zdecydowałem, że lepiej wybrać problem krajów bogatych — żeby nie jeść za dużo, niż biednych — żeby nie jeść za mało. Poprosiłem o azyl polityczny, to najlepszy pretekst do zainstalowania się w atrakcyjnym kraju. Nikt tu nie zna mojej przeszłości, nikogo ona nie interesuje. A gdyby nawet — że byłem członkiem partii? I cóż z tego, to nie żadna zbrodnia. Niekonsekwencja jest pozorna: chodziło o tę samą rzecz, o poprawę mojego bytu. A o to każdemu wolno się starać, mnie też. Nikt na tym nie stracił ani nikomu nie zaszkodziłem; na moją posadę, na mój pokój w Warszawie — czekało stu. A ja zyskałem wszystko, doszedłem tam dokąd chciałem.

Tak, jestem zamożny. To moja rekompensata za codzienną klęskę zbliżania się do przeciwległych drzwi życia. Na inną nie mam szans, nie stać mnie. Nic więcej mnie już nie czeka. Moje życie układam sobie na swój sposób, jak potrafię najlepiej.

W Polsce zamożność ukrywa się albo potępia. Tymczasem każdy tylko marzy o pieniądzach i jak może zbiera po cichu do swojej dziurki. Tu majątek chwali się i ceni; zupełnie słusznie. Posiadanie pieniędzy daje prawdziwą wolność, dobrobyt to ostateczny cel każdej doktryny politycznej, warunek zdrowia, porządku, kultury. Kiedyś człowiek musiał bez przerwy gonić za jedzeniem żeby żyć, dopiero jak potrafił uskładać sobie zapas na jutro mógł się zająć abstrakcją. To racja, że każdy jest tyle wart ile ma pieniędzy, warunkiem jest uczciwość. Konto w banku to odbicie działalności w życiu, zmagazynowana energia którą można

wyzwolić jednym ruchem pióra. Posiadanie takiej władzy daje człowiekowi pewność siebie, u innych budzi szacunek. Toteż wkładanie okrągłej sumy do banku zawsze sprawia mi wielką przyjemność.

Nie przyszło mi łatwo, czekały mnie długie lekcje cierpliwości i pokory. W Polsce brak zdolności nadrobiąłem przynależnością do uprzywilejowanej klasy, wiernością dla korzystnej nam polityki. Tu z miejsca byłem upośledzony brakiem zawodu, złe opanowanym językiem, odmienną narodowością. Musiałem z trudem przewyciężać strach gospodarzy przed słowiańskim talentem dezorganizacyjnym. Tyle tylko że nie potrzebowałem, jak kiedyś, sprzedawać sumienia.

Byłem zmuszony uprawiać politykę słabych, bo zdawałem sobie sprawę z moich braków. W każdym znajomym podejrzewałem potencjalnego konkurenta. Nikomu nie pomagałem w załatwieniu roboty, nie zdradzałem kontaktów, nie opowiadałem o zarobkach. Im mniej ludzi się pcha tym dla mnie lepiej; a zresztą czy mnie kto pomoże? Robiłem wyjątki dla tych, którzy mogli mi się do czegoś przydać. Od rodaków trzymałem się z daleka; zachowują się kompromitująco i wiecznie czegoś potrzebują. Nawiasem mówiąc nie rozumiem po co tylu ich tu wpuszczają.

Sam rozwinąłem zapobiegliwość i pracowitość na jaką mnie tylko było stać. Pomagała mi moja żona, Niemka. Poznałem ją kiedy pracowałem w wielkim domu towarowym, była tam sprzedawczynią, ja pomocnikiem w magazynie. Miała trochę odłożonych pieniędzy i wspólnymi siłami otworzyliśmy sklep towarów kolonialnych. Może to i nie bardzo poetyczne, za to ogromnie zyskowne. Groszowe zarobki na każdej transakcji kumulują się niespodziewanie w pokaźny dzienny zysk. Kilka lat temu kupiliśmy pod miastem domek z ogrodem; mamy dwoje dzieci i dobrze nam razem.

Tutaj za Boga nie ożeniłbym się z Polką, za granicą to koniec. Człowiek staje się obcy dla otoczenia, wchodzi w polski kocioł, z którego nie ma wyjścia. Na co mi to potrzebne? Przecież ci ludzie bez przerwy się kłócą, nawet w swoim własnym piśmie; rozsyłają je za darmo, bo nikt by nie kupił. Drętwe, jak by się bali, że od wesołego słowa ich orłu korona z głowy spadnie. Na codzień ci patrioci handlują zegarkami, a w niedzielę bawią się w nieuznawanie rzeczywistości — z podobnym wynikiem. Żyją myślą powrotu do Polski; kiedy się zmieni, oczywiście. To bezsens ustawiać całe swoje życie pod kątem tak mało prawdopodobnej możliwości. Nie rozumieją że negacja rzeczywistości to negacja życia. Nie potrafią się przystosować — biedni ludzie.

U nas w domu nie rozmawiamy po polsku, ani moje dzieci nie uczą się polskiego. Szkoda czasu, ten język nikomu nie

potrzebny. Nasze nazwisko przerobiłem na łatwiej wymawialne, bo mamy stale kłopoty a to taka drobnostka. Staram się też nie przypominać, że Polacy to Słowianie, ta nazwa budzi niekorzystne skojarzenie w językach europejskich. Za to do Polski bardzo chętnie jeździmy, oczywiście od czasu kiedy dostałem niemieckie obywatelstwo.

Czekałem na nie z niecierpliwością; latami pobytu i uczciwej pracy wysłużyłem sobie miejscówkę w nowym społeczeństwie. Trochę mi przykro że zostałem akurat niemieckim obywatelem — tak się złożyło, nie miałem wyboru. Za to wreszcie przestałem być człowiekiem z poczekalni, w końcu gdzieś należę. Czuję się znacznie pewniej, mogę swobodnie poruszać się po świecie, teraz to dla mnie kwestia kupna biletu. Ludzie okazują mi szacunek tam gdzie przedtem mnie lekceważyli.

W Polsce są dla mnie grzeczniejsi niż gdzie indziej, często uniżeni, pokorni; nie wszyscy, ale większość. To uznanie jest zresztą zrozumiałe — wyraża aprobatę mojego postępowania w życiu, ocenia zalety, które mi zapewniły obecną pozycję, tym bardziej że wartość zalet rośnie z różnicą hierarchii ekonomicznej. Najlepsze, że wyróżnienie dla mojej osoby jest praktykowane przez państwowe organizacje turystyczne, mimo że przecież wystrychnąłem polskie władze na dudków. A może właśnie dlatego.

Znajomi Polacy w Niemczech nieraz mi proponują żebym zabrał ze sobą rzeczy albo listy do Polski. Łatwo im mówić; kto może wiedzieć co tam jest w środku, ja potem mogę wpaść. Zawsze odmawiam; nie ma głupich, ostrożnego Pan Bóg strzeże.

Jeżdżę swoim nowym Mercedesem do modnych miejscowości w Polsce, wybieram najdroższe hotele i restauracje; stać mnie na to. Kiedyś były dla mnie innym światem, teraz są częścią mojego. Przyjemnie. Mam zabawę jak nigdzie indziej, tu jestem najważniejszy, mogę imponować. Rozmowy milkną kiedy zabieram głos, zaczynają się na nowo kiedy zapłacę rachunek. Wszystko to w końcu nie kosztuje drożej niż w innym kraju a robi dużo większe wrażenie.

W Warszawie natknąłem się kiedyś na mojego sekretarza dzielnicowego; gratulował mi. Pamiętał.

Czasem spotykam ludzi którzy nie mają zamiaru pochlebiać mi za kolację czy przejażdżkę autem — ale widzę że nawet ci nie potrafią powściągnąć spojrzeń pełnych podziwu dla mojego wozu, dla futra i biżuterii żony. To mi wystarcza.

Do Radomia więcej nie zaglądam, raz mnie widzieli, to dosyć. Nie chcę spotykać dawnych kolegów z Zarządu Miejskiego, za duża różnica między nami. Moja rodzina czeka na prezenty, nie na mnie, nie wiadomo czemu pomoc dla nich uważają za

mój obowiązek. Prezent musi być dla każdego, i to nie byle co; i tak zawsze mało, słyszę jak mówią: mógłby więcej. Pewnie, mógłbym, ale nie widzę powodu: to nonsens, żeby człowiek który z wysiłkiem zdobył dla siebie majątek miał dzielić się z innymi zamiast sam z niego zasłużyć korzystając. W imię czego? Z głodu nie umierają. Przecież każdy może spróbować urządzić się tak jak ja. Zapracowałem sobie, z nieba mi nie spadło — mnie się udało, może się udać innemu. Ale to nikomu nawet na myśl nie przyjdzie. Nie, moi drodzy, siedzieć i czekać to za mało, trzeba samemu głową pokręcić.

Wszyscy tylko czekają żeby im dać, na całym świecie. Głodujący w Indiach, trędowaci w Afryce, pogorzelnicy w Wietnamie — nie ma końca. Jakież to męczące. Tylu naraz chce, że ostatecznie nie dają nikomu; płacić po to żeby Hindusi mogli zrobić jeszcze jedno dziecko, które będzie głodować? Dobroć nie w porę to oznaka słabości.

Mówią o eksplozji przyrostu ubogiej ludności świata; nie przesadzajmy, nie takie to groźne. Co się stanie kiedy tych ludzi będzie za dużo? Nic. Są za słabi, za biedni żeby na nas napaść. Po prostu umrą, każdy w swoim kąci. Nie ma rady. Żałuję, że ludziom źle się dzieje, ale mam własne problemy: kiedy mnie bolą zęby troski całego świata przestają mnie interesować.

Najlepiej czuję się w domu. Mieszkanie mamy wygodne: nowoczesna kuchnia, w pokojach stylowe meble, dywany, koronkowe firanki, kryształowe żyrandole, na ścianach abstrakcyjne obrazy. W dużym pokoju wielki telewizor i gramofon z kompletem płyt najślawniejszych arii operowych. Do biblioteki kupiłem na licytacji pięknie oprawne serie książek; nie żeby czytać to nudziarstwo, na to brak mi czasu i ochoty. Zresztą książkowa mądrość mi niepotrzebna, pokazałem że można się bez niej obejść. Ale pokój nabrał solidnego wyglądu, tu co wieczór robimy rachunki z całodziennego utargu.

Moja żona jest czysta i staranna, dzieci dobrze ułożone. Wygodnie nam samym i nie potrzebujemy nikogo do szczęścia; nie wadzimy nikomu, ani nam nikt nie przeszkadza. Chociaż nieraz zapraszamy Polaków, najchętniej tych którzy jeszcze nie widzieli naszego dobrobytu. Pokazujemy im ogród, garaż, urządzenie domu; wyjmujemy nasze srebro i porcelanę na dwanaście osób, najlepsze rzeczy — żeby im zaimponować. Niech wiedzą jak trzeba się urządzać, to im dobrze robi, może sami się podciągną. Niektórzy wyobrażają sobie że może będą u mnie nocować i mieszkać, z wiktem, oczywiście. Nie łatwo takich spławić, ale w końcu zawsze mi się udaje; nawet choćbym chciał, nie mam gdzie tych ludzi umieścić bo nas nie stać na pokój gościnny. A inaczej nie ma mowy — narobili by bałaganu, ładnie by miesz-

kanie wyglądało. Raz byli tacy co chcieli rozbić namiot w naszym ogrodzie; dziwne ludzie mają pomysły.

Czasem chodzimy do kina całą rodziną, ale nigdy na filmy o nędzy albo okropnościach wojny — to źle działa na samopoczucie. Po co się w tym babrać; tak jak by nie wystarczała smutna rzeczywistość.

Żona doskonale gotuje, to bardzo ważne. W Polsce jadałem przeważnie w barach mlecznych, nie wiedziałem jakim przeżyciem może być jedzenie. Nawet mi się nie obity o uszy nazwy słynnych potraw, win, serów, nie miałem pojęcia jak smakuje dobra kawa. Teraz za to jemy dużo i dobrze; smaczne jedzenie to wielkie szczęście.

Nie jestem już szczupły jak dawniej, ale tusza wcale mi nie przeszkadza. Dbanie o dobrą figurę, gimnastyka, sporty — to bzdura i stracony czas, jestem zdrowy bez tego. Uroda nie jest mi potrzebna, człowiek gruby budzi sympatię kiedy jest czysty i starannie ubrany. Uwodzicielem nigdy nie byłem, nie miałem warunków, gdy spojrzała na mnie ładna kobieta szukałem plamy na twarzy. Teraz łatwo mógłbym znaleźć młodą kochankę za pieniądze, koledzy tak robią. Ale to zbyt wielki kłopot, naruszenie dotychczasowego porządku; i dużo kosztuje, nie mówiąc o konsekwencjach. Wystarcza mi moja żona, pulchna i zdrowa — kocha mnie i pilnuje mojego majątku.

Na starość jestem ubezpieczony, kiedyś wygodnie umrę. Postawiłem bazaltowy grobowiec dla naszej rodziny, mam teraz wszystko załatwione, do końca. Nikt naprawdę nie wie co będzie za ostatnimi drzwiami — ale tu nie mam sobie nic do wyrzucenia: żyłem przyzwoicie i uczciwie, nie zrobiłem krzywdy nikomu, dochowałem wiary rodziców — chyba powinno mi to być policzone.

Jestem zadowolony z samego siebie i to dla mnie najważniejsze. Spokojnie, z czystym sumieniem układam się co wieczór do snu.

Andrzej LUBELSKI

Wiersze

Bułat OKUDŻAWA

PODRÓŻ DOROŻKĄ PO NOCNEJ WARSZAWIE

*Warszawo, pokochałem cię miłością rzewną i namiętną.
Na pewno w arsenale poetyckim są słowa bardziej składne,
ale tu w piersi, z lewej strony, najświętsze bije tętno
i smuci się i skarży...*

I nie ma na to rady żadnej.

*Dorożka trzęsie. Noc wolno płynie. I tak w Warszawie co dnia.
Tu tyle cierpień, miłosnych zrywów tyle i pożarów...
Otom gałązkę nikłą dziś w Łazienkach z ziemi podniósł,
Zygmunta ukłon i jakaś pani dziwnego pełna czaru.*

*Oficerowie śpią — i Bóg i ludzie zapomnieli o nich.
Szumią nad nimi obce lasy i obca pluszczka rzeka.
Nadejdzie kiedyś czas i mały uczeń ruchem drżącej dłoni
w swój zeszyt wpisze całą prawdę, której nikt z nas nie doczeka.*

*O, jakże ciężko uczucia swe przesiewać wciąż przez sito,
przez zaciśnięte zęby cedzić słowa, przez niewiarę — miłość...
Chcę, by mój los niepewny mógł odrzucić wszelką skrytość,
nadzieja by ożyła i ufnosć znów się przebudziła.*

*Zapał latarkę swoją, staroświecki dorożkarzu.
To kłamstwo, że zbyt późno, że wiek ten dawno nas przegonił!
Warszawo, twój chłopcy czupryny modne wicherzą, lecz na twarzy
każdego cień zadumy i zmarszczki kładą się na skroni.*

Dorożka trzęsie. Noc wolno płynie. Krakowskie znów
[Przedmieście.

*W kawiarni pani śpiewa, w jej pieśni mroczne dziwa,
Czerwony Mak zakwita, by inną miłość nam obwieścić...
Krakowskie znów Przedmieście.*

*Dorożka trzęsie.
Noc przepływa.*

Bułat OKUDŻAWA

Przetłóczył z rosyjskiego Józef Łobodowski

Henryk GRYNBERG

DZIEDZICTWO

*Nie zostawiłeś mi twojego królestwa
nie zostawiłeś mi twojej świątyni
nie zostawiłeś mi twoich wiernych
nie zostawiłeś mi nawet wiary
nie zostawiłeś mi nawet zmarłych
jeśli nie liczyć zanikającego krzyku pustki
w rozłupanym nad głową powietrzu*

*Nie zostawiłeś mi zadośćuczynienia
nie wiem nawet do kogo strzelam
z mojej żałosnej procy
ani jak ma na imię morderca
Milion
czy Dziesięć Milionów*

*Nie zostawiłeś mi przecież przyjaciół
więc czemu zostawiasz mi wrogów*

*i czemu mnie czynisz tak hojnie
spadkobiercą każdego drgnienia
starej skołatanej i zdartej
do ostatniej struny
twojej harfy
odosobienia
i marnego niekrólewskiego cierpienia
Dawidzie...*

Warszawa 1967

AŻ DO KOŃCA

*Podawali mi to codziennie
w dawkach zwolnionego działania
dwie łyżeczki radiowe na czczo
cztery telewizyjne krople
jedną dużą pastylkę prasową*

*zalecali zimne kąpiele
w złej sztuce politycznych nabożeństw
przyswajali
przysposabiali*

*ja mówiłem nie wierzę nie wierzę
bo inaczej mówić nie mogłem
nie wierzę mówiłem*

wierzyłem

*Już sięgałem sam po cykuta
nastawiłem radio słyszałem
jak wsączała się powoli pełznąca
ale w ostatniej chwili
zakręciłem kurek
wołając
jestem synem pomordowanych
nie pozwolę po raz drugi się zabić
nie pozwolę*

ja nie pozwolę...

*i nazajutrz szedłem gdzie zawsze
nagą twarz przeciwstawiać twarzom
pozwalając im jej dotykać
spojrzeniami niepowiedzianymi słowami
„dotykając nie potrafią nie zranić”*



*Brocząc szedłem w kąt mojej nocy
nerwowymi krokami stukając
potykający się wiersz
już nie staram się by na drodze
która do mnie prowadzi
nie zostawiać mokrego śladu*

Lecz

*nie zniknąłem nie odleciałem
pozostanę na tej planecie
popatrzymy do końca w swe oczy*

Warszawa 1967 — Los Angeles 1968

NASZ PACYFIK

Polakom z San Francisco

Co my robimy w tym deszczu
co my robimy w tej mgle
i na chybliwych wzgórzach
staczających się zwolna do morza
i wśród chwiejących się domów
staczających się coraz bardziej ze wzgórz

Co my robimy na mostach
które pną się do samego nieba
a na których nie spotykamy nikogo
lub wśród żałosnych kikutów
którymi na nas kiwają platany

Wyspy patrz na nas spode łba
wzgórza zrzucić chcą nas do morza
co robią tu nasze oczy i co robią nasze uszy
w melancholii chwiejących się domów
staczających się do morza wzgórz
plusku wysp których nie znają
żadne statki naszej nadziei

Dziwne okna mają tu domy
dziwne usta mają tu ludzie
co robią tu nasze mózgi
którymi zwalczamy czas
i co robią nasze języki
które nie rozumieją przestrzeni
uczepieni kurczowo

trzymamy się jeden drugiego
tak jak trzyma się deskę ratunku
i mówimy
co tchu starczy mówimy
tak jak byśmy wiązali lepili
naszą tratwę
z tych polskich słów.

Lecz tymczasem przenika nas mgła
coraz głębiej
przenika nas deszcz
nawet morze spod stóp nam odpływa

San Francisco tylko ręce rozłoży
gdy przeleje nam się w piersi Pacyfik

San Francisco, luty 1968

Henryk GRYNBERG

Obserwatorium

Praga i Warszawa

Jak określić sytuację rewolucyjną? Najlepiej chyba zrobił to najlepszy z pewnością znawca przedmiotu, Lenin. Jest to sytuacja w której „rządzący zdają sobie sprawę że nie mogą dalej rządzić starymi metodami, a rządzić nie chcą już dopuścić by rządzono nimi dalej starymi metodami”. Pierwszy człon tej formuły wymaga jednak wyjaśnienia. Mówiąc o rządzących którzy „zdają sobie sprawę że nie mogą dalej rządzić starymi metodami”, Lenin miał na myśli ludzi którzy bądź nie chcą bądź nie potrafią już zmienić swoich dotychczasowych metod rządzenia, są dożywotnymi więźniami „modelu” władzy znienawidzonego coraz głębiej przez rządzonych. Taka sytuacja rewolucyjna, klasyczna i pozbawiona dla rządzących kłap bezpieczeństwa z wyjątkiem Korpusu Bezpieczeństwa, istnieje dziś czy to podskórnie czy (dzięki postawie pisarzy i demonstracjom studenckim) jawnie w Polsce. Kiedy natomiast „rządzący zdają sobie sprawę że nie mogą dalej rządzić starymi metodami” i postanawiają lub co najmniej obiecują je zmienić, powstaje sytuacja na wpół rewolucyjna a na wpół ewolucyjna, w której na pewien czas otwierają się społeczne kłapy bezpieczeństwa a zamykają bramy koszar Organów Bezpieczeństwa. Taka była warszawska „wiosna w październiku” przed dwunastu laty, zanim okazała się wiarołomstwem i manewrem obliczonym wyłącznie na wytrącenie broni z rąk rządzonym. Taka jest obecna praska wiosna, zanim będzie można powiedzieć o niej coś pewniejszego.

Obserwując dzień po dniu to co się dzieje w Czechosłowacji, widząc jak gorączkowy proces odnowy i reformy łączy w sobie oddolne wrzenie z odgórną zgodą na radykalne zmiany, ma się uczucie przeżywania po raz drugi „polskiego października”. Powszechna *malaise* w kraju; równoczesny bunt pisarzy i studentów;

rewindykacje robotnicze; walka o plan uzdrowienia kulawej gospodarki; zmiana warty na szczycie partii (z towarzyszeniem bezowocnej wizyty towarzyszy radzieckich w Pradze); zwieranie frontu dokoła nowego sekretarza generalnego; stopniowe rugowanie z rządu i partii przedstawicieli starej gwardii; atak na sądownictwo i rewizja procesów z okresu bezprawia; oczyszczanie związków zawodowych (chwilowo bez użycia tacek); wolność słowa i zrzeszeń; uderzenie w cenzurę; ograniczenie wszechwładzy policji; projekty demokratyzacji życia politycznego, łącznie z reaktywowaniem fikcyjnych dotąd „bratnich” partii, oraz przywróceniem pewnej godności parlamentowi. Można by te analogie mnożyć, aż do analogii węgierskiej już raczej niż polskiej: z okazji „rehabilitacji” Jana Masaryka padła w Pradze ostrożna pochwała „neutralizmu typu fińskiego”. To prawda — dzieje „polskiego października” i rewolucji węgierskiej składają do sceptycyzmu i powściągliwości w ocenie perspektyw praskiej „półrewolucji”. Ale Czesi i Słowacy są dziś bogatsi o doświadczenia polskie i węgierskie. I Rosja (trzymana za gardło przez Chiny, szachowana potencjalnymi secesjami i schizmami) nie jest już dziś tym, czym była w roku 1956. Czy Dubczek okaże się czechosłowackim Gomułą, który chce jedynie podeprzeć chwiejącą się partię i osadzić ją mocniej w siodle? Przyszłość da na to pytanie odpowiedź. Pewne jest tylko, że nowowybrany czechosłowacki sekretarz generalny odrzucił „dobre rady i partyjne ostrzeżenia” polskiego sekretarza generalnego; że Gomułka, wróciwszy do Warszawy z pustymi rękami ze spotkania z Dubczkiem, wydał prasie polskiej nakaz uczczenia rocznicy praskiego zamachu stanu z lutego 1948 roku w tym samym czasie gdy prasa czechosłowacka rozpoczęła krytykę wypadków w Pradze sprzed dwudziestu lat; i że głośnie „intronizacyjne” przemówienie Dubczeka zostało ocenzurowane w *Trybunie Ludu* i w *Życiu Warszawy*.

O „półrewolucji” typu praskiego nie ma mowy w Warszawie, gdzie — jak słusznie pisze *Le Monde* — „nie istnieje już w praktyce w partii polskiej skrzydło liberalne, które mogłaby wzmocnić akcja studentów i intelektualistów”. Partia polska jest „ideologicznie” jednolita, wszelkie dzielenie jej na „frakcje” i „grupy” sprowadza się wyłącznie do układania mapy aspirantów do władzy totalnej, sukcesorów krążących w swoich orbitach dokoła żywego trupa Gomułki w oczekiwaniu na „sposobną chwilę”. Takie czy inne sojusze lub podchody nie zmieniają już podstawowego faktu że Gomułka wart jest Moczara, Gierka, Ryszarda Strzeleckiego, Kliszko, Starewicza, Ochab, Cyrankiewicza. Jest to partia czysto faszystowska, w której protesty pisarzy i manifestacje studenckie wywołują jako jedyny odruch spuszczenie ze smyczy policji i bojówek „robotniczych”, odkurzenie w nowej

„robotniczej” edycji swoistej „machajszczyzny” (*dałoj gramotnyje*) połączonej z „robotniczą” reedycją „czarnej sotni” (*bij sjonistow, spasaj socjalizm i Polszu*), odwołanie się do ostatecznej i najwyższej instancji „łamania kości”. Jest to partia w której wschodząca gwiazda Strzelecki uważa *ex definitione* każdego inteligenta za Żyda (czyli zdrajcę), a zachodząca gwiazda Gomułka rozumie tylko język „zamordyzmu”; która poza swoim obrębem darzy pełnym zaufaniem jedynie przedwojennego wodza ONR, a organizowanie „szerokiego frontu narodowego” powierza oprawcy z łódzkiego UB. Zwracać się do takiej partii z programem łagodnej ewolucyjnej „półrewolucji” typu praskiego znaczy dokładnie tyle, co aplikować aspirynę choremu na wściekliwość.

W Polsce istnieje więc, i nie może nie istnieć, podskórna sytuacja rewolucyjna. Pisarze i studenci są jej widocznym dla gołego oka punktem szczytowym, jak gdyby wynurzonym z morza wierzchołkiem podwodnej góry lodowej. Straszy się ich Rosją i robotnikami. Każdemu z tych straszaków należy się przyjrzeć nieco bliżej.

Na dalszych stronicach bieżącego numeru *Kultury* czytelnik znajdzie relację o okolicznościach towarzyszących zdjęciu „Dziadów” z afisza i Nadzwyczajnemu Walnemu Zebraniu ZLP. Uderza w nich jedna informacja, potwierdzona zresztą także z innych źródeł: Rosjanie ani nie interweniowali, ani nie zamierzali interweniować, w sprawie inscenizacji *Dejmka*, uważając za niedopuszczalną w ogóle samą myśl o stawianiu przez kogokolwiek znaku równości między caratem a władzą sowiecką. Wprost przeciwnie — odradzali Gomułce ten ryzykowny i głupi krok. Ale tu właśnie Gomułka postanowił zabłysnąć swoją rzadko kiedy indziej przejawianą „suwerennością”. Dlaczego? Bo demonstracyjne oklaski na przedstawieniach uznał za skierowane przede wszystkim pod *własnym* adresem. I tak jest nie od dzisiaj. Kiedy Chruszczow proponował w swoim czasie w imię naprawy stosunków polsko-rosyjskich wyeksplodowanie bomby Katynia, która leży wciąż groźnie w podziemiach polskiej świadomości narodowej, Gomułka „suwerennie” odmówił. Obawiał się przypuszczać, że siła tej detonacji uderzy przede wszystkim w niego, a nie w niewzruszalne prawa położenia geopolitycznego Polski. Gomułka broni siebie, swojej władzy i władzy partii, używając „suwerennie” straszaka Rosji nawet tam gdzie go nie ma. Polacy wiedzą dziś dostatecznie dobrze co w ich stosunkach ze wschodnim sąsiadem mogłoby stanowić *casus belli*; Rosjanie uczą się dziś z musu większej ustepliwości i elastyczności, pilnując tego głównie co uważają za swoje żywotne i nietykalne interesy państwowe. Po środku ciągnie się pas, w którym chcąc można by się swobodniej i śmiało poruszać. Gomułka zatknął w nim na

użytek bezpartyjnych rodaków deskę z napisem „Uwaga, ostrożnie, miny rosyjskie!”, a na użytek własny i partii ujeżdża w nim dumnie kiedy trzeba żałosną szkapę „suwerenności”.

Straszak robotników jest poważniejszy w tym sensie, że zawiera jednak niebezpieczne źdźbło prawdy. Cokolwiek się myśli o „delegacjach” i „kontrdemonstracjach robotniczych”, o działalności specjalnego departamentu Gniewu Ludu przy MSW, pozostaje fakt że w przeciwieństwie do roku 1956 robotnicy nie wyszli wobec ruchu pisarzy i studentów poza mniej lub więcej życzliwą obojętność. Działa tu poczucie gorczy, zniechęcenia i opuszczenia, świadomość że sojusz z okresu *Po prostu* nie został zastąpiony inną formą politycznej wspólnoty? Odstęczył robotników brak *wyraźnych* postulatów społecznych i gospodarczych w rezolucjach studenckich, brak *wyraźnych* dowodów że uniwersytety pragną przerzucić pomost do fabryk? Na jednym z pierwszych zgromadzeń studenckich rozległy się słowa: „Walczyć o „Dziady”, walczyć o niepodległość i wolność, o tradycje demokratyczne naszego kraju. Walczymy również o interesy klasy robotniczej, gdyż nie ma chleba bez wolności, jak nie ma studiów bez wolności”. Te słowa powinny być powtarzać się nieustannie; rozumna w zasadzie rezolucja studentów Politechniki, nawiązująca do „fundamentalnego hasła socjalizmu i demokracji” i pozbawiona jakichkolwiek akcentów antyrosyjskich, powinna była jasno i dobitnie kłaść nacisk na rewindykację robotnicze. Na Zachodzie cieszy się obecnie popularnością teza profesora Herberta Marcuse, że wbrew przewidywaniom i twierdzeniom Marksa funkcja rewolucyjna proletariatu przemysłowego słabnie, a prawdziwy bodziec rewolucyjny rodzi się w środowiskach inteligencji i studentów. Nie jest ona być może całkowicie zawieszona w próżni w tej części świata, którą ma na oku autor *Człowieka jednowymiarowego*. Byłaby samobójstwem w Rosji i w krajach Europy wschodniej. Odizolować inteligencję i studentów od robotników znaczy w Rosji i „demokracjach ludowych” tyle, co wbić gwoździć do trumny każdego ruchu rewolucyjnego czy „półrewolucyjnego”. Na przekór aktywistom z departamentu Gniewu Ludu przy MSW, nie zaszło to jeszcze w Polsce; ale wiele trzeba wysiłków i pracy, by wróciła sytuacja z 1956 roku*.

„Dziady” i Czechosłowacja były kolejnymi katalizatorami reakcji, która się już nie „ustoi” niezależnie od tego jaki obrót przybiorą wypadki w najbliższej przyszłości. Studenci warszawscy zaczęli od protestów przeciw zakazowi dalszych przedstawień

* Pierwszą optymistyczną jaskółką jest depesza robotników wrocławskiego Pafawagu do Studentów Politechniki Warszawskiej, z wyrazami solidarności. Ostatnio do studentów przyłączyła się Nowa Huta.

„Dziadów”, by wyjść na ulice z transparentami wiwatującymi między innymi na cześć Czechosłowacji. Praga ze swoją „półrewolucją” przebudziła nagle drzemiącą polską sytuację rewolucyjną. Nie jest wykluczone że ten komentarz, czytany przez odbiorców *Kultury* w parę tygodni po jego napisaniu, nie będzie w pełni przystawał do tak zwanego „aktualnego stanu rzeczy”. Ale jego aktualność jest głębsza, jak głębsza jest aktualność tego co dzieje się dziś w kraju. „Kończy się długi sen Polski” — pisze w tytule swego artykułu włoski tygodnik lewicowy *Espresso*. „Akcja studencka daje do myślenia Warszawie” — dorzuca skromniej włoski dziennik komunistyczny *Paese Sera* w tytule swej korespondencji z Warszawy. Nawet komuniści włoscy widzą to*, czego nie chcą widzieć ich polscy towarzysze partyjni: pierwsze uderzenie długiej, „uspokojonej” po 56 roku fali w zmurzały bastion „małej stabilizacji”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

17 marca 1968

* Dopisek w korekcie. W organie włoskiej partii komunistycznej *Unità* z 18 marca br. ukazał się artykuł wstępny *Nowe pokolenie* pióra Achille Occhetto, szefa młodzieżowej organizacji partyjnej. Czytamy w nim m.in.: „Czy w Warszawie wszyscy ci (demonstrujący) studenci są naprawdę antykomunistami? Nie wierzymy w to. Przeciwnie — przyglądamy się z ufnością fermentom które ożywiają republiki ludowe, gdyż chodzi o proces odnowy który ujawnia się poprzez walkę polityczną i udział mas, i któremu dane będzie w pełni zwaloryzować potencjalne możliwości demokratyczne socjalizmu. Podobny proces w Czechosłowacji, gdzie studenci popierają partię w jej akcji odnowy, dowodzi tego w całej rozciągłości”.

Archiwum polityczne

Ewolucja czy rewolucja

Na łamach „Kultury” wysuwaliśmy wiele sprzecznych koncepcji politycznych. Lecz w perspektywie historycznej owe sprzeczności są pozorne. W okresie Powstania Warszawskiego Polacy walczyli jak lwy. W roku 1956 — w przeciwieństwie do Węgrów — wykazali zdumiewającą powściągliwość. Te postawy mogą wydawać się sprzeczne — choć druga uwarunkowana jest pierwszą. W gruncie rzeczy, w tych tak odmiennych postawach Polaków nie ma sprzeczności lecz przeciwnie, istnieje ścisły związek przyczynowy.

Niedawno jeden z publicystów emigracyjnych nazwał mnie „Studnickim à rebours”. Nie może być nic fałszywszego. Przez całe lata dążyliśmy do wyprostowania stosunków polsko-niemieckich. Wydałem książkę w języku niemieckim poświęconą wyłącznie temu celowi. Tytuł książki streszczał jej tezę: „Kehrt Deutschland in den Osten zurück?” (Czy Niemcy wrócą na Wschód?). Na owo pytanie zawarte w tytule — odpowiedziałem afirmatywnie. Niemcy mogą wrócić na Wschód, tylko że w innym charakterze.

Od samego niemal początku zdawaliśmy sobie sprawę, że Niemcy są w uprzywilejowanej sytuacji w stosunku do Europy wschodniej. Nienawidź do Niemców w Polsce była i jest nadal autentyczna — lecz dotyczy przede wszystkim hitlerowców. W okresie odwilży październikowej ukazało się w prasie krajowej wiele obiektywnych a nawet życzliwych reportaży z Niemiec zachodnich. Polacy rozróżniali zawsze pomiędzy dobrymi a złymi Niemcami. Nawet w literaturze z okresu okupacji trafiają się postacie dobrych Niemców. Natomiast byłoby czynem wielkiej odwagi we wspomnieniach z pobytu w Sowietach odmalować postać dobrego bolszewika. W Polsce przed wojną słowo „bolszewik” było przekleństwem. Bolszewik z definicji nie może być dobry. Bocheński w swojej książce pt. „Między Niemcami a Rosją” — proponował 30 lat temu współpracę z hitlerowskimi Niemcami. Autor, który przed wojną napisałby analo-

giczną książkę z tą tylko różnicą, że proponowałyby sojusz z Sowiecką Rosją zamiast z Niemcami — zostałyby... ukamienowane.

Oczywiście przesadny byłby następujący sąd: dobrzy Rosjanie trafiali się w carskiej Rosji i wraz z nią zeszli do grobu. W powyższej przesadnej opinii jest znacznie mniej przesady niż skłonni byłibyśmy przypuszczać. Po latach pracy zmierzającej do wyprostowania „kompleksu rosyjskiego” doszedłem do wniosku, że mówiąc o nienawiści Polaków do Rosjan jest niestety bardzo trudno przesadzić.

Polacy nienawidzą obu swoich sąsiadów, lecz w owych nienawiściach zachodzą wielkie różnice. W nienawiści do Niemców nie ma pogardy. Przeciwnie — Niemcy Polakom, jak wszystkim Słowianom — imponują. Niemcy reprezentują cechy, których Słowianom brak — przede wszystkim geniusz gospodarczy i organizacyjny. Natomiast Rosja z wszystkimi swoimi sputnikami i bombami atomowymi, w opinii Polaków, symbolizuje chaos i bałagan. Gdy Rosjanie wystrzelili swój pierwszy sputnik w orbitę — w jednym z polskich tygodników londyńskich wyrażono przypuszczenie, że sygnały nadawane przez statek kosmiczny są nadawane z ziemi. Polakom po prostu nie mogło pomieścić się w głowie, że ta pogardzana bolszewia — gdzie nie można okresami dostać żyłetek — mogła wyprodukować pierwszy w dziejach statek kosmiczny.

Różnice jakie zachodzą w naszych nienawiściach do Niemców i Rosjan powodują, że Polacy potencjalnie są bardziej zdolni i gotowi do wyrównania swych stosunków z Niemcami niż z Rosją. Łatwiej jest porozumieć się z wrogiem, którym się nie pogardza. Łatwiej jest porozumieć się z wrogiem, którego pewne cechy imponują i budzą szacunek.

Pamięć zbrodni niemieckich w Polsce jest żywa i jeszcze długo będzie żywa. Lecz nienawiść do Rosji w Polsce jest równie żywa i tę nienawiść Niemcy mogli politycznie zdyskontować na swoją korzyść. Gdyby rząd w Bonn bez ociągania uznał był granicę na Odrze i Nysie — gdyby gestem pojednania ufundował np. kilka nowoczesnych naukowych instytutów-laboratoriów w Polsce — gdyby w Warszawie zaoferował długoterminowe pożyczki na dobrych warunkach — gdyby zadeklarował chęć zainwestowania poważnych sum w rozwój polskiego przemysłu — gdyby był podjął politykę pojednania i przyjaźni — zdobyłby opinię społeczeństwa w Kraju w przeciągu kilku lat. Wówczas uczucia antyrosyjskie w Polsce dynamizowałyby sympatie pro-niemieckie. Wówczas Polacy łatwiej wybaczyliby Niemcom Oświęcim niż Rosjanom Katyń.

Niemcy byli jedynym państwem na kontynencie europejskim, które miało konkretne i praktyczne możliwości budowania „mostu” pomiędzy zachodnią i wschodnią Europą. Niemcy byli również jedynym państwem na kontynencie, które miało możliwości naocznego, namacalnego przekonania Polaków, że sojusz polsko-rosyjski jest dla nas nieuchronną koniecznością. W tej sprawie rząd w Bonn dopiął swego. Polacy, choć nadal są anty-sowieccy

— w większości są za sojuszem z Rosją i w większości nie ufają Niemcom. Wielka szansa powrotu na Wschód została przez Niemców zmarnowana.

Problematyce niemieckiej poświęciliśmy na łamach „Kultury” znacznie więcej miejsca niż problematyce rosyjskiej. W podejściu do zagadnień niemieckich byliśmy jak najdalej od szowinizmu i skrajności. Dzienniki Hostowca z podróży po Niemczech stanowią rzadki przykład subtelnej wnikliwości i humanizmu. Prasa niemiecka przedrukowuje pewne moje artykuły z „Kultury” — a krajowa prasa komunistyczna stale oskarża nas o zamaskowane pro-niemieckie sympatie.

Po wielu latach bezowocnych prób wypracowania choćby wizorycznej formy porozumienia polsko-niemieckiego — doszedłem do wniosku, że większe zmiany następują w Związku Sowieckim niż w Niemczech. Niemcy w stosunku do Polski nie zmieniły się na jotę. Na całym świecie nie ma jednego ugrupowania polskiego z którym Niemcy potrafiliby znaleźć wspólny język.

To wszystko zapowiadało się inaczej. Wspólny rynek, NATO, wróżyły integrację i polityczne zjednoczenie Europy. Lecz Europa zdradziła swój cel. Owym celem było zjednoczenie całej Europy a nie integracja jej zachodniej resztki. Odpisując na straty państwa wschodnioeuropejskie — zachodnia Europa siebie samą odpisała na straty. Niestety w tym stwierdzeniu nie ma uncji przesady.

Europa zachodnia jest dziś oskrzydłona przez Rosję Sowiecką i znajduje się w polu ostrzału różnorodnych sowieckich pocisków atomowych — na które nie ma strategicznej odpowiedzi.

Każda sytuacja strategiczna ma swój sens i wyraz polityczny. John J. McCloy, b. gubernator wojskowy i b. amerykański wysoki komisarz w Niemczech, ujął powyższą sytuację następująco: Sowiety dzierżą Europę jako zakładnika w stosunku do Stanów Zjednoczonych („Interplay”, luty 1968 r.).

Wydało mi się, że w tym jednym zdaniu powiedziane jest wszystko. W chwili krytycznej Rosjanie mogą zawsze zagrozić Amerykanom: „jeden pocisk na Moskwę czy Leningrad i Europę zachodnią zmiemy z powierzchni ziemi”. W rzeczywistości to nie Europa zachodnia korzysta z amerykańskiego „parasola atomowego” — tylko Rosjanie zrobili sobie z Europy „parasol” chroniący ich przed atomowymi bombami amerykańskimi. Tak wygląda naga prawda.

Na powyższym naszkicowanym tle należy rozpatrywać politykę „Kultury” w stosunku do Rosji. Ta polityka nie jest „jagiellonizmem” ani nie jest tzw. „ideą prometejską” w jej przedwojennym ujęciu. Nasz stosunek do Rosji jest podyktowany zdrowym rozsądkiem. Pewien dyplomata amerykański słusznie zauważył, że narody zdobywają się na zdrowy rozsądek tylko wówczas jeżeli nie mają innej alternatywy. Otóż Polacy nie mają alternatywy i dlatego muszą być rozsądni.

Powtarzam — rozwój wydarzeń mógł być potoczyć się inaczej. Lecz w okresie kiedy Rosjanie budowali schrony podziemne dla

swych wyrzutni pocisków atomowych — schrony, które w opinii rzeczoznawców amerykańskich mogą być rozbite wyłącznie celem uderzeniem pocisku atomowego — wówczas w Anglii i na kontynencie odbywały się tłumne demonstracje przeciwko bazom amerykańskim.

Konfrontacja sił pociąga za sobą zawsze pewne ryzyko. Europejczycy nie chcą ponosić żadnego ryzyka. Filozofia anty-bombowa sprowadza się do stwierdzenia, że małe siły prowokują, nie zapewniając równocześnie bezpieczeństwa. Koncepcja bezpieczeństwa prez. de Gaulle'a opiera się na podobnych założeniach. Obecność baz i wojsk amerykańskich w razie konfliktu może sprowokować atak sowiecki — a równocześnie obce bazy nie gwarantują bezpieczeństwa ani nie są zdolne uchronić Francji przed zniszczeniem.

Zachodni Europejczycy po dwóch wojnach światowych nie chcą by ich kontynent w razie konfliktu stał się jednym z teatrów trzeciej, atomowej, wojny światowej. Wszyscy zachodni Europejczycy w mniejszym lub większym stopniu są Gaulle'istami z Anglikami włącznie. Nikt w Europie nie chce czynnego współudziału w ewentualnym konflikcie amerykańsko-sowieckim. O tym nie mówi się publicznie, ani nie pisze. Lecz fakty wspomniane powyżej stanowią główną przyczynę uwiadu NATO i redukcji w budżetach zbrojeniowych. Europa zachodnia szuka nie konfrontacji tylko akomodacji ze Związkiem Sowieckim. Czy „zakładnik” może postępować inaczej?

Z Rosją musimy wygrać pokój, ponieważ wojny z nią nie wygramy. Wojny nie wygramy choćby z tej przyczyny, że na terenie Europy wojnę z Rosją należy uznać niemal za wyłączoną. Do wojny, jak wiadomo, trzeba dwóch. W zachodniej Europie owego „drugiego” — trudno dojrzeć.



Przeglądając roczniki „Kultury” musi się dojść do wniosku, że Październik 1956 dzieli historię naszego miesięcznika na dwa odrębne okresy. Upadek polskiego Października i rewolucji węgierskiej — zmusił nas do poddania rewizji dotychczasowych założeń naszej polityki.

W owym okresie dzięki niezmiernie licznym spotkaniom z Polakami krajowymi zdaliśmy sobie sprawę ze zmian w postawie społeczeństwa polskiego. Na długo przed Październikiem „Kultura” przeprowadziła ankietę na temat: „Które z przemian w Polsce są nieodwracalne”? Reforma rolna, szybka rozbudowa przemysłów, urbanizacja, ekonomia morską — w połączeniu z przewarstwieniem ludności — sprawiły, że tradycyjna postawa społeczeństwa polskiego w wielu aspektach uległa przemianom.

Jest oczywiste, że proces przekształcenia kraju rolniczego w kraj przemysłowo-rolniczy — niezależnie od ideologii i polityki — powodować musi różnorakie przemiany w postawach ludz-

kich. Ponieważ Polacy na emigracji nie brali udziału w tym procesie — ich postawy nie uległy zmianie. Stąd hasło obowiązujące do dziś, że „Polacy się nie zmienili”. Polacy jako naród i społeczeństwo zmienili się bardzo znacznie — w pewnych dziedzinach na lepsze, w pewnych dziedzinach na gorsze.

„Ewolucjonizm” był próbą dostosowania polityki polskiej zarówno do przemian jakie nastąpiły w Kraju jak i do przemian w sytuacji międzynarodowej.

Samotna klęska powstańców węgierskich przekonała nas, że naczelnym postulatem, tak Waszyngtonu jak i Moskwy, jest niedopuszczenie do zbrojnego konfliktu amerykańsko-sowieckiego. Jeżeli ceną za utrzymanie tak pojętego pokoju w Europie — jest zachowanie *status quo* — Amerykanie gotowi są ową cenę zapłacić. W takiej perspektywie podział Europy z powojennego, pospiesznego, stanu tymczasowego przekształcił się w filar koegzystencji uwięziony nadrzędnym celem zachowania pokoju.

Na marginesie warto odnotować, następujący szczegół. Nakładem „The Macmillan Company, New York” — ukazał się niedawno potężny tom studiów (431 stron) pt. „The Year 2000 — A Framework for speculation on the next thirty-three years”. Autorami są: Herman Kahn i Anthony J. Wiener. Autorzy korzystali z współpracy członków Hudson Institute. Całość poprzedzona jest wstępem Daniela Bella.

Cytowane powyżej opracowanie nie jest *science fiction* tylko próbą rzeczowej spekulacji na temat rozwoju w najbliższych 33 latach. Owa spekulacja oparta jest na bezstronnej, naukowej analizie sytuacji współczesnej. Autorzy w wielu wypadkach dają warianty możliwych rozwiązań, którym nadają miano „scenariuszy”.

W niniejszym artykule nie interesuje nas rok 2000, tylko rok 1968. Wydaje mi się natomiast godny podkreślenia fakt, że autorzy wymienionego opracowania Hudson Institute, doszli do tych samych wniosków w roku 1967 do których w „Kulturze” doszliśmy na wiele lat przed ukazaniem się ich książki.

W roku 1960 wydaliśmy specjalny numer rosyjski. W tym numerze po raz pierwszy użyliśmy słowa *Commonwealth* jako wzoru przyszłej przebudowy Związku Sowieckiego. W ostatnich latach, w dziesiątkach artykułów poświęconych Europie wschodniej rozważaliśmy pokojową przebudowę Związku Sowieckiego w *Commonwealth of nations*.

Autorzy cytowanego dzieła mniemają — podobnie jak „Kultura”, że Związek Sowiecki przekształci się z czasem w *Commonwealth* niezależnych państw i sądzą, podobnie jak „Kultura” — że państwa satelickie w takiej sytuacji zatrzymają dobrowolnie (z wyjątkiem Albanii) powiązania z Rosją, zwłaszcza w dziedzinie gospodarczej.

Jeżeli chodzi o przyszłość ustrojów komunistycznych w Europie wschodniej — spekulacje wymienionych autorów idą dosłownie po identycznej linii jak „Ewolucjonizm” wypracowany w „Kulturze” w latach 1962-64.

Gdy w roku 1964 i 1967 ukazały się moje książki poświęcone w znacznej mierze „ewolucjonizmowi” — konserwatywni krytycy emigracyjni uznali naszą teorię za herezję i za „księżycowy produkt” intelektualnych pięknoduchów z „Kultury”. W rzeczywistości byliśmy tylko prekursorami pewnych koncepcji i teorii — do których, niezależnie od nas, lecz w kilka lat później doszli najwybitniejsi specjaliści przedmiotu po drugiej stronie Oceanu. Herman Kahn jest dyrektorem Hudson Institute i twórcą nowej gałęzi wiedzy tzw. *strategy games*. Od dziesięciu lat wywiera wybitny wpływ na kształtowanie amerykańskiej polityki obrony, nie tylko poprzez swoje dzieła — lecz również poprzez metodologię stosowaną dziś w różnych ośrodkach jak Rand Corporation — a o której to metodologii Kahn jest współtwórcą. Anthony Wiener jest przewodniczącym rady badawczej Hudson Institute i jednym z jego założycieli. Kierował wielu projektami badawczymi i jest autorem licznych prac naukowych.

„Ewolucjonizm” jest herezją tylko w polskim Londynie lecz nie w intelektualnym świecie Zachodu.



Co to jest klęska? Klęska to jest *brak odpowiedzi*. Na terror i okupację hitlerowską — odpowiedzią była Armia Krajowa i ruch oporu. Na ucisk stalinowski i imperializm sowiecki Węgrzy odpowiedzieli powstaniem. A jaka jest nasza odpowiedź na komunizm?

„Ewolucjonizm” jest próbą pokojowej odpowiedzi. Oczywiście, odpowiedzi mogą być różne. Nigdy nie twierdziłmy, że „ewolucjonizm” jest jedyną możliwą odpowiedzią. Możliwe jest również rozwiązanie rewolucyjne, któremu warto przyjrzeć się nieco bliżej.

Każdy system można ulepszyć. Radykalnymi reformami można uzdrowić gospodarkę, można wydatnie podnieść stopę życiową, można rozbudować i usprawnić służby społeczne, można nawet — jeżeli nie zlikwidować to w znacznym stopniu umniejszyć wyzysk.

„Ewolucjonizm” jest *de facto* rewolucją na raty. Zakłada bowiem, że reformy podejmowane początkowo w imię usprawnienia systemu komunistycznego a nie jego obalenia — dokonywane są zawsze kosztem władzy centralnej. Ów proces można dołącznie zaobserwować w Jugosławii.

W Polsce z obecnego ustroju nikt nie jest zadowolony z wielkością komunistów włącznie. Komunizm przez 80 % społeczeństwa uważany jest za klęskę. Lecz owa klęska różni się od wszystkich poprzednich klęsk tym, że w Kraju nikt na nią nie ma odpowiedzi.

Rewizjoniści, nawet typu rewolucyjnego jak Kuroń i Modzelewski, nie przekroczyli Rubikonu, który oddziela komunizm od socjalizmu demokratycznego. Natomiast opozycja nie-marksistowska nie wyprodukowała w ogóle niczego. Można krytykować pro-

gram Kuronia i Modzelewskiego, lecz trzeba stwierdzić, że nie-marksieści nie zdobyli się na nic, co mogłoby być porównane z programem dwóch młodych marksistów.

Zmiany ewolucyjne, które dokonywują się pod naporem społeczeństwa — są w ostatecznej analizie ulepszeniem ustroju a nie ulepszeniem komunizmu. Istotą komunizmu jest totalna centralistyczna władza. Fakt, że dziś dzieją się rzeczy w Moskwie, które były nie do pomyślenia za czasów Stalina — dowodzi, że nikt nie dysponuje w Sowietach władzą równie totalną jak Stalin. Wszystkie ustępstwa i reformy odbywają się kosztem uszczuplenia totalistycznej władzy centralnej i na tym polega ich zasadnicza wartość.

Z sytuacji jaka zarysowuje się w europejskim bloku wschodnim należy wyciągnąć pewne wnioski.

Od rewolucji węgierskiej i polskiego Października minęło przeszło 11 lat. Nastąpiły zmiany ewolucyjne, których nie należy lekceważyć. Lecz dziś nie ulega najmniejszej wątpliwości, że przecenialiśmy polskich rewizjonistów marksistowskich.

W okresie Października pisaliśmy na tych łamach, że komunizm zreformować i zrewidować mogą tylko marksieści. Jeżeli marksieści tego nie dokonają, komunizm upadnie, ponieważ ideologie i ustroje niezdolne do rozwoju wcześniej lub później lądują na śmietniku Historii.

Niebezpieczeństwo sytuacji w Polsce polega na tym, że rośnie ferment i napór bezprogramowy. Wolność nie jest równoznaczna z wywiezieniem na taczkach kilku panów. Wolność to jest określony program. W okresie Października przez krótki okres panowała wolność. Wiem od dziennikarzy krajowych, że cenzura nie działała i każdy mógł pisać co chciał. Lecz tak rewizjoniści jak i opozycja nie-marksistowska nie mieli żadnego programu. Program miał tylko Gomułka i jego ludzie.

Ktoś powie, że najpierw trzeba obalić komunizm a następnie opracować program. To jest naiwna koncepcja, koncepcja, która nie dała i nigdy nie da żadnych rezultatów. W rzeczywistości tylko określony program mógłby zatowiszowane ogniska oporu i fermentu przekształcić w świadomy potencjał siły rewolucyjnej.

Nie jest żadnym programem pokrzykiwanie, że komunizm należy zastąpić demokracją. Gdyby Anglia — co nie daj Boże — okupowana była przez Sowiety i w Londynie rządziła Brytyjska Partia Komunistyczna — Anglicy w takiej sytuacji nie potrzebowałiby programu alternatywnego. Wystarczyłoby bowiem stwierdzenie, że należy przywrócić demokrację.

Lecz co należy przywrócić w Polsce? Ludzie, którzy pamiętają inny ustrój z doświadczenia życiowego przekroczyli 60 rok życia. Ponad 50 % ludności w ogóle nie zna innego ustroju poza komunizmem. W sensie geograficznym, gospodarczym, strukturalno-ludnościowym i ustrojowym, Polska jest dziś zupełnie innym krajem niż 30 lat temu. Polska ma 1000 lat historii lecz nie ma „wczoraj” do którego można by nawiązać.

Mimo oczywistych trudności jest rzeczą zdumiewającą, że przez ubiegłe 20 lat opozycja nie-marksistowska widząc bezradność rewizjonistów — nie zdobyła się na próbę wypracowania alternatywnego programu. Programu, który zatrzymałby to, co warto zatrzymać, a śmiało odrzucił to, co należy odrzucić. Wydał się już kilka książek napisanych w Polsce, które zawierają druzgocącą krytykę komunizmu, lecz nie stanowią odpowiedzi na komunizm. To jest literatura anty-komunistyczna lecz nie rewolucyjna.

Wiem, że wielu antykomunistów w Kraju odrzuca „ewolucjonizm” argumentując, że komunizmu nie da się naprawić. Jeżeli odrzuca się komunizm i „ewolucjonizm” — musi się sformułować, choćby w ogólnych zarysach, program nowego ustroju, który odcinając się od metody ewolucyjnej — byłby z definicji programem rewolucyjnym.

Osobiście skłaniam się do poglądu, że nie ma generalnej recepty na rozwiązanie powyższego problemu. Nie jest wyłączone, że Rosjanie i Polacy wybiorą kiedyś metodę rewolucyjną.

Wiemy, że liberalizacja w Czechosłowacji i zwycięstwo Związku Pisarzy Czechosłowackich budzą poważny niepokój w Moskwie i w Warszawie. Ruch reformy objął młodzież. „Młoda Fronta”, organ związku młodzieży komunistycznej, do niedawna najbardziej ortodoksyjne pismo w Europie wschodniej — wystąpił z tezą, że „Związek nie może automatycznie identyfikować się z polityką partii”. „Młoda Fronta” głosi, że związek młodzieży winien być niezależną i prawdziwie reprezentatywną organizacją. Równocześnie, przewodniczący Związku Pisarzy Czechosłowackich Goldstuecker przedstawił w wywiadzie telewizyjnym w Pradze otwarcie i bezkompromisowo stanowisko pisarzy czechosłowackich. Pisarzom wydalonym z partii ubiegłej jesieni, z Ludwikiem Vaculikiem na czele, przywrócono kierownicze stanowiska w wskrzeszonych „Literarni Listy”. W pierwszym numerze pisma, który ukazał się pierwszego marca br. wybitny pisarz Aleksander Kliment wypowiedział się za wolnymi wyborami, parlamentarną opozycją i uznaniem społecznej roli opinii publicznej.

Wydaje się, że Czechosłowacja ewoluuje („ewolucjonizm”!) po liniach modelu jugosłowiańskiego i nie jest wyłączone, że proces demokratyzacji będzie postępował szybciej w Pradze niż w Belgradzie. W chwili gdy piszę te słowa, nie można jeszcze wypowiedzieć ostatecznej opinii o wydarzeniach w Czechosłowacji. Można natomiast stwierdzić co następuje: 1) Zwolennicy liberalizacji, a w szczególności pisarze — *mieli określony program*. 2) Czechosłowacy korzystali z doświadczeń tak polskich jak i węgierskich. 3) Sytuacja w Rosji, w międzynarodowym ruchu komunistycznym i na arenie światowej — z punktu widzenia reformatorów jest znacznie korzystniejsza dziś, niż w roku 1956. 4) Czechosłowacy nie mają granicy na Odrze i Nysie i nie paraliżuje ich problem gwarancji, który w Polsce wyraża się zasadą „nie drażnienia Rosji”.

Czechosłowacy mają demokratyczne „wczoraj” którego nam

brak. Rumunom również brak demokratycznego „wczoraj” i bardziej im zależy na państwowej niezależności od Rosji niż na demokracji.

Polskiej rewolucji zagraża jedno śmiertelne niebezpieczeństwo, a mianowicie zwyrodnienie w narodowe powstanie antyrosyjskie. Szanse zwycięstwa miałyby tylko rewolucja polsko-rosyjska — innymi słowy, polscy rewolucjoniści musieliby działać w ścisłym sojuszu z rewolucjonistami rosyjskimi.

Szanse przewrotu w mniejszej, czysto polskiej skali — zależałyby również od postawy społeczeństwa w stosunku do Rosji i również innych sąsiadów. Jeżeli Polacy kładliby główny nacisk na demokratyzację ustroju — powstrzymując się od eskalacji celów narodowo-państwowych — Rosjanie, w obecnej sytuacji, nie zaryzykowaliby interwencji zbrojnej. Oczywiście, gdyby nowy rząd w Warszawie zadeklarował wystąpienie z Paktu Warszawskiego, ogłosił neutralność i skierował ultimatum do wojsk sowieckich stacjonujących w Polsce — sprawa przybrałaby inny obrót.

Antykomunistów w Polsce są miliony. Lecz ilu z nich przez rewolucję rozumie sojusz z rewolucjonistami rosyjskimi, a nie narodowe powstanie przeciwko Rosji? Ilu, z owych milionów polskich anty-komunistów, przez rewolucję rozumie *rewolucję* a nie kontr-rewolucję?

Apeluję do Czytelników w Kraju, aby — specjalnie w obecnej chwili — zastanowili się nad powyższym podstawowym pytaniem.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

FUNKCJA PODRÓŻY

Na telewizji brytyjskiej oglądałem fragment demonstracji studenckiej w Warszawie. Charakterystyczną była wymowa transparentu z napisem: „Niech żyje Czechosłowacja!” Czesi jako natchnienie Polaków to jest niewątpliwie zjawisko nowe i ze wszech miar dodatnie. Bardzo wiele mamy do nauczenia się od Czechosłowacji. Uderzał jednak brak transparentów, które manifestowałyby solidarność młodzieży z klasą robotniczą. Niesiono transparenty z napisem: „Niech Żyją Pisarze!”. Sojusz studentów z inteligencją twórczą jest zrozumiały, cenny lecz niewystarczający. Tylko ścisły sojusz inteligencji pracującej z robotnikami — może zapewnić zwycięstwo tak inteligentom jak i robotnikom.

Zniesienie cenzury, wolność dla nauki i jej przedstawicieli to są żądania słuszne i dynamizujące pod warunkiem, że nie są jedyne. Studenci winni

domagać się przywrócenia Rad Robotniczych i odbudowy niezależnych związków zawodowych oraz poprawy stopy życiowej. Młodzież uniwersytecka winna stanowić społecznie uświadomioną i rewolucyjną awangardę klasy robotniczej.

Jedną z przyczyn upadku polskiego „Października” był brak programu i brak więzi pomiędzy młodymi intelektualistami a robotnikami. „Po Prostu” — żywe i rewolucyjne — było inteligenckie i tylko inteligenckie. I dlatego tak łatwo uległo likwidacji.

Pisarze, inteligencja, studenci — wytwarzają drożdże postępu. *Ale co komu z samych drożdży?* Drożdże muszą być zaczynem procesu społecznego — w przeciwnym wypadku wietrzeją, nie spełniając żadnego pozytywnego zadania.

SPENGLER — MARKS — PRUSY

Młody Niemiec wychowany i wykształcony w NRD z narażeniem życia ucieka do Zachodniego Berlina i w tym punkcie rozpoczyna się dramat. Na Zachodzie razi go materializm, egoizm wyłącznie na zysk obliczonego *business'u*, obojętność w stosunku do biednych i tandetność burżuazyjnej kultury. Powyższy problem stanowi temat wielu powieści i sztuk dramatycznych oraz pole do spekulacji politycznych socjologów.

Przed kilku laty wysunąłem na tych łamach tezę, że gdy w NRD skończy się era Ulbrichta — może się okazać, że wschodni Niemcy mają więcej do powiedzenia Niemcom zachodnim niż odwrotnie.

W artykule pt. „Ewolucja czy rewolucja”, który drukujemy w bieżącym numerze „Kultury” — cytuję obszerne dzieło opracowane przez członków Hudson Institute. Rozważając przyszłość Niemiec autorzy wspomnianego dzieła nie wyłączają możliwości, że NRD osiągnie w przyszłości status „prawdziwych” Niemiec.

W Niemczech wschodnich podkreśla się ustawicznie w prasie i w książkach, że „Federalna Republika jest wprawdzie bogata lecz w znacznej mierze dzięki pomocy amerykańskiej”. Niemcom zachodnim — według tej interpretacji wszystko przyszło zbyt łatwo i w konsekwencji w Federalnej Republice obserwujemy upadek „tradycyjnych cnót niemieckich”. Natomiast w Niemczech wschodnich, które nikąd nie otrzymały żadnej pomocy — sukces gospodarczy łączy się harmonijnie ze spartańską socjalistyczną kulturą.

Sukces gospodarczy NRD jest bezspornym faktem. Niemcy wschodnie biorąc za miernik GNP w przeliczeniu (w dolarach) na głowę mieszkańca — znajdują się w czołówce najbogatszych narodów świata. Stany Zjednoczone — 1-sze miejsce, Szwecja — drugie, Kanada trzecie, Niemcy Zachodnie — czwarte, Niemcy Wschodnie — piąte.

Powyższe dane dają wiele do myślenia Polakowi. Okazuje się, że można być gospodarnym i produktywnym *nawet* w systemie komunistycznym. Wydaje mi się również, że nie ma takiego systemu ustrojowego, który Gomułę i jego ekipę przemieniłby w twórców „cudu gospodarczego”. Ci panowie byłiby partaczami w każdym ustroju.

Lecz wróćmy do Niemiec wschodnich. Co należy rozumieć przez ową „spartańską, socjalistyczną kulturę”? Oddajmy głos Spenglerowi:

„Mam na myśli pruską doktrynę Fryderyka Wilhelma I-go, doktrynę która powstała na wiele lat przed Marksem i która wydziedziczy w końcu jego teorię — doktrynę socjalizmu wewnętrznie zbliżoną do systemu antycznego Egiptu, która propaguje rozwój gospodarczy, wpaja jednostce poczucie obowiązku w stosunku do społeczeństwa i państwa i która gloryfikuje ciężką, wydajną pracę jako jedyną afirmację teraźniejszości i przyszłości”.

(Cytat wyjęty z książki Bruce Mazlish „The Riddle of History”, Harper & Row, New York).

Niezależnie od odpowiedzi na pytanie czy socjalizm pruski wydziedziczy kiedyś marksizm — przyjąć można za pewnik, że nacjonalistyczny niemiecki komunizm jest bliższy duchowi prusactwa niż zachodniemieckie *affluent society*. W przeszłości zjednoczycielem Niemiec były Prusy. Czy i w przyszłości powyższa rola przypadnie Prusom, tym razem „socjalistycznym”?

Gdy odejdzie Ulbricht — gdy reżym wschodniemiecki stanie się mniej agenturalny — wówczas może się okazać, że jeżeli przez niemiecką rozumieć tradycję pruską — nikt nie jest bardziej niemiecki niż NRD. Dla Polaków prusactwo oznacza zespół cech charakterologicznych, które z Niemców czynią złych sąsiadów. Pouczająca jest geograficzna ewolucja Prus, które rosły jak na drożdżach. Na początku było tylko elektorstwo brandenburskie. W r. 1618 król polski Zygmunt III zgodził się nierozważnie na przyłączenie do Monarchii Brandenburskiej Prus Książęcych. W roku 1701 elektor brandenburski Fryderyk Hohenzollern przybrał tytuł króla Prus rozciągając nazwę Prus na wszystkie swoje posiadłości. Tak to się zaczęło. Fryderyk II zagarnął Austrii Śląsk oraz oderwał od Polski Prusy Królewskie i okręg notecki. A później — lawina. W roku 1815 Prusy połączyły Poznańskie, w 50 lat później nastąpiło przyłączenie Hanoweru — wreszcie w roku 1871, król pruski jako Wilhelm I zostaje cesarzem Niemiec.

Tak wygląda idea pruska widziana z zewnątrz. Podbój, imperializm, ucisk i rojenia o hegemonii.

Idea pruska widziana przez Niemców jest nie tylko imperializmem lecz również symbolem tradycji i niemieckich cnót narodowych. Prusactwo reprezentuje pracowitość, czystość, obowiązkowość, dyscyplinę, a przede wszystkim podporządkowanie jednostki interesom narodu i państwa. Prusactwo w aspekcie społeczno-politycznym było zawsze ideą autorytatywną. Opierało się na elicie, której dostarczało junkierstwo pruskie.

W roku 1945 na obszarach Prus przeprowadzono reformę rolną bez odškodowania. Spod pruskiego junkierstwa, w dosłownym tego słowa znaczeniu — usunęła się ziemia. Czy można mówić o renesansie prusactwa bez Prus i bez Junkrów, którzy dostarczali kierowniczej elity wojsku i służbie cywilnej?

Junkrów nie ma, pozostała jednak pruska tradycja, która stanowi pewną określoną koncepcję niemieczyny. Z naszego, polskiego doświadczenia wiemy, że do lamusu tradycji sięga się wówczas, gdy za sobą ma się klęskę a przed sobą bezprogramową pustkę. Bez tradycji obchodzą się ci, którzy mają dynamiczną ideę — program. Wietkong nie potrzebuje tradycji.

Likwidacja Prus, wywłaszczenie Junkrów, rozwiązywanie sztabu generalnego, zmiana umundurowania i stylu armii — to wszystko nie gwarantuje wykorzenienia tradycji pruskiej. Prusactwo mógłby pogrzebać tylko pełny

sukces demokracji zachodnoniemieckiej. W ustroju demokratycznym można być patriotą lecz nie nacjonalistą. Innymi słowy demokracja w Federalnej Republice musiałaby być nie tylko zachodnia lecz i rdzennie niemiecka — tak jak demokracja w Anglii jest nie tylko zachodnia lecz i rdzennie brytyjska.

Niemcy optowali za Zachodem i za zachodnią formą ustroju. Lecz w jakiej mierze ów ustrój jest niemiecki? Czy Niemcy gotowi są zrezygnować z nacjonalizmu na rzecz demokracji? Czy potrafią być prawdziwymi Niemcami nie będąc nacjonalistami? Problem jest trudny ponieważ tradycja niemiecka w 80 % jest nacjonalistyczna i autorytatywna. Można wyrzec się Hitlera lecz jaki Niemiec wyrzuci się Bismarcka?

W niemieckiej Republice Federalnej musi się wykrystalizować nowe poczucie narodowe zgodne z wolnościowym ideałem demokracji. Od siły i autentyczności tej metamorfozy zależeć będzie wynik konfrontacji z niemiecką Republiką Demokratyczną.

Autorytatywny nacjonalizm — ku któremu ewoluuje NRD — jest daleko bliższy tradycji pruskiej niż demokracja typu zachodniego reprezentowana przez NRF. Osobiście nie wierzę w odrodzenie neo-hitlerizmu w Niemczech. Jeżeli w Niemczech miałby kiedyś odżyć nacjonalizm i idea autorytatywna — mielibyśmy, zgodnie z przepowiednią Spenglera Prusy czerwone a nie białe.

BEZPIECZEŃSTWO I ANARCHIA

Polakowi słowo „bezpieczeństwo” kojarzy się z Bezpieką. Lecz Anglosasowi termin *security* nie nasuwa orwellowskich analogii. *Security* oznacza między innymi — zabezpieczenie finansowe w postaci majątku, oszczędności, polisy asekuracyjnej — co wiąże się bezpośrednio z ideałem komfortowego życia na emeryturze. Wolny od trosk finansowych anglosaski emeryt oddaje się swoim *hobbies* — podróżuje, uprawia ogród, łowi pstrągi itp. Oczywiście nie wszyscy realizują ów ideał, choć wszyscy ku niemu dążą.

Pół wieku temu życie w uregulowanych i zabezpieczonych warunkach było wyłącznie kwestią pieniędzy. Lecz dziś sprawy układają się nieco inaczej.

Kilka tygodni temu oglądałem na telewizji film obrazujący przygotowania do obrony cywilnej w Chicago w wypadku rozruchów rasowych. Przygotowania podjęto nie tylko w „sektorze inicjatywy prywatnej” lecz również na szczeblu polityki oficjalnej. Wśród socjologów amerykańskich panuje na ogół przekonanie, że rozruchy rasowe tego lata pobiją wszystkie dotychczasowe rekordy. Rzecznik Pentagonu ujawnił, że plany obrony na lato 1968 r. — znajdują się w stadium pospiesznej realizacji. Gaz łzawiący, reflektory, specjalne samochody itp. — skupiono w sześciu nienazwanych miejscowościach. Z baz ów materiał będzie można przerzucić helikopterami do miejsc zagrożonych. Szkoli się specjalne zespoły strzelców wyborowych, których zadaniem będzie zwalczanie strzelców wyborowych strony przeciwnej. Wojskowi specjaliści od walk ulicznych szkolą setki członków Gwardii Narodowej (National Guards) w Fort Gordon w taktyce uśmierzania rozruchów. Policja przygotowuje cały arsenał nowych broni — od samochodów pancernych i nowych automatycznych karabinów zaczynając a na gazach ubezładniających i „preparatach poślizgowych” skończywszy. Chemiczne

substancje tego typu — z których jedna nosi nazwę „skórki bananowej” — przemieniają jezdnie uliczne w ślizgawkę.

Gdzie jest *security*? Można przez dziesiątki lat składać pieniądze na dom z ogródkiem i różami i któregoś upalnego dnia zakończyć życie na pobojowisku w swojej własnej dzielnicy.

Życie w wielkich miastach świata zachodniego staje się coraz mniej komfortowe i coraz mniej bezpieczne. Tam gdzie nie grożą rozruchy rasowe są inne problemy i inne niebezpieczeństwa. Pomijam transport, który pochłania tysiące ofiar ludzkich czy problem stałego zanieczyszczania powietrza, powodujący schorzenia dróg oddechowych. Jednak nie technologia nam zagraża tylko ludzie.

W czasach kiedy komfort i bezpieczeństwo można było kupić za pieniądze, kapitalizm był systemem autorytatywnym i hierarchicznym. Nikt nie poddawał w wątpliwość autorytetu monarchów, ministrów, wielkich kapitaistów, biskupów, lordów.

Obecnie przeżywamy zmierzch — żeby nie powiedzieć upadek — wszelkich autorytetów. Nie tylko dyrektorzy fabryk nie mają dawnego autorytetu w oczach robotników — lecz utracili również swój wiekami tradycji uświęcony autorytet rektorzy i senaty uczelni uniwersyteckich. Na uniwersytetach odbywają się demonstracje i strajki studentów, którzy za przykładem robotników w fabrykach domagają się udziału w zarządzie.

Co to wszystko ma wspólnego z bezpieczeństwem i komfortem w wielkich miastach? Bardzo wiele. W styczniu br. w Nowym Jorku przez 10 dni nie wywożono śmieci z powodu strajku załóg miejskich zakładów czyszczenia miasta. Nowy Jork śmierdział na dziesiątki mil, groziły epidemie i plaga szczurów. W Anglii strajk robotników w dokach spowodował straty w eksporcie idące w setki milionów funtów sterlingów a okresowe dysputy z kolejarzami i towarzyszące im strajki powodują chaos komunikacyjny i pocztowy.

Metropolie Zachodu na turyście wywierają wrażenie potęgi. W gruncie rzeczy są to najbardziej bezbronne i delikatne organizmy stworzone przez człowieka. W nowoczesnych miastach-gigantach skomplikowana współzależność tysięcy zorganizowanych zespołów ludzkich — wymaga stopnia współpracy, który nie zawsze jest osiągalny. Strajk nowojorskich sprzątaczy śmieci wykazał milionom ludzi, że zorganizowana grupa fizycznych robotników może „akcją bezpośrednią” zepchnąć drugie z kolei największe miasto świata na krawędź absurdu.

Postęp technologiczny, rozrost miast, koncentracja przemysłu, rewolucja elektroniczna — to wszystko — jeżeli wolno się tak wyrazić — zaskoczyło *establishment*. Nikt nigdy nie jest dostatecznie przygotowany ani do śmierci ani do wojny ani do rewolucji. Druga rewolucja przemysłowa wyłoniła problemy, z którymi tradycyjne partie polityczne nie zawsze mogą sobie poradzić. Ów fakt powoduje, zwłaszcza wśród młodych rozczarowanie i zniechęcenie. Równocześnie trzy warstwy społeczne, dawniej autorytatywnie kierowane a nawet uciskane, robotnicy, kobiety i młodzież — zdobyły niezależność w poprzednich epokach nieznana.

Upadek autorytetu, emancypacja, rozczarowanie partiami politycznymi — stworzyły koniunkturę dla renesansu myśli anarchistycznych. Nicolas Walter — z jego szkicu czerpię dane o brytyjskim anarchizmie — wyraża pogląd, że nigdy dotąd nie było w Anglii tylu anarchistów co obecnie.

Anarchistami są przeważnie młodzi ludzie nie zawsze świadomi faktu, że anarchizm jest jedną z najbardziej starożytnych doktryn, która przetrwała do naszych czasów. Tradycje reprezentuje „Freedom Press” — założona przez zwolenników Kropotkina, który wylądował na tych wyspach 80 lat temu. „Freedom Press” wydaje pisma „Freedom” i „Anarchy”. „Freedom” zaczęła wychodzić w roku 1886 i jest najstarszym pismem lewicowym ukazującym się w Wielkiej Brytanii. W księgarni „Freedom Press” pracuje do tej pory Lilian Wolfe — starsza pani w 92-gim roku swego burzliwego życia. Lilian Wolfe jest jedyną żyjącą anarchistką, która podpisała Międzynarodowy Manifest Anarchistyczny w roku 1916.

Anarchistów są dziesiątki odmian. Anarchiści-komuniści, anarchiści-syndykalisci, anarchiści-pacyfiści, anarchiści-indywidualiści itp. Wszyscy anarchiści bez względu na różnice doktrynalne uważają, że społeczeństwo ma pierwszeństwo przed państwem, że wolność zawsze w końcu zwycięży i że „akcja bezpośrednia” jest najbardziej celowym instrumentem postępu społecznego. Nie wszyscy anarchiści opowiadają się za przemocą i zamachami, lecz większość opowiada się za „akcją bezpośrednią” w postaci wojen wyzwoleńczych, strajków, manifestacji itp.

W dniu w którym piszę te słowa — „The Guardian” zamieścił na ostatniej stronie jednoszpaltową, petitem złożoną notatkę. Z owej notatki czytelnik dowiaduje się, o wybuchach dwóch bomb w Londynie. Pierwsza bomba wybuchła w ogrodzie ambasady hiszpańskiej — druga pod bramą amerykańskiego klubu oficerskiego. Tegoż samego popołudnia w Hadze wybuchły bomby w ambasadach: greckiej, hiszpańskiej i portugalskiej. W Turynie natomiast wybuch bomby uszkodził drzwi i ścianę w konsulacie amerykańskim.

Jednego zwyczajnego popołudnia dokonano w Europie zachodniej sześciu zamachów bombowych. Lecz dziś to nie jest *news*. Przed wojną wybuch nie sześciu lecz jednej bomby byłby czteroszpaltową sensacją na pierwszych stronach dzienników.

Co to wszystko oznacza?

Władza państwa rośnie w tym sensie, że aparat biurokratyczny interfejuje we wszystkich dziedzinach życia. W państwach zachodnich jedyna armia, która stale się powiększa — to są urzędnicy. Równocześnie postępuje emancypacja, która wyraża się nieuznawaniem autorytetu. Władza rośnie — autorytet maleje. Władza jest zagadnieniem polityczno-administracyjnym — autorytet w znacznej mierze jest zagadnieniem moralnym.

Młode pokolenie ludzi Zachodu nie wybaczę nigdy starszemu pokoleniu Hiroszimy. Słusznie zauważył Spender, że bomba atomowa przesunęła perspektywę historyczną o dziesiątki lat. Wszystko co działo się przed rokiem 1945 jest równie odległe jak średniowiecze. Przepaść pomiędzy pokoleniami i bezprzykładny upadek autorytetu starszego pokolenia tu biorą swoje źródło.

W mojej opinii młodzi ludzie mają słuszość. Problem atomowy nie może być ani rozwiązany ani zabezpieczony archaiczną maszyną traktatów i konwencji. Ilekroć racje polityczne tego wymagały — traktaty były zrywane a konwencje gwałcone. Polityka siły, którą uprawia starsze pokolenie po obu stronach barykady ideologicznej — nie ma odpowiedzi na problem atomowy. W ramach konwencyjnej polityki — a jak dotąd

innej nie mamy — bronie atomowe muszą być tak traktowane jak każde inne.

Część młodego pokolenia uprawia eskapizm, tzn. ucieczkę ze świata starszych, który wydaje im się bez sensu. Znaczny odłam młodych protestuje. Lecz ów protest — czy to będzie Wietnam, czy bomba atomowa — nie ma charakteru politycznego lecz raczej charakter moralny.

Dom z ogródkiem, uregulowane warunki egzystencji, bezpieczeństwo, ład, dobrobyt — owego ideału dobrego życia nie może zapewnić ani prezydent ani parlament ani policja. Demokracja wymaga wydajnej i zdyscyplinowanej współpracy wszystkich ze wszystkimi. Do niedawna współpracę można było zapewnić sprawiedliwym podziałem narodowego bochenka chleba. Dziś to nie wystarcza. Emancypacja wyraża się w żądaniu współudziału w kierownictwie. Robotnicy chcą współzarządzać przemysłem, studenci chcą współzarządzać uniwersytetami, kobiety domagają się kierowniczych stanowisk na równi z mężczyznami. Emancypacja rozbudziła dawne nacjonalizmy. I tak Szkoci i Walijczycy domagają się odrębnych parlamentów.

Istota zagadnienia polega na tym, że zaspokojenie postulatów emancypacyjnych wymagałoby strukturalnej przebudowy obecnego systemu demokratycznego. Owa przebudowa z całą pewnością nastąpi, lecz nie za życia starszego pokolenia. Naszemu pokoleniu wypadło żyć na styku dwóch epok — to jest najmniej bezpiecznym i komfortowym miejscem jakie można sobie wyobrazić.

SAMOBÓJSTWO MNIEJSZOŚCI

Demokracja to są rządy większości. G. Taylor wyraził niedawno pogląd — podzielany przez wielu znawców przedmiotu — że Wietkong popiera aktywnie nie więcej niż 5 % wietnamskiego społeczeństwa. Reszta — zależnie od sytuacji — popiera Wietkong lub Saigon, ulegając w pierwszym wypadku zastraszeniu, w drugim wypadku pacyfikacji. Znakomita większość Wietnamczyków pragnie bezpieczeństwa, dachu nad głową i miski ryżu.

Nie ulega jednak wątpliwości, że gdyby jutro Amerykanie, Rosjanie i Chińczycy wycofali z obu Wietnamów wojska, pomoc techniczną i agentów — Wietkong w krótkim czasie opanowałby cały Wietnam i zjednoczył kraj pod flagą komunistyczną.

Sytuacja polska stanowi odwrotność sytuacji wietnamskiej. W Polsce Rosjanie popierają rządy mniejszości — w Wietnamie Amerykanie walczą, by nie dopuścić do rządów mniejszości.

Nikt nie kwestionuje autentyczności rewolucyjnej Wietkongu. Wypada również stwierdzić, że rewolucjoniści nigdzie nie dysponują większością. W kraju w którym rewolucjoniści cieszyliby się poparciem większości społeczeństwa — rewolucja byłaby zbędna. Dzieje kolonializmu — zwłaszcza brytyjskiego — pouczają nas wymownie, że Anglicy nie kapitulowali przed „gniewem ludu” tylko przed zorganizowaną, politycznie uświadomioną elitą.

Rządy większości czyli demokracja wymagają politycznego i społecznego wyrobienia społeczeństwa danego kraju. Natomiast w kraju społecznie i gospodarczo opóźnionym — dobrze zorganizowana mniejszość ma znaczne szanse dokonania zwycięskiej rewolucji.

Łatwiej jest bronić się przed infiltracją, wywrotową propagandą, sabotażem itp. — państwu policyjnemu niż demokracji. Lecz w okresie pokoju w państwie demokratycznym trudno jest zlikwidować demokrację w imię obrony demokracji. Lepiej jest mieć sowieckiego szpiega we własnym wywiadzie, (jak to niedawno wydarzyło się w Anglii) niż służbę bezpieczeństwa przekształcić w NKWD — co byłoby nie do pogodzenia z ustrojem demokratycznym.

Od demokracji nieodłączne jest ryzyko, które maleje w proporcji do wyrobienia społeczeństwa lecz nie zanika nigdy. Wolność jest zawsze bardzo kruchym naczyniem.

W Wietnamie stan faktyczny świadczy niestety przeciwko Amerykanom. Wcześniej lub później trzeba będzie uznać Wietkong za partnera. Nie można odmawiać uznania przeciwnikowi, z którym tak długo się walczy. Nawet hitlerowskie Niemcy uznały pod koniec Powstania Warszawskiego Armię Krajową. Dalszy ciąg potoczy się według klasycznego schematu. Wietkong wejdzie w skład demokratycznego rządu zjednoczonego Wietnamu. Przewiduję, że „okres mikołajczykowski” będzie trwał dwa a może trzy lata, ponieważ Wietnam potrzebuje do odbudowy kapitałów i pomocy państw kapitalistycznych. Następnie stopniowo komuniści przejmą całą władzę, a gdy będą siedzieli mocno w siodle, przeprowadzą wybory i zmianę konstytucji.

Jaka jest alternatywa? Alternatywą jest rozwiązanie niemieckie tzn. dwa Wietnamy. W takiej sytuacji stała obecność jednostek armii amerykańskiej w południowym Wietnamie byłaby nieodzowna i nieuchronna.

Lecz w tej notatce nie interesuje nas Wietnam i jego tragiczne losy. Chciałem tylko uwypuklić fakt, że rewolucja komunistyczna jest *de facto* wymierzona przeciwko rewolucji. W kraju w którym mniejszość komunistyczna drogą rewolucji ustanowi totalną władzę — nie tylko uświadamiona mniejszość lecz nawet przekonana większość bez pomocy z zewnątrz nie ma możliwości zbudowania ustroju demokratycznego.

Swoista ironia owej sytuacji polega na tym, że postęp w każdej dziedzinie jest dziełem mniejszości. Zwycięska rewolucja komunistyczna jest ostatnim i samobójczym aktem mniejszości.

LONDYŃCZYK

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Kraj

Zebranie warszawskich literatów

Początkiem znanych zajęć w Polsce był, jak wiemy, zakaz wystawiania w Warszawie „Dziadów” w inscenizacji Dejmka.

Niepozbowiony ironii jest fakt, że Dejmek traktował swoją inscenizację „Dziadów” jako wkład teatru do obchodów z okazji pięćdziesięciolecia Rewolucji Październikowej: premiera przewidywana była początkowo na 7 listopada, przesunięto ją w ostatniej chwili. Dejmek, partyjny komunista, wychodził z założenia że władze mogą popełniać takie czy inne błędy, ale nigdy nie naruszają podstawowego aksjomatu komunistów polskich który brzmi: nie ma i nie może być ani analogii, ani tym bardziej znaku równości, między caratem a władzą radziecką. Ten znak równości postawił paradoksalnie sam rząd, interpretując w sposób jednoznaczny oklaski publiczności podczas przedstawienia.

Nie ma dowodów, że ambasada sowiecka w Warszawie wywierała jakiegokolwiek naciski zmierzające do zdjęcia „Dziadów” z afisza: władze sowieckie trzymają się rygorystycznie zasady, że nie wolno dopuścić nawet myśli o możliwości powstania w umysłach Polaków analogii między Rosją carską a ZSSR. Kiedy w kierowniczych polskich kołach rządowych i partyjnych powstało zaniepokojenie wobec reakcji publiczności na przedstawieniach, Stanisław Witold Balicki przygotował (za zgodą i z poparciem Starewicza) memorandum „uspokajające” w którym stwierdzał m.in., że „wbrew plotkom przedstawienie podobało się wielu towarzyszom radzieckim”. To memorandum, znowu paradoksalnie, skłoniło Gomułkę i Kliszkę do wydania definitywnego zakazu dalszych przedstawień (Balicki krakowskim targiem proponował tylko stopniowe „wyrzedzanie” przedstawień, aż do jednego na tydzień). Gomułka i Kliszko krzyczeli podobno po zapoznaniu się z memorandum: „Nie nas nie obchodzi taka czy inna reakcja towarzyszy radzieckich! Jesteśmy suwerennym państwem! Robimy co uważamy za właściwe w naszej sytuacji, nie pytając o zdanie towarzyszy radzieckich!” (Jak z tego widać „suwerenność” ma tu swoistą interpretację: kiedy z Rosji przychodzi coś dobrego, „jesteśmy suwerenni i nie musimy się liczyć ze zdaniem naszych towarzyszy radzieckich”; kiedy z Rosji przychodzi coś złego, „jesteśmy skrupowani i nie możemy sobie pozwolić na drażnienie naszych towarzyszy radzieckich”). Są poważne podstawy by sądzić, że po wydaniu zakazu dalszych przedstawień ambasador sowiecki w Warszawie, Aristow, nie ukrywał swego niezadowolenia, a nawet groził że zdementuje publicznie opinię głoszącą iż zakaz został wydany na jego żądanie. W każdym razie już po zdjęciu

„Dziadów” z afisza w *Izwiestiach* ukazała się pochwalna nota o przedstawieniu.

Ostatnie przedstawienie „Dziadów”, po którym nastąpiła pierwsza uliczna demonstracja studencka, odbyło się 31 stycznia. Na to przedstawienie zamówiono w ostatniej chwili dużą ilość biletów dla „słuchaczy” Wyższej Szkoły Nauk Społecznych. Podejrzewa się że chodziło o „studentów Moczara”; w każdym razie podczas demonstracji ulicznej autentyczni studenci, utworzywszy żywy mur w obliczu policji, wyczuli nagle twarde narzędzia w rękawach wielu „kolegów”. Trudno ustalić jaki charakter i cel miała ta „operacja”: przetkania szeregów studenckich „bijącymi od wewnątrz”, czy też prowokacyjnej próby wywołania krwawych starć z policją. Udało się dość szybko odizolować intruzów, co zapobiegło być może masakrze. Zatrzymano około 50 studentów, w tym syna Petrusiewicza. Zatrzymanym zadawano pytanie: „Dlaczego pan się daje wykorzystywać przez Mosków?”. Dwóch (Michnika i Szlaifera) usunięto z Uniwersytetu i postawiono w stan oskarżenia. W ich obronie wszczęta została natychmiast akcja na wyższych uczelniach i w szkołach artystycznych. Studenci wystosowali m.in. petycję do Związku Literatów Polskich, podpisaną przez 3154 osoby, wzywając pisarzy do zajęcia stanowiska.

Jednocześnie z inicjatywy szeregu członków Związku Literatów Polskich rozpoczęto zbieranie podpisów w sprawie zwołania Nadzwyczajnego Walnego Zebrania Związku.

Prezes Oddziału Warszawskiego orzekł że ilość zebranych podpisów nie tylko wystarcza, ale zobowiązuje, aby zebranie zostało zwołane (zebrano bowiem 233 podpisy na ponad 600 członków Związku). Jest to pierwszy wypadek zwołania Nadzwyczajnego Zebrania od czasu powstania Związku.

Związek Literatów Polskich
Zarząd Oddziału Warszawskiego
Warszawa, Krakowskie Przedmieście 87/89

Warszawa, dn. 21 lutego 1968 r.

K O M U N I K A T nr 15

Na wniosek Oddziału Warszawskiego Z.L.P. w liczbie przewidzianej przez statut Zarząd Oddziału Warszawskiego zwołuje Nadzwyczajne Walne Zebranie, które odbędzie się w dn. 29 lutego br. w sali ZAIKSU (Hipoteeczna 2) w pierwszym terminie o godz. 16.00, w drugim o godz. 16.30.

Wstęp za okazaniem legitymacji P.Z.L.

Wyk. Z.U.B.
Warszawa, Miodowa 3
Zam. 33 NIK
24. II. 68. Nakł. 650

Prezes
(—) WANDA ŻÓŁKIEWSKA.

Inicjatywę poparło podpisami przeszło czterdziestu literatów należących do partii (oczywiście w Warszawie zaczęto natychmiast mówić o „czterdziestu czterech”). Podpisy złożyli również literaci związani z Moczarem: członkowie redakcji *Kultury* z wyjątkiem Wilhelmi, członkowie redakcji *Współczesności* z wyjątkiem Lenarta, Anna Bukowska (żona Namiotkiewicza) z

Miesięcznika Literackiego. Z innych partyjnych sygnatariuszy wymienia się Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, Tadeusza Drewnowskiego, Jana Strzeleckiego, Jerzego Pomianowskiego, Alicję Lisiecką, Mariana Grześczaka, Romana Bratnego, Jerzego Lisowskiego.

Egzekutywa organizacji partyjnej przy ZLP obradowała w permanencji. Nie dopuściła ona do represji wobec przeszło czterdziestu sygnatariuszy partyjnych, ale na tym jej rola się skończyła. Wszystkie wywierane z góry naciski, zmierzające do zmniejszenia wymaganej statutowo liczby podpisów, okazały się daremne: nikt podpisu nie wycofał. Bezsilność partii odsoniła się w całej jaskrawości. Co więcej — wszyscy obradujący (z jednym jedynym wyjątkiem Lenarta) wypowiedzieli się przeciw zdjęciu „Dziadów” z afisza; nawet ci (jak Putrament i Bryll), którzy nie podpisali wniosku domagającego się zwołania Nadzwyczajnego Walnego Zebrania ZLP. Odbyły się z kolei dwa zebrania pełnej organizacji partyjnej przy ZLP (mowa naturalnie wciąż o oddziale warszawskim), liczącej około 120 członków. Nikt (znowu z wyjątkiem Lenarta) nie bronił na nich decyzji rządu. Drugie zebranie pełnej organizacji partyjnej przy ZLP poświęcono rozważeniu środków, które mogłyby przynajmniej zneutralizować przewidywany charakter Nadzwyczajnego Walnego Zebrania ZLP. Manewr odgórny poszedł w kierunku powierzenia Lenartowi podwójnej misji na Nadzwyczajnym Walnym Zebraniu: miałby on tam imieniem organizacji partyjnej wygłosić referat i zgłosić projekt rezolucji. Rzecz jasna chodziło, w razie udania się manewru, o związanie głosującym literatom partyjnym rąk na Nadzwyczajnym Walnym Zebraniu. Manewr został udermiony: nie uchwalono upoważnienia dla Lenarta do wygłoszenia referatu, obalono projekt rezolucji (rozumianej jako wniosek partyjny) która miała zawierać wyrazy zaniepokojenia tylko, a nie jednoznaczny protest, wobec zakazu dalszych przedstawień „Dziadów”. Stworzona *ad hoc* komisja pod przewodnictwem Dobrowolskiego stanęła na stanowisku, że rezolucja powinna zawierać niedwuznaczne potępienie zakazu. Wreszcie wysmażono kompromis, w którym potępieniu zakazu towarzyszyła dezaprobat demonstracji ulicznych. Z przebiegu obu zebrań pełnej organizacji partyjnej przy ZLP wypłynęła dla kogo należy nauka, że na Nadzwyczajnym Walnym Zebraniu ZLP lepiej jednak żądać głosowania tajnego.

Ponieważ wyłoniła się naraz propozycja powołania komisji mieszanej (tzn. złożonej z pisarzy partyjnych i bezpartyjnych) dla przygotowania tekstu wspólnej rezolucji kompromisowej na Nadzwyczajne Walne Zebranie, Kraśko zwołał „czterdziestu czterech” sygnatariuszy partyjnych w celu stordowania *in extremis* tego „groźnego” (jak się wyraził) pomysłu. Pomysł istotnie „groźny”, gdyż ze słów Kraśki (piorunującego przy okazji często i gęsto na „porządki czeskie”) okazało się, że kierownictwo partii uznałoby taką komisję mieszaną za coś w rodzaju „komitetu rewolucyjnego”, ba — niemal za surogat „gabinetu cieni” przeciwstawionego samozwańczo „prawowitej władzy ludowej”. Zmuszono więc pisarzy partyjnych do wycofania się z projektowanej komisji mieszanej, a na Nadzwyczajnym Walnym Zebraniu ZLP zgłoszone zostały zamiast jednej wspólnej dwie rezolucje: partyjna przez Dobrowolskiego, bezpartyjna przez Kijowskiego (z poprawką Jerzego Zagórskiego). Na około czterystu obecnych sto dwadzieścia głosów padło na pierwszą, dwieście czterdzieści na drugą, a około pięćdziesięciu osób oddało białe kartki. Przeszła rezolucja Kijowskiego.

Jednocześnie na pisarzy, którzy złożyli podpis w sprawie zwołania Nadzwyczajnego Zebrania Związku rozpoczęły się rozmaite presje, zmierzające do skłonienia ich do złożenia jeszcze jednego podpisu na deklaracji, że nikogo nie upoważniają do występowania w ich imieniu. Presja ta wywierana była

szczególne na członków partii oraz na ludzi uzależnionych w taki czy inny sposób od władz. Presji tej uległo zaledwie 30 osób.

W dniu Zebrania, na długi czas przed terminem wyznaczonym na otwarcie obrad, sala była pełna. Przybyło ok. 400 osób; sprawdzano karty wstępu oraz żądano podpisania listy obecności. Na salę nie wpuszczono ani dziennikarzy krajowych ani korespondentów zagranicznych. Opowiadano, że wśród obecnych na sali znajdował się jeden rosyjski pisarz*.

Na wstępie zebrania wybrano 2 asesorów drogą jawną, oraz uchwalono tajność głosowania na rezolucję. Asesorami zostali: Igor Neverly i Artur Międzyrzeczki.

Wstępne przemówienie, czyli tzw. „informację”, wygłosił Stanisław Witold Balicki z Ministerstwa Kultury, który naświetlał twórczość Mickiewicza, mówił o „Dziadach” itp. Przemówienie było złe i niezręczne, powodujące wybuchy śmiechu na sali. Główną tezę Balickiego było, że pełne przedstawienie „Dziadów” trwa 6 godzin, co powoduje konieczność robienia skrótów, co z kolei może prowadzić do tendencyjnego spreparowania tekstu. Władze powinny roztaczać „nadzór polityczny” nad „Dziadami” (część sali słowa „nadzór polityczny” zrozumiała jako „nadzór policyjny”). Następnie ob. Balicki powiedział m.in., że nawet recenzenci przed wojną, np. Antoni Słonimski, twierdzili, że „Dziady” są „bogactwem narodowym, ale dość kłopotliwym”. Balicki krytykował Dejmka, że nie stosuje „zwieżeń i klamer”, że jest to „twórca trudny i oporny”, że się podał do dymisji, która nie została przyjęta; że demonstracje i ekscesy jakie miały miejsce po ostatnim przedstawieniu „Dziadów” były demonstracją grupy ludzi i że były podsycane przez nieprzyjazne jednostki. Na zakończenie swego przemówienia Balicki wyjaśnił, że postanowiono „usunąć pretekst, aby wielkość Mickiewicza nie została uszczuplona”.

Po tym przemówieniu zabrał głos Antoni Słonimski i wyjaśnił, że istotnie napisał, że „Dziady” są bogactwem narodowym dość kłopotliwym, ale dla rządów dyktatorskich — „Oczywiście miałem na myśli sanację” — dodał. Balicki odpowiedział, że po słowie „kłopotliwym” była... kropka**.

Zgłoszono 2 projekty rezolucji: Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, w której wyrażone było zaniepokojenie decyzją zdjęcia z afisza „Dziadów”, ubolewanie, że do tego mogło dojść, przy jednoczesnym stwierdzeniu, że należy się odciąć od postaw obcych, a ograniczyć jedynie do sprawy „Dziadów”. W zakończeniu projektu rezolucji Dobrowolski wyraża nadzieję, że „Dziady” będą wznowione.

Drugi projekt rezolucji przedstawił Andrzej Kijowski. Projekt ten zawierał 5 punktów:

- 1) Stwierdzenie, że władze coraz częściej ingerują w treść dzieł i sposób ich upowszechnienia,
- 2) że system cenzury oraz kierowanie kulturą są arbitralne i niejasne i że nie określają sposobu odwoływania się od nich,
- 3) stwierdzenie, że ten stan rzeczy zagraża kulturze polskiej powodując postępujące jej wyjaławienie,
- 4) że dotychczasowe postulaty pisarzy nigdy nie były uwzględniane,
- 5) wezwanie do przywrócenia tolerancji swobód twórczych, a tym samym powrót „Dziadów” na scenę.

* Podobno Sofronow.

** W związku z epizodem Balicki-Słonimski wypada wziąć w obronę Balickiego. Kiedy po wyjaśnieniu Słonimskiego upierał się on że cytował przedwojenne zdanie Słonimskiego o „Dziadach” do kropki, miał rację. Zacytował je bowiem z powojennego, ocenzonego, wydania starych recenzji teatralnych Słonimskiego.

W rezolucji było zdanie o „aprobacie dla uzasadnionego wzburzenia mieszkańców stolicy”. Menevel zgłosił poprawkę „mieszkańców stolicy i studentów”, ale ze względów technicznych nie można jej już było włączyć do tekstu.

Wśród zebranych powstała zasadnicza linia podziału: *linia partyjna*, stwierdzająca, że sprawa „Dziadów” była błędem ze strony nieodpowiedzialnych czynników; *linia niepartyjna* — że sprawa zdjęcia „Dziadów” nie jest sprawą błahą, nie jest tylko błędem, ale jest w ogóle sprawą zagrożenia kultury polskiej i dzwonkiem alarmowym.

Licznymi mowcy nie trzymali się ściśle tematu „Dziadów” lecz poruszali różne bardzo zasadnicze sprawy.

Przemawiali m.in. Antoni Słonimski, Paweł Jasienica, Mieczysław Jastrun, Stefan Kisielewski, Jerzy Andrzejewski, Artur Międzyrzeczki, Leszek Kołakowski, Jacek Bocheński, oraz młodzi: Burek, Menevel, Tchórzewski, Grzeszczak.

Antoni Słonimski był w swoim przemówieniu bardzo odważny i bezkompromisowy. Powiedział m.in., że o ile przed wojną szermowano argumentem żydo-komuny, to obecnie używany jest slogan żydo-antykomuna; że kierownictwo partyjne zniósłoby wprawdzie stalinizm, ale ze zdobyczy „Października” niewiele zostało. Słonimski atakował cenzurę, nie Urząd Cenzury, ale obyczaj cenzury; podkreślał niemożność umieszczania sprostowań w prasie. Na zakończenie mówił o radosnych wieściach jakie dochodzą z Czechosłowacji. Powiedział, że ma nadzieję, że wydarzenia czeskie nie zdegenerują się z czasem analogicznie do tego, co stało się z „Październikiem” w Polsce.

Po Słonimskim zabrał głos Paweł Jasienica, który skonstatował, że fatalnym błędem było zdjęcie „Dziadów”, gdyż oklaski na sali teatralnej w Warszawie nadały światowy rozgłos tej niezmiernie przykrej sprawie, będącej rezultatem rządzenia bez żadnej kontroli społecznej. Atakował prasę o brak poczucia tego co ludzi istotnie obchodzi. Mówił o studentach, że panuje wśród nich ferment, będący dowodem że są przeciwni nowemu mieszczańskiemu karierowiczostwu. Następnie odczytał wierszowaną ulotkę antysemitką, rozdawaną na Uniwersytecie (było w niej m.in. urzędowe już widać słowo „Moški”), krzyknął: „Hańba!” Sala odrzekła chóralnie: „Hańba!”. W tym miejscu Putrament krzyknął: „To prowokacja!”, na co Jasienica odpowiedział: „Tak, prowokacja, ale czyja?”. Na co znowu Putrament: „Mnóstwo brudnych rąk!”.

Następnie Jasienica powiedział: „Uskarżają się u nas słusznie na propagandę, przerzucając odpowiedzialność za ludobójstwo z Niemców na Polaków. Taki wierszyk pomaga naszym oszczercom, napisali go ci co narzekają na tego rodzaju propagandę”. Putrament: „Partia walczy z antysemityzmem!”. Jasienica: „Dajcie dowody”. Putrament: „Dochodzenia w sprawie ulotki są w toku, powtarzam jeszcze raz że partia walczy z antysemityzmem”. Głos z sali: „Walczy i przegrywa walkowerem”.

Mieczysław Jastrun przeprowadził analizę „Dziadów” i ostatniego przedstawienia, stwierdzając, że Dejmek zbliżył się do centralnego problemu sztuki, pokazując dramat tyranii i miłości. Powiedział, że kto chce przycesać Księdza Piotra, nie rozumie sensu „Dziadów”; że dzieł tak wielkich nie można dostosowywać do aktualnej polityki i że wszelkie wtrącanie się do wizji reżysera jest zupełnym absurdem.

Wspaniałe przemówienie wygłosił Leszek Kołakowski, w którym stwierdził, że uchwalenie rezolucji projektu Dobrowolskiego, za parę dni byłoby komentowane w „Życiu Warszawy”, że pisarze są przeciwko inscenizacji Dejmka. Uważa, że jest to próba powrotu w Polsce do żdanowszczyzny, że

kultura polska karłowacieje, że władze zadają ciosy w popłochu, administrowanie kulturą weszło w spiralny ruch zstępujący, że obserwujemy sprzężenie zwrotne (wzrastający opór). Powiedział także, że cała dramaturgia światowa, poczynając od Ajschylosa, to jeden wielki zbiór aluzji do Polski Ludowej, gdyż cała sztuka światowa zajmuje się elementarnymi wartościami ludzkimi.

Jerzy Andrzejewski powiedział: Jestem w życiu publicznym za spokojem i rozważą, niestety sytuacja w Polsce w roku 1968 tak się układa, iż właśnie spokój i rozważa każą mówić o sprawach szczególnie drastycznych i bolesnych. W moim odczuciu i rozumieniu, a jestem pewien, że nie tylko w moim, już nie istnieją słowa dość umiarkowane i przyciszone, aby wyrazić cały ogrom sprzeciwu, jaki ogarnia i dręczy w obliczu postępującego z roku na rok procesu wyjąłowania i niszczenia polskiej myśli i polskiej kultury. Optymistyczne frazesy, jakich było tak wiele przed rokiem na Kongresie Kultury, nie przysłaniają i przysłonić nie mogą smutnej rzeczywistości. Co myśli i mówi naród — znajduje się w niedosłyszaniu i w lekceważącej pogardzie, każda śmielsza inicjatywa zmierzająca do sondowania naszego życia współczesnego — utracana, każde dzieło twórcze śmiało dotykające ran i schorzeń — zakazywane, lub poddawane niszczycielskim zabiegom, współczesność jest zakłamaną, historia — fałszowana. Znajdujemy się w sytuacji, w której my, polscy pisarze, z całą na jaką tylko nas stać siłą i stanowczością powinniśmy uderzać na alarm, ponieważ sam byt polskiej kultury i polskiej twórczości jest zagrożony. Dokąd idziemy?

Nie wypowiadam tych gorzkich słów aby jątrzyć, lub wedle popularnego powiedzenia: wbić nóż w plecy. Najwyższy czas, aby ludzie Polską rządzący zrozumieli, że głosy krytyki nawet najostrzejszej, protesty i demonstracje, szczególnie demonstracje młodzieży, nie są podyktowane wrogością, ich jedyną racją jest rzetelna troska obywatelska o los tego kraju i los ludzi, którzy na tej ziemi żyją, pracują i tworzą.

Od wielu lat nie zabierałem głosu publicznie, lecz dzisiaj z całą odpowiedzialnością na jaką mnie stać muszę powiedzieć, że wbrew oficjalnym raportom i sprawozdaniom mnożą się w Polsce sprawy, przeciwne podstawowym prawom egzystencji politycznej, społecznej i moralnej. Wcale mi nie lekko to powiedzieć, tak ciężkie oskarżenie podnieść, uważam jednak, że uczynić to jest moim obowiązkiem TU i TERAZ, ponieważ innej możliwości przemówienia publicznego nie posiadam.

Stefan Kisielewski rozpoczął swe przemówienie od stwierdzenia, że byłoby niezmiernie śmiesznie, gdybyśmy się mieli obrazić z powodu „Dziadów”. To tak jakby człowiek, który od 23 lat dostaje po głbie nagle się właśnie o to obrazić. Następnie mówił o historii i literaturze polskiej, w której pewni ludzie nie istnieją, jak np. Adolf Nowaczyński, podobnie jak nie istnieją niektórzy ludzie obecni na sali. Co się stało z naszymi historykami jak Kukiel, Pobóg-Malinowski, uczonymi takimi jak Kot czy Lednicki i wielu, wielu innych. Ci ludzie nie istnieją, albo przebywali zagranicą. Znikli gdzieś emigracyjni pisarze, jak np. największy poeta polski Czesław Miłosz. Co się stało ze znanym na całym świecie a nieznanym w Polsce Witoldem Gombrowiczem? Historia w Polsce korygowana jest wstecz na zasadzie interesu politycznego jakiejś partii. Cóż za bzdury znaleźć można w podręcznikach historii! A co gorsza, bzdury te ciągle się zmieniają. Zarządzanie cenzurą zależy od jakiegoś ciemniaka, który np. zabrania pisać o stuleciu urodzin Józefa Piłsudskiego. Ciemniacy w Polsce uzbrojeni są w monopol władzy. Corocznie obchodzi się dzień 22 lipca, natomiast

*Manifest Lipcowy** jest drukiem zakazanym. Panuje dyktatura ciemniaków. Cenzura stanowi państwo w państwie i jest instytucją tajną i nielegalną. Jeżeli scenzurowany tekst posiada białe plamy, wiadomo że autor chciał powiedzieć coś, co cenzura mu skreśliła. Dzisiaj teksty są tak preparowane, że autor jest bezsilny: wykreśla się najważniejsze ustępy i jakoś całosć sztukuje. Dyrygowanie kulturą jest aktem wandalizmu. W czasie ostatniego procesu Szpotańskiego — mówił Kisielewski — był on mężem zaufania oskarżonego, obecnym na sali sądowej, i wskutek tego obowiązuje go tajemnica. Był to pierwszy proces o mówienie. „Nie muszę kolegom przypominać, że oskarżony dostał 3 lata. My zebrani tutaj, na tej sali, mamy przed sobą 1 200 więzienia, bo Polacy lubią opowiadać dowcipy”.

Nie warto podawać treści przemówień *Nawrockiej*, które było kompromitującym bełkotem, *Gaworskiego*, *Kossaka* czy *Szmaglewskiego*.

St. R. Dobrowolski, przyzwyczajony do teatralnych wystąpień, jak np. na pogrzebie Stawara, zachował się i tutaj podobnie.

Roman Bratny wygłosił zakłamanie i obłudne przemówienie, w którym gorliwie podkreślał swoją przynależność do AK, robiąc przy tym aluzje do „listu 34-ch”.

Zygmunt Lichniak określił Mały Kodeks Karny jako żałosny. Poza tym przemówienie jego pełne było sprzeczności i wątpliwych sformułowań.

Jacek Bocheński stwierdził, że ani jeden głos nie zgodził się ze zdjęciem „Dziadów” ze sceny, z wyjątkiem głosu obywatela Balickiego, lecz niektórzy pisarze nie zgadzając się ze zdjęciem czy zakazem wystawiania tej sztuki, solidaryzują się jednocześnie z uzasadnieniem zdjęcia.

M. A. Wasilewski zgłosił wniosek o wysłanie depechy do Związku Literatów Czeskich.

Jeden z młodych pisarzy w swym przemówieniu zapytał, czemu przy zdjęciu „Dziadów” z afisza nie użyto słowa „prowokacja antyradziecka”?

Andrzej Miłosz powiedział, że chciałby polemizować z Balickim, a miało być z jego twierdzeniem, że demonstracje przed teatrem były antyradzieckie. Kto tak sądzi — identyfikuje władze radzieckie z rządami carskimi. Tak samo demonstranci nie byli grupą chuliganów. Ale gdyby to była grupa chuliganów i gdyby demonstrowali przed Pałacem Kultury, to czy wtedy należałoby zburzyć Pałac Kultury? Miłosz zaproponował rozesłanie rezolucji do prasy i zwrócił się do kolegów z warszawskiej „Kultury” aby

rezolucję tę wydrukowali w swoim piśmie.

January Grzędziński ostro wystąpił przeciwko Ministrowi Kultury. Balicki usiłował odpiąć zarzuty.

Na zebraniu odczytano poniższy list Zygmunta Mycielskiego:

Do Prezydium Zebrania Koła Warszawskiego ZLP

Proszę uprzejmie o odczytanie na zebraniu poniższego listu: Zamiast zdawkowej formy „pomyślnych obrad” przesyłam Wam Koledzy, życzenia, by Wasze dzisiejsze zebranie stało się wyrazem takiego stanowiska Związku Literatów Polskich, które wykaże, że zakazy i zezwolenia w stosunku do naj-

* Tekst Manifestu Lipcowego drukujemy na str. 114.

większych dzieł literatury światowej i polskiej nie mogą być rezultatem obaw i małostkowego tropienia aluzyjności.

Literatura antyczna od czasów Demostenesa, nowożytna z Szekspirem, polska z Kochanowskim, pisarzami politycznymi, klasykami, romantykami i pisarzami żyjącymi teraz, jest nieustającą aluzją, dyskusją, przestrogą i nauką. Wasze dzisiejsze obrady przyjmą — mam nadzieję — takie nie ulegające wątpliwości założenia i staną się wyrazem jasnego i jednomyślnego stanowiska pisarzy polskich.

Życzenia moje wyrażają z pewnością myśli i intencje wielu muzyków i kompozytorów polskich, do których Związku należą.

Zygmunt Mycielski*

Warszawa 29. 2. 1968.

Wybitnie „pro-rządowo” występowali *Artur Sandauer* i *Leon Pasternak*. M.in. pierwszy z nich, w czasie przemówienia *Artura Międzyrzeckiego*, w którym Międzyrzecki powiedział, że kultura jest niepodzielna, nie pozwalał mu mówić ciągłym zapytywaniem: „A co to znaczy niepodzielna?”. Przewodniczący zebrania interweniował, aby uspokoić Sandauera.

Leon Pasternak chciał przerwać przemówienie *Mariana Grześczaka* i na tym tle doszło do incydentu z *Woroszylskim*, który popierał Grześczaka.

Mencwel, który brał udział w demonstracjach studenckich po przedstawieniu „*Dziadów*” i został aresztowany, protestuje przeciwko tezie, że demonstracje miały charakter antyradziecki i stwierdza, że miały one na celu jedynie sprawę wznowienia „*Dziadów*”. Co prawda do grupy studentów dołączył się prowokator, który namawiał do bicia szyb itp. ekscesów, ale szybko został rozpoznany i wyeliminowany. W czasie trzygodzinnego pobytu w komisariacie zatrzymani śpiewali piosenki radzieckie — szczerze, a nie szyderczo.

Tomasz Burek oświadczył że twierdzenie iż były to chuligańskie wybryki stawia pod znakiem zapytania 24-letnie metody wychowawcze Polski Ludowej.

Około północy, pod koniec zebrania, przemawiał *Jerzy Putrament*, który zapytał czy zebrani chcą naprawiać fakty, czy też zaostrzać sytuację. Stwierdził, że nigdzie nie ma demokracji idealnej, na co usłyszał okrzyk z sali: „Mówić jak Cześć!”. Następnie Putrament powiedział, że Wolna Europa czeka na wynik tego zebrania i że studenci często służą jako narzędzie w złych rękach. W końcu stwierdził, że Gomułka jest człowiekiem pozbawionym poczucia humoru i że ma uraz na punkcie literatów. Zapytał zebranych kogo proponują na miejsce Gomułki... (Jak mówią — Putrament dążył do kompromisu tj. do uchwalenia jednej, wspólnej rezolucji. Pytał członków Związku: „Czy chcą wojny?”, ostrzegając, że to może zaprowadzić sprawę zbyt daleko. M.in. mówił: „To mnie będą bili za to zebranie!”).

W czasie zebrania, przed gmachem ZAIKS-u pojawiały się „delegacje robotnicze” i usiłowały wtargnąć na salę. Drzwi były zamknięte i nie zostały wpuszczone. Dla nikogo nie było zaskoczeniem, że delegacje wyrażające

* Tekst tego listu był odczytany na początku Zebrania i uczestnicy początkowo myśleli, że jest to list Prezesa Związku *Jarosława Iwaszkiewicza*, który w tym gorącym okresie pozostał zagranicą — we Francji skąd pojechał do Rzymu — zaproszony na imieniny kolegi — *Włocha*.

„gniew ludu” wciąż się zmieniały, ale — o dziwo — nie zmieniły się twarze „delegatów”. Tego rodzaju bojówki „demonstrowały” już w wielu wypadkach. Obawiano się kontr-demonstracji studenckiej i bójki. Na szczęście studenci nie zebrali się przed ZAIKS-em.

W rok później

1.

W rok później sytuacja przedstawia się następująco:
to znaczy:

zaczęło się rok temu, w marcowym numerze *Kultury*, zaś po roku jest mniej więcej tak:

(tu muszę wyjaśnić o co mi na początku chodziło: chodziło mi o to aby pisać; napisać wszystko czego nie mogłem pisać tam; właściwie po to przyjechałem (wyjechałem, uciekłem, wybrałem wolność, etc.); uważałem, że *trzeba* napisać; coś jakby racja istnienia, jak powiedzieliby strukturaliści, tylko tacy mniej modni; jeden z mych starych, ukochanych przyjaciół zawsze powtarzał, że brak mi talentu politycznego, zarzucał mi anty-talent w tej dziedzinie; oskarżał mnie o umysłowy ekshibicjonizm, o nałogową hipertrofię obnażania racji, moralnych, ideowych, rozmaitych; twierdził, szerzej, że ludzie działający w sprawach publicznych dzielą się na tych, co chcą coś osiągnąć i tych co chcą coś powiedzieć; ja, jasne, byłem dla niego z tych drugich; chyba miał słusność; ciągle jeszcze wierzę, mimo, iż dostrzegam jak żrą ją nadprodukcja, inflacja i indeterminizm, w moc słowa, zwłaszcza drukowanego; oczywiście, myśląc o pisaniu, chodziło mi o Kraj; tam koncentrowały się soki mych obsesji i dociekań; lecz nie mam przesadnych pretensji, zależy mi na tym o co mi chodzi, co wypełniało goryczą i zmaganiem zajadłe rozmowy z samym sobą, lub z tymi, którzy byli w stanie mnie zrozumieć; zresztą tylko dla nich warto, tylko z nimi coś wspólnie wiem i znacę; no i ta rozkosz podskórnych porozumień, w lot łapanych skojarzeń, kiwnięć głową, zmrużeń oczu, grymasu ust, bezradnego, lecz wszechwiedzącego gestu dłoni i ramienia; ja wiem, że nawet głęboko przekonani anty-komuniści, tam, także moi przyjaciele, uważają mnie trochę za zdrajcę; fakt, że swobodnie głoszę mój (a także ich) antykomunizm, i może mikroskopijnie przyczyniam się do unicestwienia komunizmu, jest dla nich mniej istotny niż to, że nie dzielę z nimi wspólnej doli; albowiem wspólne do-

świadczenie, w ramach którego porozumiewamy się jak brzuchomówcy, a także bez słów, czy skrótami pojęć i odruchów, jest najważniejsze w otaczającym świecie: to ono wykopuje przepaść pomiędzy nami a tymi wszystkimi, którzy nami nie są; to ono sprawia, że komunista z Polski jest mi jakoś bliższy od antykomunisty z Zachodu; to ono obraca, w oczach głupszej części Emigracji, ludzi nieskazitelnych w agentów komunistów, zaś łajdakom ułatwia zdobywanie faworów w tych samych oczach; to ono czyni, że Wolna Europa nie może nawiązać naprawdę intymnego kontaktu z informowanymi przez siebie masami, wzbudza tylko wzruszenie ramion: tego prawa do „rozumienia” i „wiedzy” żaden Polak nie przyzna komuś kto *tam* nie żył; takt (o ile komuś na takcie zależy) Wolnej Europy winien polegać na analizowaniu i ocenie bez pretensji do tego, aby excathedralnie *wiedzieć*; około 1956 roku, kiedy zaczęto nas, tzn. różnych i rozmaitych, a nie tylko zatwierdzonych i zaparafowanych, wypuszczać, uchodziliśmy na Zachodzie wszyscy za komunistów — biskupi, architekci i pisarze; operowaliśmy bowiem wtedy wspólnym hasłem: „To nie takie proste...” — i właśnie ten nadłamany wytrych poznawczy uniemożliwiał porozumienia; dla Emigracji wszystko było wtedy jeszcze przeraźliwie proste: bolszewizm, z drugiej strony depozyt świetlanej i niepodważalnej słuszności, a między jednym a drugim — ukrzyżowany i napuchły od nienawiści do ciemieńców naród; tymczasem to nie tylko nie było proste, lecz wręcz parszywie zagmatwane; zresztą, już wkrótce cezura pomiędzy tym co proste a zawiłe zaczęła się zacierać: Emigracja będąca tak strasznie przeciw, przestała być tak strasznie przeciw, zaś pewna jej część popadła w drugi ekstrem i uznała złożoność spraw za patent do rozgrzeszeń, za urok i chwałę i blask trudnego istnienia, kwalifikując niemal wszystko co z Kraju do psychosomatycznych zachwyków i dumy z nieoczekiwanych uniwersalizmów; gdzieś zagubiła się kierunkowa racja, niezlomny artysta Rubinstein trzymał się odtąd za szyję z giętym jak smutna trzcina artystą Iwaszkiewiczem, młodzi poeci drugiego, emigracyjnego rzutu jeździli namiętnie do Warszawy i budowali mosty, niektórzy nawet stali się ulubieńcami WOP-u jako laureaci niekończących się *aller-retour*ów, zaś różni odpowiedzialni za tzw. pion polityczno-moralno-kulturowy uwierzyli w wywrotowy walor pustych dywagacji, niczym w życiu nie popartych prócz donośności krzyku; i tu ja się, może niezbyt fortunnie, włączyłem).

Zrazu powiedziałem co miałem na początku do powiedzenia, zaś fachowcy w wolnym świecie, pokiwali głowami, że może tak, a może i nie, i przestali się interesować. Wydawało mi się, że znajdę przeciwników i zwolenników. Znalazłem tylko

kilku pierwszych. Drudzy w ogóle się nie ujawnili. Natomiast ja odniosłem wrażenie, że tego co piszę nie lubi się na Emigracji. Nie, żeby mieli coś przeciwnego, zarzucali, krytykowali, oburzali się, a w ogóle rozumieli i za dobrze wiedzieli w czym się rzecz ma poprzez tzw. wniknięcie, roztrząsanie, czyli zastanowienie się głębsze i skuteczniejsze. Nie. Po prostu nie lubią. Nieustająco, na wizytach i przyjęciach, ktoś mi mówi: — Czytałem, czytałem, bardzo mi się podobało... — ale wystarczy na takiego spojrzeć, by zauważyć, że wcale mu się nie podobało, nie podoba i nigdy podobać nie będzie. To nie jest ich, o nich, ani w ich stylu. I mają rację, bo to nie dla nich, a dla Kraju. W Kraju, wiem o tym, jedni na mnie straszliwie jadą i bluzgają, a drudzy mówią, że tak właśnie, tak trzeba, że to ich. Bo taka jest natura tej rzeczy. Emigracja ma i chce mieć o Polsce wiedzę sumaryczną i syntetyczną, jak cały Zachód o komunizmie; nie lubi jak coś się w rachunku nie zgadza. A życie to nie matematyka, lecz czarny dół bez dna, jak mawiają pokrzyści. Zresztą trudno ten cały Zachód winić, że ma powyżej uszu nieprzenikalności komunizmu i ucieka od relatywizmów. Zaś tam u nas, życie roi się od takich, którzy pracują na numer mało widoczny z zewnątrz, dotkliwy dla najbliższych wokoło, i to już Emigracji ani Zachodu nie obchodzi. To obchodzi nas, tam.

Tak więc raczej krzywią się tutaj na to co piszę i winszują tak więcej octowo, z przyganą pod bukietem gratulacji. Coś im burzę, wycieram, lub tylko drę i dziurawię. Mianowicie — post-Październikowy układ i system, pięknie skonstruowany, zaregowany i odkurzony. Że niby teraz to już wiadomo jak inteligencja polska cierpiała starając się przenieść walor główny przez czas morowy. Otóż — moim zdaniem i co właśnie piszę — nie cała cierpiała i nie jednakowo, jedni mniej, drudzy więcej, a byli i tacy co w ogóle nie i stąd taka w nich dziś siła do lirycznych wzdychów i rozdzierających przemówień o tym jak cierpieli. Prasa emigracyjna, tak zawsze ochocza do polemik, jakoś nie kwapi się do tego co jej podsuwam. Emigracyjne *communication media* dzielą się, na moje rozeznanie, na dwa segmenty: wytwornie-obyczajowy i zoilowy (czysto politycznego segmentu nie liczę, mało mnie on obchodzi), oba zaś przestrzegają skrupulatnie pewnej etykiety. Skrzyp starych biedermaierów i poetyka Eliota to owszem, Norwid i Heine, śluby wśród arystokracji i technika zrzutów A.K. proszę bardzo, lwowskie wspominki i Oświęcim dłaczego nie, skarby narodowy, sukces polskiego sopranu w Winipeg, głębie egzystencjalizmu i kto z Polaków jadł śniadanie w prywatnej rezydencji p. Bliss-Lane oczywiście, kampania wrześniowa i Kafka jak najbardziej, omszały PPS i funkcja słodczy

w systemach parlamentarnych z przyjemnością, Ale żeby tak po-
grzebać w psycho-moralnych kieszeniach, przewietrzyć co za pa-
zuchą i za stanikiem, to fe. Tymczasem z Polski przyjeżdżają
różni ludzie, a między nimi także intelektualne kanale. Im kana-
lia doskonalej skonstruowana, tym bardziej sentymentalna, skłon-
niejsza do zadum, nostalgii i nocnych rodaków rozmów, a także
gładsza, zgodliwsza i dostępna do porozumień, w ramach których
człowiek człowieka zawsze pojmie, uzali się nad nim, rozgrzeszy.
Przyjemnie ich gościć i gaworzyć z nimi o Nowym Świecie i Wie-
niawie (o ile kanalia w latach), o Szyfmanie i Tuwimie, o prze-
łomach, meandrach, zdradzieckich poroach różnych rzeczywisto-
ści i, oczywiście, o Ketmanie. O, to oni potrafią jak nikt na
świecie...

Jestem przeciwko nim nie dla fantazji, z przekory, aby się
droczyć, nie dla zysków, prestiżu, ani małoszkownych uraz. W naj-
głębszym przekonaniu uważam problem byłych stalinowców i
tych co współdziałali z najokrutniejszym czasokresem komunizmu
w ramach wszelkich motywacji — od cynicznej pobłażliwości,
przez hipokryzję po wiarę — za kluczowe dla uczuć i postaw
moralnych całych pokoleń, także tych przed nami. Fakt, że w
Polsce, w środowiskach intelektualnych, ludzie na nie potrafili
się jakoś odcisnąć w ogólnej panoramie owego okresu, uważam
za kapitalny dla rozwoju historycznego owej części Europy. Także
uważam, że stalinowiec stalinowcowi nierówny. Na tym prostac-
kim na pozór spostrzeżeniu rozciąga się *tam* siatka międzyludzkich
współzależności ujawniająca bystre i doświadczonemu oku
moralną infrastrukturę niezbadanych zakamarkach, o znaczeniu
decydującym dla rozwoju stosunków społecznych w Trzecim
Komunizmie.

2.

Poznałem moją prawdę o komunizmie w sowieckim więzie-
niu w Wilnie, i odtąd nie było już we mnie miejsca na nic
innego prócz tej prawdy. Toteż, kiedy mowa o szacunku, to ja
szanuję tych, którzy mieli się tej prawdzie przeciwstawić w do-
bie jej najokrutniejszego triumfu. Tych zaś wszystkich w moim
pokoleniu i pokoleniach z nim sąsiadujących, którzy swe życie
protestacyjne rozpoczęli po śmierci Stalina, bez względu na do-
nośność ich protestów, uważam — przepraszam bardzo — za ro-
bactwo. Mówiąc bez nienawiści: za cuchnących tchórzów.

Naród mógł sobie zresztą pozwolić na konformizmy i przys-
tosowywanie, zadaniem narodu było przeżyć nie wierząc, skleić
jakieś formy istnienia, zrobić coś do zjedzenia, do mieszkania,
do ubrania. Ta bezczelna, tępa, posłuszna, a także wypinająca się

na nich bierność i adaptacja narodu, doprowadzała komunistów
do furii. Ortodoksi w marksizmie ciągle jeszcze deklamują o tym
jak masy robią historię, praktycy uważają masy za mierzwę.
A właściwie jest inaczej i zupełnie paradoksalnie. Masy nie robią
żadnej historii w demokracjach gdzie zajęte są telewizją i troską
o week-end'y; w demokracjach historię robią żarci ambicją poli-
tycy i intelektualiści, rozwichrzeni militanci i aktywiści, niedo-
mocy fanatycy niedowarzonych idei, którym nikt nie przeszkadza,
względnie oględni specjaliści z solidnym wykształceniem — z ta-
siemcowych wypracowań w druku jednych i drugich żyją całe
przemysły. W komunizmie oszalałe od nadmiaru władzy jednostki
ustanawiają prawa niehumanitarnych porządków, ale właśnie masy —
zbita, bezkształtna, bezkierunkowa na pozór pulpa, sterroryzo-
wana i jakby bezwolna, określa historię ciężarem swej bierności.
W komunizmie masy nienawidzą komunizmu, a chociażby i tylko
były mu niechętne, to ciężar jednostkowej niechęci pomnożony
przez setki milionów żywotów ludzkich sprawia, że, mimo naj-
doskonalszego systemu terroru w dziejach, wszystko się rozply-
wa, rozmazuje i obraca w gówno karykaturalnie zaprzepaszczo-
nych planów gospodarczych i społecznych. Zachód i Emigracja
dostrzegają Poznań, Budapeszt i procesy krnąbrnych literatów,
ale nie umieją rozeznaczyć owej formy nie-przyjęcia komunizmu, owe-
go braku zatwierdzenia przez masy, rodzącego opór mas. Istnieje
wiele wyjaśnień tego stanu rzeczy, aczkolwiek żadne z nich
w pełni nie zadawała i sprawa nadal pozostaje nieco ciemna.
Odraza do doktryny i do metod, słabo zdefiniowane, lecz realnie
istniejące poczucie wyższości i tego, że wie się lepiej jak właściwie
powinno być, wyczuwalne jest u każdego Polaka, Czecha i Węgra,
rodząc w krajach tych jakby nową formę oporu pośredniego,
dezorganizującego, alienacyjnego. W Rosji, Rumunii, czy Bułga-
rii masy pozbawione są tego poczucia wyższości wobec swych
komunistycznych rządów, stąd w społeczeństwach tamtych nie-
chęć przybiera formę westernizacji, lecz nie stanowi elementu
w procesie liberalizacyjnym. Polski, czy czeski bikiniarz, *Mods*,
czy beatnik szuka *bell-bottom trousers*, czy psychodelicznej koszu-
li na ciuchach i poszukiwania takie wiążą mu się z nienawiścią
i pogardą do komunizmu i jego zasranych porządków; rosyjski
stiliaga nienawidzi tylko milicjanta, który go ściga za krój spodni,
ale co do komunizmu to nie ma własnego zdania. Obecna apatia
polska wywodzi się z dziwną ambiwalencją z celów częściowo
zrealizowanych w Październiku, oraz ze sfrustrowania nieproduk-
tywnym wysiłkiem, ażeby coś lepiej urządzić: wygląda to na
sprzeczność, ale nią nie jest — jest tylko właściwością owych
nowych form oporu poprzez nieprzyjęcie *creda*. Łatwiej jest
wysłać rakietę na księżyc, niż zorganizować służbę zdrowia zasp-

kajającą choć 2 % potrzeb w społeczeństwie, w którym każdy ma wszystko gdzieś: kilka gramów dopizmu i palącej urazy przemnożone przez 30 milionów ludzi to już jest *coś*. W ten sposób rodzą się utrapienia sprowadzające pianę na wargi Gomułki i Nowotnego, a także niewygodne kręcenie się na krzesle inteligentniejszych, zwane wytwornie przez życzliwych badaczy rewizjonizmem, lub niepokojem partyjnych intelektualistów.

3.

Ostatnim facetem, który zginął w Polsce za wolność sumienia był — jak się wydaje — biskup krakowski Stanisław, rozpruty przez Bolesława Śmiałego. Było to bardzo dawno temu i odtąd wszyscy ginęli już tylko za Polskę. Za patriotyzm. Za niepodległość. Za chrześcijańskie, ale i polskie, przedmurze. Za polską rację stanu, polski honor, polską wolność, polskie znaki i polskie barwy. Ale nie za myśl. Za myśl samiutką, nieujarzmioną, nie dającą się przygnieść do ziemi i włożyć w kabłąk obowiązujących zasad. Tym mniej przyszłoby komu do głowy ginąć za kryteria moralno-universalne. Przez ponad 800 lat nikt chyba nie powiedział: — W nosie mam Polskę i Polaków, ale nie będę świnią! Nic mnie nie obchodzi co z tego ma Polska, bo mnie chodzi o słusność, przyzwoitość, prawdę... — A jeśli już sobie tak i pomyślał, to ginąc krzychał: — Nie będę świnią dla Polski, Polaków, bo jestem Polakiem... — i tak dalej. Zważywszy, że przez te same 800 lat niesłychana ilość ludzi zginęła za to tylko co sobie myśleli, nie przywiązując żadnej wagi do swojej angielskości, francuskości, czy włoskości, rzecz trzeba otwarcie, że Polacy nieco pokpili sprawę w większym wymiarze, i narzekania, że nie ma ich na ogół na półkach wielkiego dorobku duchowego ludzkości powinny być kierowane głównie pod własnym adresem.

Polacy, nawet najinteligentniejsi, ułożeni są w pewne formy moralnego, duchowego, bądź życiowego fasonu, w sztywne konwencje, które tylko im wydają się wartościowe, które niosą jak garb wszędzie ze sobą gdziekolwiek się udają, które nie podlegają żadnym racjonalnym rewizjom. Stanowią one wielkie nieszczęście Polaków, najbardziej anty-dialektycznego narodu pod słońcem. Alkohol jest na całym świecie źródłem drobnych smutków i niewielkich radości, odczynnikiem szpetoty, upośledzenia i banalnych satysfakcji. Wystarczy jednak wejść do pierwszego lepszego baru w sobotę w Warszawie, by stwierdzić, że stanowi on tam kanon ideowy i miarę bohaterstwa w czasie pokoju. Sztywność konwencji i fasonu nie jest wcale równoznaczna z jego klarownością, przeciwnie, stanowi źródło niekończących się zamęt-

nień i zacierania się konturów prawd, reguł, prawidłowości. Stąd najistotniejszą dźwignią etyczną życia w Polsce jest poczucie tego co nie wypada i czego się nie robi; już Platon nie potrafił nikomu wytłumaczyć na czym to w zasadzie polega, ale dla komunizmu zespół tak ściśle *nie* wykrystalizowanych przykazań okazał zabójczy.

Tak więc, od roku, pisuję na tych łamach i wprowadzam ton osobisty (... tak się nie robi, to nie wypada...), za który najczęściej mnie się łąje i wytyka palcem. *Kultura* dociera w Polsce do tych kręgów, w których używane przez mnie egzemplifikacje i nazwiska najlepiej są znane i najwięcej znaczą, czyli, w jakiś sposób, cel swój osiągam. Tenże ton wyeliminowany został przez komunistów z ich kodeksu publicznych wystąpień, nie ma go w ich żargonie słownym, ani pojęciowym. Nawet najodważniejsi publicyści i felietoniści w Polsce, o zagwarantowanej marzy śmiałości i non-konformizmu, nie mogą sobie nań pozwolić; stąd dużo niezrozumienia i oburzenia na mnie nawet wśród tych, którzy się ze mną zgadzają, ale wyjąłowieni zostali przez swoisty pawłowizm ostatnich 20-tu lat. „To słuszne”, myślą sobie o moim pisaniu, „ale tak nie wolno...”. Tymczasem nie tylko wolno, ale nawet trzeba i konieczne. Spośród masy krajowych mierzot i eunuchów, nudziarzy i niby-zdolnych pacanów wyłowić ostatecznie można kilka świetnych piór: dwóch, czy trzech takich czytuję po dziś dzień z pasją i wyobrażam sobie jacy byliby klawi, gdyby im jeszcze wolno było to, co mnie jest wolno, na co ja mogę sobie pozwolić. Nie należy jednak przesadzać i zadawałać się głupim przypuszczeniem, że pisanie *ad personam* jest moim celem. Ja chcę rewizji moralnych, a nie działania politycznego, zaś w ramach tego co chcę można tylko po imieniu i nazwisku, uogólnienia i formułki zawodzić. Wierzę głęboko, że tylko ci, którzy przeciwstawiają się totalizmowi z pozycji moralnych, mogą liczyć na ostateczne zwycięstwo. Zaś sprawy moralne to sprawy środka, to coś od wewnątrz. Moralność z zewnątrz to chała. Ulepszanie to chała. Interes narodu, klasy, czy cywilizacji też chała. Trzeba skrócić dystans, poprawić ostrość, zmniejszyć diafragmę i przypatrzeć się z bardzo bliska. Wtedy można trafić do ludzi i ewentualnie powiedzieć co i jak *powinno* być.

Ale to jest już całkiem inna historia, jak mawiał Kipling. I chyba przyjdzie mi się tym zająć następnym razem.

Leopold TYRMAND

Najnowsza historia Polski

Jest faktem bez precedensu, by akt państwowy, leżący u podstaw założenia państwa i którego data została ogłoszona świętem narodowym — był jednocześnie drukiem zakazany, konfiskowanym przez cenzurę.

Jak wiemy, po latach słowa i fakty nabierają innego znaczenia. Stalin był zmuszony do wielokrotnego przerabiania i wydawania na nowo „Krótkiej historii WKP(b)”. Jest to procedura trudna i kosztowna, nawet w fantazji Orwella — prościej jest utrzymać nazwę konfiskując treść. Tak się stało z Manifestem Lipcowym z 22. VII. 1944.

Sądźmy, że jest celowe przypomnienie tego tekstu społeczeństwu. Tak samo uważamy za potrzebne przypomnienie szeregu wypowiedzi Władysława Gomułki z lat 1956/1957. Nabierają one specjalnego znaczenia na tle ostatnich wypadków w Polsce. (Redakcja).

Manifest Lipcowy

POLACY W KRAJU I NA EMIGRACJI!
POLACY W NIEWOLI NIEMIECKIEJ!

RODACY! Wybiła godzina Wyzwolenia. Armia Polska obok Armii Czerwonej przekroczyła Bug. Żołnierz polski bije się na ziemi ojczystej. Nad umęczoną Polską powiały znów białe-czerwone sztandary. Naród Polski wita żołnierzy Armii Ludowej, zjednoczonych z żołnierzami Armii Polskiej w ZSRR. Wspólny jest wróg, wspólna walka, wspólne sztandary. Zjednoczeni ku chwale Ojczyzny w jednym Wojsku Polskim, pod wspólnym dowództwem, wszyscy żołnierze polscy pójdą do walki o Wyzwolenie Kraju. Pójdą poprzez Polskę całą, pójdą dalej na zachód, aż na ulicach Berlina powiewać będą polskie sztandary.

TYMCZASOWY PARLAMENT NARODU POLSKIEGO

RODACY! Naród walczący z okupacją niemiecką za Wolność i Niepodległość, stworzył swą reprezentację, Krajową Radę Narodową. Weszli do KRN przedstawiciele stronnictw demokratycznych: ludowcy, demokraci, socjaliści, Polska Partia Robotnicza i inne organizacje. Podporządkowane są KRN organizacje Polonii zagranicznej, a w pierwszym rządzie Związek Patriotów Polskich w ZSRR i stworzona przezeń Armia Polska.

KRN, powołana przez walczący Naród, jest jedynym legalnym źródłem władzy w Polsce. Emigracyjny rząd londyński i jego delegatura w Kraju

jest władzą samowładną, nielegalną, opierającą się na bezprawnej faszystowskiej konstytucji 1935-go roku. Rząd ten hamował walkę z okupantem hitlerowskim, swą awanturniczą polityką pchał Polskę ku nowej katastrofie.

Dziś, w chwili wyzwolenia Polski, w chwili, gdy sojusznicza Armia Czerwona, a wraz z nią Wojsko Polskie, pędzi okupanta z Kraju, musi powstać legalny ośrodek władzy, który poprowadzi walkę aż do zwycięstwa.

TYMCZASOWA WŁADZA WYKONAWCZA

Dlatego KRN, Tymczasowy Parlament Narodu Polskiego, powołał POLSKI KOMITET WYZWOLENIA NARODOWEGO jako legalną Tymczasową Władzę Wykonawczą dla kierowania walką wyzwoleniczą Narodu, dla zdobycia niepodległości i dla odbudowy państwowości polskiej.

Krajowa Rada Narodowa i Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego działają na podstawie konstytucji z 17 marca 1921 roku, jedynie obowiązującej konstytucji legalnej, obowiązującej prawnie.

Podstawowe założenia konstytucji z 17 marca 1921 roku obowiązywać będą aż do zwołania nowego, wybranego przez głosowanie powszechne, bezpośrednie, tajne, równe i stosunkowe Sejmu Ustawodawczego, który, jako wyraziciel Narodu, uchwali nową Konstytucję.

RODACY! PKWN za naczelne swe zadanie uważa wzmoczenie udziału Narodu Polskiego w walce o zmiążdżenie Niemiec hitlerowskich. Wybiła godzina decydującego odwetu na Niemczech za mękę i cierpienia, za spalone wsie, za zburzone miasta, zniszczone kościoły i szkoły, za obławy i rozstrzelania, za Oświęcim, Treblinkę, Majdanek, za wymordowanie Getta.

SOJUSZNICZA ARMIA CZERWONA
ARMIA WYZWOLENICZA

RODACY! Sojusznicza Armia Czerwona swą bohaterską ofiarnością zadała miazdzące ciosy Niemcom hitlerowskim. Armia Czerwona, jako armia wyzwolenicza, wkroczyła do Polski.

PKWN wzywa ludność i wszystkie podległe mu władze do jak najszybszego współdziałania i współpracy z Czerwoną Armią i do niesienia jej pomocy. Jak najliczniejszy udział Polaków w wojnie zmniejszy cierpienia narodu i przyspieszy koniec wojny.

Chwytajcie za broń, bijcie Niemców wszędzie, gdzie ich spotkacie, atakujcie transport, pomagajcie żołnierzom polskim i sowieckim!

O NOWY GRUNWALD

Na terenach wyzwolonych wypełniajcie karnie rozkazy mobilizacyjne i spieszcie do szeregów Wojska Polskiego, które pomości klęskę wrześniową i wraz z sojuszniczą armią zgotuje Niemcom nowy Grunwald.

Stawajcie o wolność Polski, o powrót do Matki-Ojczyzny starego polskiego Pomorza i Śląska, polskich Prus Wschodnich, o szeroki dostęp do morza, o polskie słupy graniczne nad Odrą.

Stawajcie do walki o Polskę, której nigdy już nie zagrozi nawała ger-

mańska, o Polskę, której zapewniony będzie trwały pokój, możność twórczej pracy i rozkwit Kraju.

POLITYKA ZAGRANICZNA ODRODZONEJ POLSKI

Historia i doświadczenie obecnej wojny dowiodły, że przed naporem germańskiego imperializmu oprzeć się może jedynie zbudowanie wielkiej słowiańskiej tamy, której podstawą będzie porozumienie polsko-sowiecko-czechosłowackie.

Przez 400 lat między Polakami i Ukraińcami, Polakami i Białorusinami i Polakami a Rosjanami trwał okres nieustających konfliktów, ze szkodą dla obu stron. Teraz nastąpi historyczny zwrot. Konflikt ustępuje przyjaźni i bojowej współpracy. Przez współdziałanie Wojska Polskiego z Armią Czerwoną, coraz bardziej zacieśniają się więzy przyjaźni. Przyjaźń i braterstwo broni z Armią Czerwoną winny przekształcić się po wojnie w trwały sojusz i współpracę.

KRN i PKWN uznają, że uregulowanie granicy powinno być rozwiązane w duchu wzajemnego porozumienia. Granica wschodnia powinna być linią przyjaznego sąsiedztwa, a nie przegrodą między nami a naszymi sąsiadami i powinna być ustalona zgodnie z zasadą: ziemie polskie — Polsce, ukraińskie — Sowieckiej Ukrainie, białoruskie — Sowieckiej Białorusi, litewskie — Sowieckiej Litwie.

Trwały sojusz z naszymi bezpośrednimi sąsiadami, ze Związkiem Radzieckim i Czechosłowacją, będzie podstawową zasadą polskiej polityki zagranicznej, realizowanej przez PKWN. Braterstwo broni, uświęcone wspólnie przelaną krwią w walce z niemiecką agresją, jeszcze bardziej pogłębi przyjaźń i utrwali sojusz z Wielką Brytanią i ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej.

Polska dążyć będzie do zachowania tradycyjnej przyjaźni i sojuszu z odrodzoną Francją, jak również do współpracy ze wszystkimi demokratycznymi krajami świata. Polska polityka zagraniczna będzie polityką demokratyczną, opartą na zasadzie zbiorowego bezpieczeństwa.

PKWN będzie ustalać systematycznie straty, zadane narodowi przez Niemców i poczyni kroki, aby zapewnić Polsce należne odszkodowanie.

ORGANIZACJA DEMOKRATYCZNEJ ADMINISTRACJI

RODACY! W imieniu KRN, PKWN obejmuje władzę. Na terenach wyzwolonych Polski, uwolnionych od najazdu niemieckiego, ani przez chwilę nie może działać inna administracja prócz polskiej.

PKWN sprawuje władzę poprzez komitety wojewódzkie, powiatowe, miejskie i gminne Rady Narodowe, oraz przez upoważnionych przedstawicieli. Tam, gdzie Rady Narodowe nie istnieją, demokratyczne organizacje obowiązane są natychmiast powołać je do życia, włączając w ich skład Polaków-patriotów, cieszących się zaufaniem ludności, niezależnie od ich poglądów politycznych.

PKWN nakazuje natychmiastowe rozwiązanie organów administracji okupantów. PKWN nakazuje natychmiastowe rozwiązanie i rozbrojenie tzw. granatowej policji.

Rady Narodowe tworzą niezwłocznie podległą im Milicję Obywatelską, której zadaniem będzie utrzymywanie porządku i bezpieczeństwa.

Zadaniem niezawisłych sądów polskich będzie zapewnienie szybkiego wymiaru sprawiedliwości. Żaden niemiecki zbrodniarz wojenny, żaden zdrajca narodu nie może ująć karze.

PRZYWRÓCENIE SWOBÓD DEMOKRATYCZNYCH I ODBUDOWA KRAJU

RODACY! PKWN przystępuje do odbudowy państwowości polskiej i deklaruje uroczyste przywrócenie wszystkich swobód demokratycznych, równości wszystkich obywateli, bez różnicy rasy, wyznania, narodowości, wolności organizacji politycznych i zawodowych, prasy i sumienia. Demokratyczne swobody nie mogą jednak służyć wrogowi demokracji. Organizacje faszystowskie, jako anty-narodowe, tępiące będą z całą surowością prawa.

RODACY! Kraj, wyniszczony i wygłodniały, czeka na wielki wysiłek twórczy całego Narodu. Krzywdy, zadane przez okupanta, winny być jak najprędzej naprawione. Własności, zrabowane przez Niemców poszczególnym obywatelom, chłopom, drobnym rzemieślnikom, kupcom, przemysłowcom, instytucjom i Kościołowi, będą zwrócone prawowitym właścicielom.

Majątki niemieckie zostaną skonfiskowane.

Żydom, po bestialsku tępiącym przez okupanta, zapewniona zostanie odbudowa ich egzystencji oraz prawne i faktyczne równouprawnienie.

Majątek narodowy, skoncentrowany w rękach państwa niemieckiego i poszczególnych niemieckich kapitalistów, a więc: przemysłowy, bankowy, handlowy oraz lasy, przejdą pod tymczasowy zarząd państwowy i w miarę uregulowania stosunków gospodarczych, nastąpi przywrócenie właścicielom.

ZIEMIA DLA CHŁOPÓW

RODACY! Aby przyspieszyć odbudowę Kraju i zaspokoić odwieczny pęd do ziemi chłopu polskiego, PKWN przystąpi do natychmiastowego przeprowadzenia na terenach wyzwolonych szerokiej reformy rolnej.

W tym celu utworzony zostanie Fundusz Ziemi, podległy resortowi Rolnictwa i Reform Rolnych.

W skład tego funduszu wejdą ziemie niemieckie, ziemie zdrajców narodu oraz ziemie gospodarstw obszarowych ponad 50 ha, a na terenach przyłączonych do Rzeszy, w zasadzie o powierzchni ponad 100 ha.

Ziemie niemieckie i ziemie zdrajców narodu zostaną skonfiskowane. Ziemie gospodarstw obszarowych, przejęte zostaną przez Fundusz Ziemi bez odszkodowania, ale byli właściciele otrzymają wyższe zaopatrzenie.

Ziemie zebrane, skupione przez Fundusz Ziemi, rozdzielone zostaną między chłopów małorolnych, robotników rolnych i chłopów, obarczonych liczną rodziną.

Ziemie, rozdzielone przez Fundusz Ziemi za minimalną opłatą, jak i dawne ziemie, stanowiąc będą indywidualną własność.

Fundusz Ziemi tworzyć będzie nowe gospodarstwa, względnie zapełniać gospodarstwa małe, biorąc za podstawę gospodarstwo średnie o powierzchni 5 ha.

POPRAWA BYTU SZEROKICH MAS

RODACY! PKWN stawia sobie jako bezpośrednie zadanie natychmiastową poprawę bytu szerokich rzesz narodu.

Kontyngenty zaborców będą natychmiast zniesione. Zaopatrywanie dla

potrzeb armii i aprowizacji miast będą przeprowadzone na podstawie polskiej ustawy o świadczeniach wojny.

Świadczenia w naturze będą wydatnie zmniejszone w stosunku do kontyngentów niemieckich.

Płace klasy robotniczej i pracowniczej, utrzymywane przez Niemców na poziomie przedwojennym, zostaną podniesione do norm, zapewniających minimum egzystencji.

Natychmiast rozpocznie się odbudowa i rozbudowa instytucji Ubezpieczeń Społecznych na wypadek choroby, inwalidztwa i bezrobocia oraz ubezpieczenia na starość.

Instytucje Ubezpieczeń Społecznych oparte będą na zasadach demokratycznego samorządu.

Wprowadzone zostanie nowoczesne prawodawstwo w dziedzinie ochrony pracy i zlikwidowania nędzy mieszkaniowej.

Zniesione zostanie prawo niemieckie krępujące działalność gospodarczą, obrót handlowy między wsią i miastem. Państwo popierać będzie inicjatywę prywatną, wzmagając tętno życia gospodarczego — będzie również popierać rozwój spółdzielczości.

RODACY! Jednym z najpilniejszych zadań PKWN będzie na terenach oswojonych, odbudowa szkolnictwa i zapewnienie bezpłatnego nauczania na wszystkich szczeblach. Przymus powszechnego nauczania będzie ściśle przestrzegany.

Polska inteligencja, tępiona przez najeźdźcę, a zwłaszcza ludzie nauki i sztuki, będą otoczeni specjalną opieką.

JEDNOŚĆ NARODU

RODACY! PKWN dążyć będzie do najszybszego powrotu emigracji do Kraju i podejmie kroki celem zorganizowania tego powrotu.

Jedynie dla agentów hitlerowskich i dla tych, co zdradzili Polskę we wrześniu 1939 roku granice Rzeczypospolitej będą zamknięte.

RODACY! Stoją przed nami gigantyczne zadania. Będziemy je realizowali nieugięcie i zdecydowanie, wbrew warchołom i agentom reakcji, którzy przez prowokowanie walk bratobójczych idą na rękę hitleryzmowi.

Odbudowa państwa, doprowadzenie wojny do zwycięskiego końca i uzyskanie dla Polski godnego miejsca w świecie rozpoczęcie odbudowy zrujnowanego Kraju — oto nasze naczelne zadania.

Nie można tych zadań urzeczywistnić bez jedności narodowej. Wykuwaliśmy tę jedność w ciężkiej walce z najeźdźcą. Powstanie PKWN jest dalszym krokiem na tej drodze.

RODACY! PKWN wzywa was do najprędszego wyzwolenia Kraju i rozbicia Niemców! Polacy, do walki! Do broni!

Niech żyje sprzymierzona Armia Czerwona, niosąca Wolność Polsce!

Niech żyją nasi wielcy sojusznicy, Związek Radziecki, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej!

Niech żyje Jedność Narodowa! Niech żyje Polski KWN, reprezentacja walczącego Narodu! Niech żyje Polska Wolna, Silna, Niepodległa, Suwerenna i Demokratyczna!

CHEŁM, 22 lipca 1944 roku.

POLSKI KOMITET WYZWOLENIA NARODOWEGO

Gomułka 1956-1957

VIII PLENUM KC PZPR 20. X. 1956 R.

Daleki jestem od pomniejszania jakiegokolwiek osiągnięcia naszego kraju. Nas wszystkich, podobnie jak cały naród, cieszy zwiększenie i pomnażanie produkcji naszego przemysłu. Nie mam podstaw do kwestionowania podanych wskaźników wzrostu produkcji przemysłowej. Przyjmuję je za odpowiadające rzeczywistości. Są jednak pewne „ale”, które zmuszają do rewizji oceny naszych osiągnięć gospodarczych w minionej sześciolatce...

Ogólnie oceniając, po ukończeniu planu sześcioletniego, który według założen miał podnieść wysoko poziom życiowy klasy robotniczej i całego narodu, znaleźliśmy się dzisiaj, w pierwszym roku nowego planu pięcioletniego, w obliczu olbrzymich trudności gospodarczych, które z dnia na dzień ciągle narastają...

Znane jest nam niebezpieczeństwo braku pokrycia towarowego na rynku wewnętrznym w stosunku do ilości środków pieniężnych.

Czy o tym wszystkim mówią uchwały VII Plenum? Nie mówią. Na pewno nie to jest najważniejsze, iż uchwały łagodzą ocenę przeszłości. Istotne jest to, że dokładna analiza gospodarcza jest niezbędna do prawidłowego opracowania planów na przyszłość. Takich faktów, jak podane uprzednio, w żaden sposób nie da się przemilczeć. Trzeba bowiem jasno powiedzieć sobie, że za złą politykę gospodarczą musi płacić cały naród, a w pierwszym rzędzie musi zapłacić klasa robotnicza.

A Komitet Centralny partii nie zdobył się na to, aby przynajmniej wyciągnąć konsekwencje partyjne w stosunku do ludzi, którzy ponoszą odpowiedzialność za ten stan rzeczy...

Robotnicy Poznania nie protestowali przeciwko Polsce Ludowej, przeciwko socjalizmowi, kiedy wyszli na ulice miasta. Protestowali oni przeciwko złu, jakie szeroko rozkrzewiło się w naszym ustroju społecznym i które ich również boleśnie dotknęło, przeciwko wypaczeniom podstawowych zasad socjalizmu, który jest ich ideą...

Klasa robotnicza to nasza klasa, nasza niezłomna siła. Klasa robotnicza — to my. Bez niej, to znaczy bez zaufania klasy robotniczej, każdy z nas nie mógłby faktycznie niczego więcej reprezentować poza własną osobą.

Wielką naiwnością polityczną była nieudolna próba przedstawienia bolesnej tragedii poznańskiej jako dzieła agentów imperialistycznych i prowokatorów.

Agenci i prowokatorzy zawsze i wszędzie mogą być i działać. Ale nigdy i nigdzie nie mogą decydować o postawie klasy robotniczej. Gdyby agenci i prowokatorzy mogli natchnąć klasę robotniczą do działania, to wrogowie Polski Ludowej, wrogowie socjalizmu mieliby bardzo ułatwione zadania, mogliby łatwo osiągnąć swe cele. Rzecz w tym, że tak nie jest...

Przyczyny tragedii poznańskiej i głębokiego niezadowolenia całej klasy robotniczej tkwią u nas w kierownictwie partii, w rządzie. Materiał palny zbierał się całe lata. Sześcioletni plan gospodarczy, reklamowany w przeszłości z wielkim rozmachem jako nowy etap wysokiego wzrostu stopy życiowej, zawiódł nadzieje szerokich mas pracujących. Żonglerka cyframi, która wykazała 27-procentowąwyżkę płac realnych w sześciolatce, nie udała się. Rozdrażniła tylko bardziej ludzi. Trzeba było wycofać się z pozycji zajętej przez kiepskich statystyków...

Rządzenie krajem wymaga, aby klasa robotnicza i masy pracujące darzyły kredytem zaufania swych przedstawicieli dzierżących ster władzy państwowej. Jest to moralna podstawa sprawowania władzy w imieniu mas pracujących. Kredyt zaufania może być bez przerwy przedłużany jedynie pod warunkiem wywiązywania się ze zobowiązań zaciągniętych wobec kredytodawców. Utrata kredytu zaufania klasy robotniczej oznacza utratę moralnej podstawy sprawowania władzy.

Rządzić krajem można nawet w takich warunkach. Tylko rządy będą wówczas złe. Muszą się bowiem opierać na biurokracji, na łamaniu praworządności, na przemocy. Istota dyktatury proletariatu jako najszerszej demokracji dla klasy robotniczej i mas pracujących zostaje w takich warunkach pozbawiona swej treści.

Klasa robotnicza mogła określonym ludziom cofnąć swój kredyt zaufania. To jest normalne. Normalne też jest, gdy ludzie tacy schodzą ze swych stanowisk. Aby zmienić wszystkie złe cechy naszego życia, aby wyprowadzić naszą gospodarkę ze stanu, w jakim się znalazła, nie wystarczy tylko zmienić tych czy innych ludzi. To jest nawet łatwe. Aby usunąć z naszego życia politycznego i gospodarczego wszystkie hamujące jego rozwój nawarstwienia narosłe przez lata, trzeba wiele zmienić w naszym systemie władzy ludowej, w systemie organizacyjnym naszego przemysłu, w metodach pracy aparatu państwowego i partyjnego. Trzeba, krótko mówiąc, wymienić wszystkie złe części z naszego modelu socjalizmu, zastąpić je lepszymi, udoskonalić ten model najlepszymi gotowymi wzorami i wnieść do niego własne doskonałe konstrukcje. A to jest o wiele trudniejsze...

Mówiąc krótko — istniejący dotychczas system cen w gospodarce państwowej należy zmienić i przystosować ceny do wartości. Zmiana ta usunie wiele anomalii w naszym życiu gospodarczym. Co jednak jest najważniejsze — to pozwoli ona każdemu zakładowi pracy ustalać rzeczywiste koszty swojej produkcji.

W naszym socjalistycznym systemie gospodarczym każdy zakład produkcyjny powinien być oparty na faktycznym, a nie, jak dotychczas, w dużej mierze na fikcyjnym rozrachunku gospodarczym. Nasza uspołeczniona gospodarka przy zachowaniu potrzeb centralnego planowania winna uwzględnić potrzebę samodzielności przedsiębiorstw socjalistycznych. Nie może być tak, żeby wszystkie zakłady produkcyjne stanowiły niejako jedno przedsiębiorstwo w kraju, na czele którego stoi państwo i w dowolny sposób nim zarządza...

Występujący w ostrej formie niedostatek materiałów budowlanych może być częściowo rozwiązany na drodze produkcji prywatnej — bądź zespołowej w formie zrzeszeń chłopskich, bądź indywidualnej. Główną trudnością rozwinięcia inicjatywy prywatnej w dziedzinie produkcji materiałów budowlanych jest dostawa węgla, a również cementu. Ale nie jest to jedyna trudność. Wiemy, że istnieją również trudności natury administracyjnej. Usunięcie tych ostatnich, stworzenie najbardziej sprzyjających warunków dla każdego, kto chce i może rozwijać produkcję materiałów budowlanych, takich przede wszystkim, jak cegła, dachówka i wapno, winno znaleźć wyraz w polityce partii i rządu.

Wytknięta przez VII Plenum linia rozwoju rzemiosła znaleźć musi pokrycie w praktyce. I tutaj najtrudniejszą dla państwa kwestią jest zaopatrzenie materiałowe. Są jednak i inne przyczyny hamujące rozwój rzemiosła. Do nich należy w pierwszym rzędzie polityka podatkowa, czyli tzw. domiary. Uważam, że przy utrzymywaniu systemu domiarów nigdy nie stworzymy warunków dla rozwoju rzemiosła. Domiarem zawsze można zrujnować każdy warsztat pracy. Należy ustalić rozsądny sposób opodatkowania, który pozwałaby rzemieślnikom pracować bez obawy, to znaczy należy zlikwidować system domiarów, jako szkodliwy...

To, co w socjalizmie jest niezmiennie, sprowadza się do zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka. Drogi do osiągnięcia tego celu mogą być i są różne. Warunkują je różnorodne okoliczności czasu i miejsca. Różny też może być model socjalizmu. Może być taki, jaki został stworzony w Związku Radzieckim, można go kształtować tak, jak to widzimy w Jugosławii, a może też być jeszcze inny.

Tylko na drodze doświadczeń i osiągnięć różnych krajów budujących socjalizm może powstać najlepszy w danych warunkach model socjalizmu...

Kultu jednostki nie można sprowadzać tylko do osoby Stalina. Kult jednostki to pewien system, który panował w Związku Radzieckim i który przeszczepiony został do wszystkich bodaj partii komunistycznych, jak też do szeregu krajów obozu socjalizmu, w ich liczbie i do Polski...

Nosiciel kultu jednostki na wszystkim się znał, wszystko umiał, wszystko rozstrzygał, wszystkim kierował i o wszystkim decydował na obszarze swego działania. Był on najmądrzejszym człowiekiem, niezależnie od tego, jaką wiedzę, jakie zdolności i jakie zalety osobiste posiadał.

Pół biedy, jeśli w szaty kultu ubrano człowieka rozsądnego, skromnego. Taki człowiek zwykle czuł się źle w tym garniturze. Można powiedzieć, że się go wstydził i nie chciał go nosić, chociaż nie mógł go całkowicie zdjąć z siebie.

Nie mógł bowiem normalnie pracować żaden kierownik partyjnej organizacji, nawet wówczas, gdy pracował kolektywnie z całą instancją kierowniczą, gdyż przy takim systemie, tj. w politycznym systemie kultu jednostki, nie było do takiej pracy warunków.

Gorzej, a nawet całkiem źle układały się sprawy, kiedy zaszczyt władzy, a więc prawo do kultu zagarnął człowiek ograniczony, tępy wykonawca czy zgniły karierowicz. Tacy grzebali socjalizm, bezmyślnie i zarazem precyzyjnie...

Chociaż system kultu jednostki zrodził się w Związku Radzieckim, nie oznacza to, że za wszystko zło, jakie u nas miało miejsce, można złożyć winę na Stalina, na KPZR czy na Związek Radziecki. My mieliśmy i naszą własną, rodzimą beriowszczyznę. Beriowszczyzna i wszelkie jej uogólnione odmiany personalne stanowiły część składową systemu kultu jednostki. Beriowszczyzna — to karta zapisana prowokacją, krwią, więzieniem i cierpieniem niewinnych ludzi.

Są sprawy z zakresu działalności polskiej odmiany beriowszczyzny, które wymagają bardziej wnikliwego zbadania i wyświetlenia. Chodzi nie o to, aby przedstawiać do zapłaty własny rachunek krzywd. Taka myśl, jak w ogóle chęć osobistych porachunków są mi zupełnie obce. Za wielkie to były sprawy, aby je rozmieniać na drobną, osobistą monetę. Ale są sprawy, które z zasadniczych partyjnych względów wymagają wyświetlenia. Partia zawsze musi dbać o swoje imię, musi być czysta. A jeśli ktoś świadomie zbrukał i hańbił jej dobre imię, dla takiego nie może być miejsca w jej szeregach.

Formułuję konkretnie swoją myśl: kierownictwo partii winno powołać komisję, której zadaniem byłoby zbadanie, czy w sprawach ludzi obecnie rehabilitowanych, których aresztowano w przeszłości na polecenie lub za zgodą Biura Politycznego, względnie części Biura, nie zachodziły wypadki świadomej prowokacji, świadomego oskarżania ludzi o czyny, których się nie dopuścili, a które podlegają przepisom karnym naszego kodeksu karnego.

Wyświetlenie tej sprawy jest konieczne i winna ją wyjaśnić komisja, złożona z ludzi zupełnie bezstronnych. Rezultaty badań komisji winny zamknąć ostatecznie partyjną, wewnętrzną kartę spraw związanych z działalnością polskiej odmiany beriowszczyzny...

PRZEMÓWIENIE NA WIECU LUDNOŚCI WARSZAWY, 24. X. 1956 R.

Partia wymagać będzie od swych działaczy pełnej odpowiedzialności za wypełnianie powierzonych im obowiązków. Ludzie, którzy skompromitowali się nieudolnością czy poważnymi błędami, nie mogą pozostawać na odpowiedzialnych stanowiskach.

Jedynie krocząc konsekwentnie po drodze demokratyzacji i wyrwając z korzeniami wszystko zło minionego okresu, dojdziemy do zbudowania najlepszego i odpowiadającego potrzebom naszego narodu modelu socjalizmu.

Decydującą rolę na tej drodze musi odegrać przede wszystkim rozszerzenie demokracji robotniczej, zwiększenie bezpośredniego udziału załóg w zarządzaniu przedsiębiorstwami, zwiększenie udziału mas pracujących miast i wsi w rządzeniu państwem ludowym...

KRAJOWA NARADA AKTYWU PARTYJNEGO, 4. XI. 1956 R.

Różnice w pojmowaniu treści demokratyzacji naszego życia nie zostały wyraźnie zarysowane, niemniej jednak miały one miejsce w kierownictwie partii. Niezależnie od tych zasadniczych różnic politycznych przejawiały się inne sprawy, które powodowały rozdziewiek w kierownictwie partyjnym. Do takich należy sprawa obsady personalnej stanowisk kierowniczych w aparacie partyjnym i państwowym, rozpatrywana pod kątem narodowościowym. Niektórzy towarzysze podeszli do tego zagadnienia w sposób uproszczony, co mogło być uważane za równoznaczne z antysemityzmem...

Zamierzamy w najbliższym czasie zreorganizować prace aparatu bezpieczeństwa publicznego. Zakres zadań organów bezpieczeństwa publicznego zostanie zwięzły i ograniczony do zwalczania szpiegostwa, terroru i innej wrogiej działalności skierowanej przeciwko władzy ludowej i interesom państwa.

Na organy bezpieczeństwa spadł w ostatnim czasie grad krytyk i ataków. Trzeba powiedzieć, że nie bezpodstawnie. Wypaczenia jakie miały miejsce w całym naszym życiu położyły się szczególnie ciężkim brzemieniem na pracy organów bezpieczeństwa...

NASZ PROGRAM WYBORCZY, 29. XI. 1956 R.

Łączą nas coraz ściślejsze i coraz bliższe stosunki przyjaźni, współpracy i wzajemnego zrozumienia z drugim wielkim mocarstwem socjalistycznym — z Chińską Republiką Ludową.

Niedługo, bo zaledwie siedmioletni okres bliskich stosunków z Chinami Ludowymi udowodnił ostatecznie, że mamy w Chińskiej Republice Ludowej dobrego i wypróbowanego przyjaciela.

Odpowiada w pełni poglądom naszej partii deklaracja rządu chińskiego w sprawie stosunków między państwami socjalistycznymi, a także wiele innych myśli będących dorobkiem pomyślnie rozwijającej się samodzielnej twórczości marksistowsko-leninowskiej KPCh.

Łączą nas bliskie, przyjazne stosunki i najżywotniejsze wspólne interesy z Czechosłowacją, NRD i innymi krajami demokracji ludowej.

Dotyczy to również Jugosławii. W stosunkach z Jugosławią nastąpiła nie tylko normalizacja, ale całkowite przekreślenie wszystkiego, co niesłusznie dzieliło nasze kraje w ubiegłych latach...

My mówimy jasno i prosto: budujemy w Polsce ustrój socjalistyczny,

wolny od wypaczeń i zniekształceń. Robotnikom stwarzamy szerokie możliwości współzarządzania zakładami pracy, które stanowią własność ogólnonarodową. Chłopom oddajemy swobodę wyboru gospodarowania. Formy zespołowej gospodarki uważamy za wyższe i lepsze od gospodarki indywidualnej. Dlatego popieramy wszelkie formy spółdzielczości na wsi i będziemy sprzyjać jej rozwojowi. Inteligencji technicznej i pracownikom nauki stworzyliśmy takie warunki rozwoju myśli twórczej, jakich nigdy nie było w dawnej Polsce. Likwidujemy wszelkie przeszkody na drodze swobodnego rozwoju rzemiosła. Stwarzamy nawet możliwość rozwoju inicjatywy prywatnej na odcinkach produkcji materiałów budowlanych i w niektórych innych dziedzinach...

ODPOWIEDZI NA PYTANIA WYBORCÓW, 9. I. 1957 R.

Kolejne pytanie brzmi:

„Czy istnieje możliwość utrzymania cen artykułów pierwszej potrzeby na poziomie 1956 r.?”

Wyjaśniam, że poza ceną węgla rząd nie ma zamiaru podwyższania cen artykułów pierwszej potrzeby i ceny tych artykułów pozostaną niezmienne...

Pytanie następne:

„Czy restauracja rzemiosła, drobnych wytwórców będzie miała charakter trwały?”

Otrzymałem trzy pytania o podobnej treści.

Zmiana polityki wobec rzemiosła nie jest chwilowa i ta nowa polityka ma wszystkie cechy trwałości. Rozwinięte rzemiosło nie tylko nie zagraża gospodarce socjalistycznej, lecz stanowi jej pozytywne uzupełnienie. Dlatego popieramy i będziemy popierać rozwój rzemiosła oraz drobnych wytwórców.

Dalsze pytanie:

„Jeśli będziemy pomagać w rozwijaniu się drobnego kapitalizmu, powstawaniu prywatnych zakładów itp. — czy Polska będzie mogła dojść do socjalizmu?”

Praktyka dotychczasowego budownictwa socjalizmu stosowana po roku 1948 wykazała, że polityka niszczenia drobnej wytwórczości prywatnej nie tylko nie sprzyjała, ale utrudniała budownictwo socjalizmu w Polsce. Nie ulega wątpliwości, że gdybyśmy pozostawili w prywatnych rękach różne drobne zakłady produkcyjne, np. materiałów budowlanych, to sytuacja na tym odcinku przedstawiałaby się lepiej niż obecnie. Wiele takich zakładów zostało zamkniętych i nie przyniosło to nikomu korzyści. W interesie socjalizmu leży, aby nie dopuszczać do likwidacji żadnego drobnokapitalistycznego zakładu pracy, jeżeli jego produkcji nie jest w stanie przejąć i wykonać sektor gospodarki społecznej...

Pytanie następne, które obejmuje treść dwu pytań, brzmi:

„Kiedy należy oczekiwać ogłoszenia wyników prac komisji powołanej na VIII Plenum KC PZPR dla zbadania odpowiedzialności towarzyszy w związku z łamaniem praworządności w okresie ubiegłym?”

Mogę tylko odpowiedzieć, że komisja pracuje, ma jeszcze do zbadania wiele akt i materiałów. Trudno mi określić, czy do wykonania tej pracy potrzeba będzie jeszcze 1 lub 2 miesięcy. Mniej więcej w tym terminie powinny być ogłoszone wyniki pracy tej komisji...

(Władysław Gomułka, *Przemówienia*, październik 1956 - wrzesień 1957, Książka i Wiedza, Warszawa, 1957.

Kronika kulturalna

Czesław Znamierowski

W Poznaniu zmarł Czesław Znamierowski. Nie zęgało go międzynarodowe uznanie. W ojczystym kraju nie towarzyszyło mu za życia sława wśród mas. Pogrzebano go ze zwykłym ceremoniałem, bez fanfar zastrzeżonych dla wybitnych twórców narodowej kultury. A jednak Czesław Znamierowski wniósł do nauki wartości oryginalne i trwałe. Pójdą w niepamięć książki i koncepcje o doraźnej przemijającej wartości jak aktualności dnia. Zostanie jednak twórczy dorobek wielkiego polskiego uczonego, zawarty w 17 publikacjach książkowych, 53 artykułach naukowych, 120 recenzjach i około 50 artykułach publicystycznych, nie liczące prac które nie zostały wydane drukiem.

Nie należy się dziwić że uczony tej miary co Znamierowski nie doczekał za życia należnego uznania. Bariera językowa i polityczna nie pozwoliła zagranicy z jego pracami się zapoznać. We własnym kraju rozwijał działalność nie w czasach liberalizmu politycznego, lecz w okresie gdy państwo dominowało nad jednostką. Specjalnością Znamierowskiego była teoria prawa. Jest historycznym faktem, że prawo i służba prawu spotykają się z wielkim społecznym uznaniem tylko w okresach liberalizmu politycznego. Przykładem Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i inne państwa demokratyczne gdzie wszechwładne jest prawo, a nie władza polityczna — zarówno w teorii jak praktyce.

Nie jest rzeczą łatwą wnieść twórczy dorobek do teorii prawa. Naukowa refleksja trwa w tej dziedzinie od licznych stuleci, wiele dłużej niż w innych dyscyplinach. Historia jej wyników — to grube tomy. Rozbieżność poglądów w nich ogromna, nawet co do tak podstawowych zagadnień jak definicja prawa, jego istota, źródło mocy obowiązującej, funkcja lub zasadnicze pojęcia. „Istnieją dziesiątki definicji prawa” — pisał Jerome Frank, wybitny amerykański teoretyk i praktyk prawa — „i nie ma lepszego sposobu marnowania czasu, niż prowadzenie sporów która z tych definicji jest słuszna. Nikt bowiem nie może ostatecznie rozstrzygnąć tego sporu”.

Przejawem naukowego pesymizmu są też poglądy, że zadaniem teorii prawa nie jest w ogóle jego definiowanie (W. Ivor Jennings). Największy zaś umysł prawniczy Stanów Zjednoczonych odjął prawu nawet normatywny charakter, co do którego nie było przedtem sporu. Pisał Oliver W. Holmes: „Dla mnie prawem są tylko prognozy jak sądy faktycznie rozstrzygną zagadnienia — nic bardziej pretensjonalnego nie jest jego zadaniem”. Zainaugurowana przez Holmesa amerykańska szkoła realizmu prawnego nadała prawu charakter dyscypliny opisowej, empirycznej, próbującej ustalać prawidłowości w orzecznictwie sądowym jako podstawę przewidywania przyszłych decyzji.

Wydawałoby się że w ciągu wieków wszystko już w takiej czy innej formie zostało powiedziane w dziedzinie teorii prawa i nauka ta wyczerpała swą problematykę jak anatomia. Znamierowski wykazał naukowym dorobkiem, że tak nie jest. Otworzył teorii prawa nowe horyzonty i zadania. Na dawne zagadnienia spoglądał z nowego punktu widzenia. Wykazał że teoria prawa, bogata objętościowo refleksją wielu stuleci, jest według współczesnych sprawdzianów w fazie stosunkowo mało rozwiniętej.

Cóż wyróżnia i charakteryzuje Znamierowskiego jako teoretyka prawa?

Przede wszystkim przygotowanie i podejście badawcze. Zainteresował się prawem i jego teorią stosunkowo późno w życiu. Mając dopiero 34 lata uzyskał na Uniwersytecie Poznańskim doktorat prawa. Upřednio jednak odbył intensywne studia z dziedziny nauk filozoficznych w warszawskiej szkole filozofii analitycznej, której stał się entuzjastycznym uczestnikiem. Szczególnym zainteresowaniem darzył logikę matematyczną i etykę naukową, którym poświęcił wiele czasu i wysiłku, zarówno przed doktoratem filozofii, jak w późniejszej pracy naukowej.

W założeniach epistemologicznych i ontologicznych był reistą. Uznawał zarówno materialne rzeczy jak i idealne wartości. Działanie było dlań procesem psychofizycznym. Wyróżniał się wszechstronnością zainteresowań, które obejmowały też socjologię i psychologię. W obu tych dziedzinach posiadał gruntowną wiedzę. Przez kilka lat był wicedyrektorem Polskiego Instytutu Socjologicznego.

I rzeczywiście Znamierowski podchodził do zagadnień teorii prawa nie tylko jak prawnik lecz i jak logista, psycholog i socjolog, stosując wyniki tych dyscyplin do nowego przedmiotu naukowych dociekań. W ciągu długiego naukowego życia był gruntownym i wnikliwym analitykiem, a nie twórcą rozległych syntez. Można by go bardziej przyrównać do mistrzowskiego miniaturzysty niż do malarza wielkich płócien czy fresków. Jego analizy łączą się wszakże w całość oryginalnej teorii prawa. Trudno ją nazwać jednym określeniem. W zależności od akcentowania podejścia nazywano ją logistyczną, psychologiczną lub socjologiczną, choć może najwierniej charakteryzowałaby ją nazwa analitycznej lub realistycznej teorii prawa.

Znamierowskiego wyróżnia także metoda.

Od wieków prawo i jego teoria były królestwem dla siebie. Miały własne metody badania. Miały własną terminologię, powstałą raczej pragmatycznie niż w wyniku naukowej logicznej analizy. Miały własne sposoby prezentacji. Literatura prawnicza stała się z biegiem czasu wręcz niezrozumiała nie tylko dla laików ale i naukowców poza prawem, nie wtajemniczonych w prawniczy język i sposób myślenia. Cała dziedzina prawa znalazła się poza ogólnym nurtem nauki. Feliks S. Cohen pisał z właściwą sobie przenikliwością, że tradycyjne pojęcia prawne są koncepcjami mitycznymi, w które można tylko wierzyć, lecz istnienia ich nie podobna sprawdzić empirycznie.

Znamierowski znał dobrze współczesnych i dawnych teoretyków prawa różnych narodowości. Nie poszedł jednak ich ścieżkami. Nawet ich nie cytuje. Jego umysł, wyszkolony na logice warszawskiej szkoły filozofii analitycznej, widział jasno mętność i wieloznaczność ich pojęć, prowadzących często do stawiania pozornych problemów. Widział słowne spory operujące pustymi terminami, nierealne ujmowanie rzeczywistości prawnej. W tradycyjnym prawniczym rozumowaniu, chełpiącym się od wieków wzorową logiką myślenia, dostrzegał często zaprzeczenie jej podstawowych praw. Toteż Znamierowski zerwał radykalnie z tradycją, nie prowadził nawet polemik. Swoje gruntowne, wielostronne przygotowanie wykorzystał, podejmując pozytywny twórczy wysiłek, by włączyć teorię prawa do ogólnego nurtu naukowego i wykazać własną twórczością, że badania tej dziedziny mogą odpowiadać pod względem precyzji — pojęć, metody i sposobu prezentacji — sprawdzianom warszawskiej szkoły filozofii analitycznej. A były to sprawdziany nie byle jakie. Zapewne najwyższe z istniejących wówczas, a może i obecnie.

W naukowym myśleniu Znamierowski uważał prawo i jego teorię za część ogólnej teorii działania (prakseologii), mającą jako przedmiot wszelkie zagadnienia związane z normowaniem, regulowaniem ludzkiego postępowania. Badania zaczął tam, gdzie w wyniku zasadniczego podejścia zacząć musiał: od analizy podstawowych pojęć prawnych. Na tradycyjne terminy i pojęcia patrzył oczyma logiki. Analizował je wnikliwie. Rugował terminy puste, nic nie znaczące. Tępił metafizyczne naleciałości pojęciowe. Precyzował znaczenie pojęć ambiwalentnych. Ustalił istniejące związki logiczne między pojęciami. Kładł wielki nacisk na precyzję wysłowienia. Eliminował werbalne zagadnienia pozorne lub urojone.

Była to praca pionierska, trudna, wymagająca ogromnego wysiłku umysłowego. Praca nadto niewdzięczna, gdyż nie przynosiła doraźnych wyników, uderzających nowością tez, syntez czy wywodów. Przynosiła jednak nową szatę logiczną dla dawnych pojęć, pozwalając rozważać realne zagadnienia w sposób jasny, jednoznaczny, wolny od sprzeczności. W wyniku analityczna teoria prawa Znamierowskiego odznacza się krystaliczną przejrzystością myśli i precyzją wysłowienia. Terminy — wolne od wszel-

kiej mitologii pojęciowej — posiadają precyzyjnie określone treści i zakresy. Następne wynikają z poprzednich z logiczną koniecznością. Pojęcia mętne, wieloznaczne zniknęły, a wśród nich uświęcony wiekami termin „prawo”. Znamierowski nie używa go, nawet w potocznym praktycznym sensie — zbioru reguł prawnych. Pozostawał w zgodzie ze znakomitym socjologiem Henrym Levy Ulmanem, że określać prawo jako zespół reguł — to tak jakby określać myśl ludzką przez zbiór wyrazów, zawartych w słowniku.

Znamierowski uważał że normy istniejących systemów prawnych w pełnym rozwoju wymykają się spod wszechstronnej wnikliwej analizy jako zbyt złożone. Dla jej ułtwienia zakłada metodologicznie izolację jednego indywiduum i bada najpierw zagadnienia, wyłaniające się ze stanowienia najprostszych norm o zakresie jednostkowym, gdy jedna osoba ustanawia dla siebie dyrektywę wykonania jednego czynu. Kolejno analizuje problemy wiązania norm postępowania w zespoły czyli układy norm. Na fundamencie osiągniętych wyników przystępuje systematycznie do roztrząsania coraz bardziej skomplikowanych zagadnień, wyłaniających się ze stanowienia norm postępowania dla innych, z łącznego i społecznego stanowienia międzyosobowych norm postępowania. Specjalną uwagę obdarza normy konstrukcyjne i kompetencyjne jako podstawowe dla wyjaśnienia wszelkiej prawnej organizacji grupy, łącznie z państwem i ponadpaństwową międzynarodową organizacją.

Analizując różnego typu normy. Znamierowski zawsze widzi w nich normatywne zdania logiczne, różniące się zasadniczo od zdań opisowych. Rozumie przez zdania logiczne nie zespoły słów według potocznego gramatycznego pojmowania, lecz to co słowa znaczą, co wyrażają. Choć ogromna jest różnorodność norm postępowania, we wszystkich dostrzega strukturalne podobieństwo, pozwalające na ustalenie jednolitej formuły logicznej w zdaniu: „Zgodnie z wolą Y—A ustanowił, że w warunkach $w_1 \dots w_n$ P powinien (może) wykonać czyn C”. Wszystkie elementy tego zdania są zmienne. Oczywiście normy istniejących systemów prawnych nie są wysłowione w tego rodzaju pełnej logicznej formie. Z łatwością jednak mogą być transponowane na takie zdania. Bardzo wiele zagadnień teorii prawa to właśnie analiza zdania logicznego, wyrażającego normę prawną, analiza jego elementów, stosunku między elementami oraz stosunków między poszczególnymi zdaniami.

W rozważaniach zagadnień teorii prawa Znamierowski nie zapomina na chwilę, że normy nie mają samodzielnego, abstrakcyjnego bytu lecz są tworem ludzi dla normowania ludzkiego działania w grupach społecznych. Uwzględnia też w całej pełni zarówno środowisko społeczne w którym normy powstają jako jedna z ważnych form kontroli społecznej, jak i otoczenie natury społecznego środowiska. „Społeczność stała się głównym ośrodkiem badania tej książki” — pisze Znamierowski w przedmowie do swego dzieła „Prolegomena do nauki o państwie”. Tylko nor-

my indywidualne o zasięgu jednostkowym mogą nie być uwarunkowane społecznym tłem, choć i one podane są prawom przyrody naturalnego otoczenia. Toteż w rozważaniach Znamierowskiego o teorii prawa znajdujemy wnikliwe socjologiczne analizy mocy, rozkazu, władzy, zbiorowości, zbioru i grup społecznych, jako niezbędnych elementów dla analizy norm międzyosobowych, istniejących w społecznościach o różnych stopniach złożoności.

Nie zapomina również Znamierowski ani na chwilę, że aktorzy życia prawnego — to ludzie obdarzeni świadomością, a działania świadome stanowią główny przedmiot norm prawnych i ich podstawową problematykę. Z całą zawodową swobodą uwzględnia wyniki dociekań współczesnej psychologii. Subtelne i głębokie są jego analizy przeżycia, oceny, poczucia obowiązku, dążeń lub poczucia obowiązywania normy.

Uniwersytecka kariera naukowa Znamierowskiego w dziedzinie teorii prawa była barwna i nieortodoksyjna jak jego twórczość. Inauguracją była dysertacja doktorska o psychologicznej teorii prawa Leona Petrażyckiego. Przez wiele lat teoria ta przyciągała z całej Europy do Uniwersytetu Petersburskiego tłumy studentów, którzy szczególnie wypełniali audytorium. Petrażycki zdobył sławę światową, wszedł do podręczników teorii prawa, wychował pokolenia młodych uczonych w swej dziedzinie. Znamierowski w pracy doktorskiej poddał szczegółowej analizie podstawowe pojęcia, sądy i koncepcje, którymi operował Petrażycki, wznosząc strukturę swej psychologicznej teorii prawa. Wynik był wręcz unicestwiający. W obronie teorii mistrza wystąpił jeden z jego pierwotnych uczniów prof. Lande, piastun katedry teorii prawa na Uniwersytecie Stefana Batorego. Podał on rozprawę Znamierowskiego niezwykle surowej krytyce. Była to wręcz lekcja udzielona debiutantowi teorii prawa przez profesora uniwersytetu. Znamierowski replikował odpowiedzią kilkakrotnie dłuższą od recenzji prof. Landego. Replika stała się międzyuniwersytecką sensacją. Młody uczony w naukowej dyskusji pokazał w całej pełni potęgę argumentacji i perswazji swego analitycznego podejścia. Równocześnie ujawnił mistrzostwo stylu, niezwykły wigor intelektualny, niezależność naukowych sądów i wielką odwagę ich głoszenia. A trzeba pamiętać że Znamierowski wtedy dopiero zaczynał karierę uniwersytecką...

Analiza psychologicznej teorii prawa Petrażyckiego była pracą krytyczną. Oczekiwano wkładu pozytywnego do teorii prawa od tego, który zuchwale targnął się na wielkość naukową, uświęconą międzynarodowym uznaniem. Takim wkładem była praca habilitacyjna Znamierowskiego pt. „Podstawowe pojęcia teorii prawa” (Poznań, 1925, str. 224). Tytuł wiernie oddaje treść. Istotnie Znamierowski zanalizował podstawowe pojęcia teorii prawa i to w sposób, w jaki nikt dotychczas o zagadnieniach teorii prawa nie pisał. Były to bowiem roztrząsania zagadnień, dokonane nie tylko przez teoretyka prawa lecz także logika warszawskiej szkoły filozofii analitycznej, socjologa, psychologa i uczonego biegłego w naukach filozoficznych i społecznych.

„Podstawowe pojęcia teorii prawa” jako praca habilitacyjna musiały odpowiadać co do formy wykładu tradycyjnym wymaganiom uniwersyteckim i zawierać erudycyjny aparat naukowych przypisów, cytat i krytycznych uwag. Drukowane po tekście pracy stanowią lekturę nie mniej pobudzającą intelektualnie niż sam wykład. Znamierowski został mianowany profesorem nadzwyczajnym filozofii i teorii prawa w roku 1924, zaraz po habilitacji. Odtąd książki Znamierowskiego wolne są od przypisów naukowych i zawierają tylko wykład własnych myśli autora, dlatego — jak pisał — „iż wydaje mi się ważne, aby wzwyczać do myślenia bezpośrednio o tym jakie rzeczy są i odzwyczajać od muzealnego zainteresowania tym co różni ludzie myślą o rzeczach”.

Nie trzeba w krótkim artykule wymieniać wszystkich tytułów choćby tylko książkowych wydań prac znakomitego polskiego teoretyka prawa. Ograniczmy się więc tylko do kilku podstawowych. Obok przytoczonych uprzednio do najważniejszych należą: „Prolegomena do nauki o państwie” (Warszawa 1930), „Oceny i normy” (Warszawa 1957), „Wina i odpowiedzialność” (Warszawa 1957). Nie ukazała się drukiem w formie książkowej bardzo obszerna praca o państwie, znana z fragmentów drukowanych w naukowych czasopismach „Przegląd Socjologiczny” XX-3, „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny” Nr 1(67).

Znamierowski niezwykle wysoko cenił G. E. Moore'a, twórcę brytyjskiej szkoły filozofii analitycznej. Przetłumaczył na polski jego dzieło „Some Main Problems of Philosophy”. Los rzucił że duży tom przekładu ukazał się w roku śmierci twórcy polskiej analitycznej teorii prawa.

Czesław Znamierowski to nie tylko teoretyk prawa, filozof, logista, socjolog i psycholog lecz także znakomity pisarz. Oto próbka jego stylu z jego ostatniej obszernej pracy o państwie, której rozdział o trudnościach jedynowładztwa drukowany był w „Ruchu Prawniczym, Ekonomicznym i Socjologicznym” (Nr 1(67)):

„Jedynowładca najczęściej fałszywie ocenia swoją moc, to znaczy to, jak daleko może sięgać wpływ jego woli. Przecenia tę moc, a jednocześnie jej nie docenia. Często mu się wydaje, że może perswazją lub strachem odmienić postawę emocjonalną swoich poddanych. Stąd oczekuje od nich wewnętrznego, samorządnego posłuchu tam, gdzie ten posłuch będzie tylko udany czy obłudny. Zawiedziony zaś w swoim oczekiwaniu, zwłaszcza gdy się spotka z otwartym sprzeciwem, wybucha gniewem i zapala się pragnieniem zemsty. Nieraz też podejmuje przedsięwzięcia, pokojowe lub wojenne, gdzie mu sił nie starcza, by je doprowadzić do pomyślnego końca. Próbuje na przykład nieraz przemocą rządzić sumieniami poddanych, narzucając im wierzenia wojną domową”.

Józef GIDYŃSKI

Wspomnienie o przyjacielu

Jewhen Małaniuk był jednym z najwybitniejszych poetów i eseistów ukraińskich XX wieku. Na próżno jednak szukalibyśmy jego nazwiska w encyklopediach sowieckich i wydawnictwach rusycystycznych świata zachodniego; przez 30 lat było najstaranniej przemilczane. Dzieliło losy Ukrainy, która w oczach Zachodu stała się białą plamą na mapie Europy. *Hic sunt leones...*

Ta zмова milczenia jest zjawiskiem nowym. Pisząc swą *Historię Karola XII* przed dwustu laty, Voltaire miał uderzającą znajomość spraw ukraińskich. Pisał dla całego świata i przywiązywał wagę do informacji uniwersalnej. Dzisiejsi encyklopedyści mają mniejsze ambicje; piszą na użytek jednego kraju, jednego stronnictwa, jednego urzędu i — w porównaniu z Voltaire'em — wydają się dziwnie zaściankowi.



Kiedy poznałem go przed 45 lub 46 laty w Warszawie, Małaniuk był wysokim, szczupłym, krótko ostrzyżonym brunetem; miał cerę marynarza, jak gdyby opaloną wiatrem morskim; trzymał się prosto, głos jego miał ton lekkiego metaliczny, który odnajdujemy w jego wierszach; uważne spojrzenie ciemnych oczu wydawało się zarazem życzliwe i sceptyczne. Wszystko razem składało się na sylwetkę młodego oficera wojsk ukraińskich. Małaniuk przybył do Polski w 1920 z resztkami Armii Petlury.

Urodzony w 1897, Małaniuk był synem Chersońszczyzny, najbardziej południowej części Ukrainy. Leżący na brzegu Morza Czarnego, kraj ten jest podobnie jak Krym pełen wspomnień greckich, zachowanych w nazwach miejscowości, jak Nikopol i Melitopol. Sam nawet Hulajpol być może był kiedyś miejscem poświęconym Dionizosowi (*campus orgius*). Motywy zdobnicze pisanek chersońskich są częściowo greckiego pochodzenia. W płytkich wodach polowano tam na ryby trójzębem, mającym formę berła Posejdon'a i noszącym nazwę *sandola*.

Wspomnienia antyczne ożywiły się w tej części Europy w pierwszych latach obecnego stulecia, gdy archeolodzy rosyjscy odkopali pierwsze miasta greckie na północnym brzegu Morza Czarnego. Zbiory archeologiczne i etnograficzne muzeum odeskiego dawały uderzający obraz ciągłości historii. Znany historyk Rostowcew ogłosił rozprawę o czterech republikach greckich,

prosperujących na północnym brzegu Morza Czarnego aż do wielkiej wędrówki ludów. Zabawny szczegół: z ludów zamieszkujących niegdyś te wybrzeża Polacy wybrali sobie za przodków Sarmatów, Rosjanie widzieli się chętnie w roli potomków Scytów (*Skify* A. Błoka), Ukraińcy zaś, ostrożniejsi w genealogii, mówili o „stepowej Helladzie”. U Małaniuka takie określenie jego chersońskiej ojczyzny powtarza się wielokrotnie; mówiąc o jej tragicznych losach używa też wyrażenia „czarna Hellada”.

Ówczesne ożywienie wspomnień greckich i poczucie ciągłości historii było zapewne źródłem rysów klasycyzujących u Małaniuka, Zerowa i innych poetów ukraińskich tego czasu. Powrót do wzorów klasycznych został potępiony przez władze sowieckie; Zerow przyplącił go życiem.

Małaniuk był z wykształcenia inżynierem; studiował na politechnice petersburskiej i w akademii ukraińskiej w Podiebradach, ze szkół w Elizawetgradzie wyniósł jednak pewną znajomość łaciny. Jego zainteresowanie przeszłością — prócz wspólnego pochodzenia z okolic, gdzie sady owocowe nazywano z persko-turecka *basztanami* — były pierwszym ogniwem łączącej nas potem przyjaźni.

W krótkim czasie Małaniuk nauczył się poprawnie mówić i pisać po polsku, wolałem jednak rozmawiać z nim po ukraińsku. Słyszając jego naddnieprzański język i nieco metaliczny dźwięk głosu, miałem wrażenie że widzę pociętą *batkami* i brązowo-błękitnymi taflami *limanów* przestrzeń „stepowej Hellady”.



Jewhen Małaniuk zmarł w Nowym Yorku, 16 lutego. Śmierć musiała doń przyjść niespodzianie, bo ubiegłego lata, gdy widziałem go po raz ostatni, nic nie zapowiadało krótkości tego terminu. Wsiadając z autobusu na rynku w Sarcelles, z daleka już dostrzegłem górującą nad tłumem przechodniów znaną sylwetkę petlurowskiego oficera. Trzymał się prosto, jak przed 46 laty, miał tak samo krótko ostrzyżone włosy bez śladu siwizny, twarz opaloną pontyjskim wiatrem, to samo uważne spojrzenie. Pół wieku emigracji nie zostawiło na nim widocznych śladów. Dopiero gdy zaczął mówić, spostrzegłem że głos jego nie ma więcej dawnego, metalowego odcienia. Słowa wychodziły z jego ust bez pośpiechu, matowe, jak gdyby ostrożne. Był od 50 lat pisarzem i przywykł do krytycznego przyglądania się słowom, zanim ustawił je na papierze. Gdy zacząłem mówić o Chersońszczyźnie, uśmiechnął się i nie podtrzymał rozmowy.



W 1920 Polska nie posiadała jeszcze rysów, które składają się dziś na nasz obraz Polski dwudziestolecia. Po przeszłości dziedziczyła wspomnienia jagiellońskie i sto lat walki o wolność. Stąd kredyt jej u ludów rozpadającego się właśnie imperium rosyjskiego. Wracając do kraju w 1919 zastałem w Warszawie przybyłych tam na zwiady przedstawicieli Kozaków, Tatarów, Ukraińców... Nie odstraszały ich nawet ambicje terytorialne nowej Polski. Czerwiakow, ówczesny prezes rewkomu białoruskiego w Mińsku, późniejszy prezydent Republiki Białoruskiej, który popełnił samobójstwo w 1936, tak sformułował ich nadzieje, kiedy spotkałem go w Rydze, nazajutrz po podpisaniu rozejmu dzielącego Białoruś między Rosją i Polską:

— Straszny jest los kraju podzielonego między obce państwa. Polacy wiedzą to najlepiej. A jednak sytuacja ta w chwili obecnej zostawia pewną nadzieję. Wiele zależy od tego, co Polacy zrobią na swojej części Białorusi, od ich polityki narodowościowej. Moskwa nie będzie mogła nam odmówić swobód, z jakich Białorusini będą korzystali w Polsce.

W słowach tych Czerwiakow formułował nie tylko nadzieje białoruskie, lecz także polskie. Korzystające ze swobód, chociażby w ramach Unii sowieckiej, Ukraina i Białoruś byłyby dla Polski lepszą gwarancją bezpieczeństwa niż papierowe paktów o nieagresji. Jaką zresztą przyszłość mogła mieć izolowana moralnie „Polska mocarstwowa” między dwoma najsilniejszymi potęgami militarnymi kontynentu?

Głusi na głos rozsądku, zaślepieni nacjonalizmem, Polacy dwudziestolecia zawiedli cudze i własne nadzieje. Jedyną rzeczą, jaka pozostała z lat złudzeń i nadziei, były zawarte wówczas przyjaźnie. Bolesna dla jego przyjaciół, śmierć Małaniuka zdaje się rzucać cień na cały obszar spraw istniejących już tylko w naszej pamięci.

Paweł HOSTOWIEC

Komunikaty

NAGRODY ROY PUBLISHERS IM. M. KISTERA

Nagroda za przekłady z języka angielskiego na polski, w wysokości 250 dolarów przyznana została Jerzemu S. Sito. Nagroda za przekłady z języka polskiego na angielski, również w wysokości 250 dol., została w tym roku podzielona przez jury pomiędzy pięciu tłumaczy żyjących w Polsce:

K. Błęzyńskiego, T. Jakubowicza, W. Kragen, A. Liebfelda i M. Wiśłowską.

Ponadto p. Hanna Kister przyznała w tym roku dodatkową nagrodę w wysokości 50 dol. p. Aleksandrowi Jancie za przekłady z poezji japońskiej.

Nagrody zostały ogłoszone w dn. 4 marca br., na obiedzie PEN CLUBu w Nowym Jorku.

K O N K U R S

Polski Związek Ziemi Zachodnich, Oddział Odra w Chicago, przy współpracy Studium Zagadnień Polsko-Niemieckich ogłasza KONKURS na prace o Ziemiach Zachodnich z okazji zbliżającego się 50-lecia Powstania Wielkopolskiego i Powstań Śląskich.

Prace w języku polskim lub angielskim winne być przysłane do:

Studium Zagadnień Polsko-Niemieckich
2546 W. Logan Blvd.
Chicago, Ill. 60647

do dnia 1 października 1968 roku.

Specjalna Komisja, której decyzja jest nieodwołalna, przydzieli następujące nagrody:

1. Bond U.S. dol. 100,00 albo dol. 75,00; 2. Bond U.S. dol. 50,00 albo dol. 37,50; 3. Bond U.S. dol. 25,00 albo dol. 18,75.

P.Z.Z.Z. Oddział Odra zastrzega sobie prawo własności i przedruku prac nadesłanych.

Książki

Skład Płyt

Skład Nut

KSIEGARNIA "ZWIĄZKOWCA"

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

ma na składzie WIELKI wybór

zaopatrzona jest w DUŻY wybór

POLSKICH KSIĄŻEK

POLSKICH PŁYT
GRAMOFONOWYCH

Polecamy polskie książki:

produkowanych

w kraju i za granicą.

- do nabożeństwa
- powieści
- techniczne
- medyczne
- rolnicze i hodowlane
- podręczniki szkolne.

- Muzyka
- Śpiew
- Kolędy
- Monolog i recytacje
- Utwory polskich kompozytorów
- w wyk. polskich artystów.

Piszcie po BEZPŁATNE katalogi. Wykonujemy zamówienia pocztą
Przyjmujemy abonament na „Kulturę” —
Posiadamy na składzie wszystkie książki wydane przez
Instytut Literacki w Paryżu

Sumienie poety

W Londynie ukazała się kilka lat temu antologia poetycka pod tytułem „Lata trzydzieste” (Penguin Books, 1964). Ten tytuł pozornie bezbarwny, ma jednak głęboką wymowę, gdyż właśnie w dziesięcioleciu poprzedzającym drugą wojnę światową poezja angielska była, jak rzadko kiedy, związana z problematyką społeczną i polityczną. Reagowała silnie na bieżące wydarzenia.

Wydarzeniem historycznym, które najgłębiej poruszyło wyobraźnię poetów była wojna domowa w Hiszpanii. Wielu pisarzy zaciągnęło się na ochotnika po stronie republikańskiej w walce przeciw wojskom generała Franco. Na front hiszpański udali się poeci Auden i Spender, prozaik i publicysta George Orwell, znany dziś szeroko autor powieści „Rok 1984” oraz równie znany pisarz Artur Koestler. W Hiszpanii zginęli młodzi poeci John Cornford i Julian Bell oraz ciekawie się zapowiadający krytyk marksistowski John Caudwell.

Jednym z najbardziej znanych poematów, choć, jak każdy utwór propagandowy, artystycznie dość prymitywnym, jest „Hiszpania” Audena. Jest to zew do akcji, do udziału w epokowej walce, w której uczestniczą już ochotnicy z różnych krajów. Auden pisze: „Jak ptaki uczepili się wagonów roztrzęsionych ekspresów / Pędzących poprzez ziemie niesprawiedliwe, nocą przez tunel alpejski; / Przepłynęli oceaną / Maszerowali przełęczami. Wszyscy ofiarowali swoje życie”.

W przedmowie redaktor antologii Robin Skelton stwierdza, że „Wojna hiszpańska była symbolem, który stał się rzeczywistością: była bowiem wyrazem walki klasowej, a także walki artystów przeciw filistrom: przecież faszysti zamordowali Lorke, przecież Picasso opowiedział się po stronie rządu republikańskiego”.

Wojna hiszpańska rozpałała wyobraźnię artystów, dlatego, że ujrzeli podłoże tego konfliktu jako oczywistą walkę dobrego ze złem. Artysta, który zazwyczaj z natury nie potrafi rozeznaczyć się w skomplikowanych machinacjach polityków, lubi takie uproszczenia. Akceptując podział na białych i czarnych, może wyrazić swój idealizm bez żadnych skrupułów, opowiadając się zdecydowanie po stronie niewinnych i sprawiedliwych.

Niestety, takie nieskomplikowane sytuacje, nawet jeśli czasem zaistnieją, nie trwają długo. „Z biegiem czasu — komentuje Skelton — zamieszanie, fałsz i straty powodowały wśród uczestników coraz większą dezorientację i rozgoryczenie. Komunistom bardziej teraz zależało na wyniszczeniu anarchistów i trockistów niż na rozgromieniu faszystów; stawało się jasne, że wojna domowa przestała być walką o swobody demokratyczne, że przekształciła się z jednej strony w teren ćwiczeń wojsk Osi, a z drugiej w pokaz propagandowy na rzecz komunistów”.

Byli oczywiście poeci, którzy właśnie generała Franco uważali za nadzieję narodu hiszpańskiego, byli też tacy, których ta wojna szczególnie nie obchodziła. Wśród nich właśnie znalazł się Eliot. Do niedawna był ikonoklastą w literaturze, napisał kilka wierszy, w których podkpiwał z chrześcijaństwa. Nagle zmienił radykalnie swe poglądy, przyjął zwierzchnictwo Kościoła anglikańskiego, a w okresie wojny hiszpańskiej, bawił w za-przyjaźnionej z generałem Franco Portugalii. Intelktualiści poczuli się zdradzeni przez Eliota, którego dotąd uważali za duchowego przywódcę. „Tu znów widzimy — zauważa Skelton — że w tym okresie zachowanie się poety miało doniosłość publiczną na równi z jego poezją”.

Jest to więc w oczach Skeltona sytuacja nietypowa. Poeta nie jest normalnie sumieniem narodu, jego afiliacje polityczne, jego postępowanie, są jego osobistą sprawą. Tu widzimy istotną i ciekawą różnicę w roli, jaką pisarz spełnia w Anglii, a rolę pisarza polskiego¹. Oczywiście wiek wieszczów minął już bezpowrotnie, ale ciągle żywa jest w naszym piśmiennictwie tradycja, że pisarz winien zajmować jakieś stanowisko w sprawach publicznych i że to stanowisko musi być zgodne z poglądami wyrażonymi w jego twórczości. W Anglii dopiero bardzo specyficzne warunki wojny hiszpańskiej stworzyły sytuację, która angażowała sumienie poety.

Czy w ogóle można wymagać od pisarza, by jeszcze wyróżniał się nieprzeciętnym charakterem? Pisarz nie jest ani samarytaninem, ani zbawcą ludzkości, jest raczej egoistą zajętym sprawami swego rzemiosła, żywo zainteresowanym nakładami swoich książek i zasięgiem swojej sławy. Jak każdy inny człowiek w szczególnie trudnej sytuacji życiowej gotów jest pójść na kompromis i ugodę.

1. Na ten kontrast zwróciłem poprzednio uwagę w szkicu pt. „Owen, Douglas i poezja wojny” (*Kultura* nr 240).

Słyszę już mniej więcej taką odpowiedź na ten cynicznie brzmiący argument. Czy rzeczywiście taki oportunista znajdzie oddźwięk wśród czytelników? Przecież każdy wiersz, każdy utwór sceniczny, każda powieść — jeżeli autor nie ogranicza się do pustej akrobatyki formalnej — musi wyrażać jakieś zdecydowane stanowisko wobec obchodzących nas wszystkich spraw moralnych i estetycznych.

Otóż paradoksalnie, pisarz może w dziele prezentować postawę moralną, do której nie przystosowuje się w życiu osobistym. Choć dzieło sztuki ma te związki z życiem autora, nie są one aż tak oczywiste i proste. Przecież dzieło sztuki jest także wyrazem nieziszczalnych aspiracji i marzeń, obrazem idealnego stanu, który autor stwarza właśnie dlatego, że jest to stan w rzeczywistości nieosiągalny choć pożądaný. I na tym tle właśnie powstają rozdzźwięki między autorem, a jego dziełem, które, gdy zostają zauważone przez czytelników, pobudzają ich do kwestionowania jego dobrej woli.

Może dlatego autorzy, którzy uświadamiają sobie możliwość takiego rozdzźwięku i starają się jemu zapobiec, są szczególnie wrażliwi na głos sumienia i obowiązku w obliczu takich ewenementów, jak wojna hiszpańska, jak powstanie warszawskie, jak powstanie węgierskie. Dziś z perspektywy czasu, możemy ubolewać, że Byron przepłacił życiem swe zaangażowanie w walkę o niepodległość Grecji, że, Baczyński, Gaycy i Stroński brali czynny udział w walce zbrojnej, że Sebyła był oficerem i zginął w Katyniu: powinni byli obserwować wypadki z dala jak Słowacki i Norwid, i utrzymywać swe reakcje na epokowe wydarzenia w pięknych wierszach.

Podobnie znany publicysta i były komunista Claud Cockburn, który był na froncie hiszpańskim, wyraził się niedawno o działalności wojennej Audena: „Wymagaliśmy od niego tylko by pokazał się na froncie, napisał kilka utworów na cześć Republiki i by sobie zaraz poszedł i napisał jeszcze kilka utworów na cześć Republiki. Takie winno było być jego zadanie w tej wojnie. Niestety, zamiast tego, Auden zabrał się do całej sprawy bardzo poważnie: chciał koniecznie działać”.

Sensowniej jest więc, by poeta siedział z dala od pola walki i układał wiersze, mające na celu podtrzymanie ducha w narodzie, niż by miał zginąć w okopie od pierwszej lepszej kuli. Tak, ale jak zauważyłem, słuszność takiego rozwiązania widzimy dopiero z perspektywy czasu. Poza tym trzeba mieć ogromną wiarę w swoją twórczość — mówiąc dosadnie trzeba niemałej dozy arogancji i megalomanii — by przekonać się, że szlachetne i patriotyczne utwory, które się na poczekaniu komponuje, są komuś rzeczywiście potrzebne, że zachęcają do walki i że ponadto, mają nieprzemijającą wartość artystyczną.

Dlatego, szczególnie w momentach wielkiego kryzysu, kiedy waga się losy narodów i zmagają się ideologie, poeta dotkliwie odczuwa swoją bezradność i dochodzi do wniosku, że najskromniejsza nawet działalność na polu bitwy ma donioślejsze znaczenie od najambitniejszych prób pisarskich.

Adam CZERNIAWSKI

Pierwsza książka o Schulzu

Jerzy Ficowski, poeta, cyganolog i współautor wielu pięknych piosenek (m.in. *Sławy Przybylskiej* i *Mazowsza*) największą pasję życiową odkrył w sobie ponad 25 lat temu, kiedy jako młodego chłopcu, w czasie okupacji, wpadł mu w ręce egzemplarz „Sklepów Cynamonowych” Brunona Schulza. Olśnienie było trwałe i płodne. Rezultatem jest książka zatytułowana schulzowskim cytatem *Regiony Wielkiej Herezji**.

Jest to pierwsza w literaturze polskiej książka o Schulzu; ukazała się na 25-lecie śmierci pisarza.

Tragiczna śmierć Schulza od kuli gestapowskiej, w listopadzie 1942, niemal w przeddzień wyjazdu jego z getta drohobyckiego do Warszawy, z poręki AK i Zofii Nałkowskiej, była dla literatury polskiej dużą i przedwczesną stratą. Dziś, po sukcesach tłumaczeń na obce języki i po niezwykłym rezonansie, jaki ma w kraju twórczość Schulza (mimo, że chodzi tylko o część jego spuścizny; małe są szanse, by odnaleźć coś więcej z jego utworów) — widać, iż był to twórca genialny i zupełnie odrębny.

Przez wiele lat socrealizmu można było o Schulzu w kraju albo nie pisać wcale, albo pisać źle. Sandauerowi oraz głównie Ficowskiemu i krakowskiemu Wydawnictwu Literackiemu należy się uznanie że swym uporem doprowadzili do wznowienia książek Schulza i przypomnieli je czytelnikom. Okazało się że obecnie, po latach wojny i spustoszeń fizycznych i psychicznych percepcja dzieła Schulza znajduje głębsze i nowe perspektywy.

Do pierwszego powojennego wznowienia utworów Schulza po *Październiku* doprowadził w tym samym wydawnictwie Artur Sandauer, młodszy samborski znajomy Schulza i zaopatrzył je wstępem pt. „Rzeczywistość zdegradowana”. Szkic ten nosił wszystkie cechy pisarstwa Sandauera: erudycję, apodyktyczność sądów, pozę i dziwne materii poplątanie.

* Jerzy Ficowski, *Regiony Wielkiej Herezji*. Szkice o życiu i twórczości Brunona Schulza. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1967, str. 248, + 48 nienumerowanych stron z reprodukcjami grafik Schulza.

Drugie, obszerniejsze wznowienie („Proza”) ukazało się z tym samym wstępem Sandauera (z którego znikł jednak cytat z Stawara, który przed śmiercią w 1961, wydał swą książkę w Instytucie Literackim w Paryżu i stał się automatycznie trefny dla cenzury), zawierało już jednak korespondencję Schulza, poprzedzoną pięknym wstępem Ficowskiego, oraz kilka recenzji pióra Schulza i głosów o nim. Były to jakby „Dzieła zebrane” Schulza, czyli to, co się uchowało od zagłady i co pieczołowicie po latach poszukiwań Ficowski zgromadził.

Ale nie odnaleziono na pewno nieskończonej powieści Schulza o Mesjaszu, noweli w języku niemieckim „Die Heimkehr”, posłanej Tomaszowi Mannowi i moskiewskiemu „Inoizdatowi”, oraz opowiadania o „Szewcu co miał głowę jak zydel”, a które Ważyk, naówczas redaktor lwowskich „Nowych Widnokręgów”, zdyskwalifikował w 1940, mówiąc: „*Nam Proustów nie potrzeba!*” Nie odnaleziono też bogatej i ważnej korespondencji Schulza z jego protektorką Nałkowską, która istniała jeszcze po wojnie w Warszawie, ale po śmierci Nałkowskiej w tajemniczych okolicznościach zaginęła. Obszerna korespondencja Schulza z jego narzeczoną, Szelińską, spłonęła w Jaworowie podczas wojny. Dużo utworów Schulza (przed śmiercią pisał *Kronikę Zagłady*, nie mówiąc już o innych rzeczach, których ślady znajdujemy w ocalałej korespondencji) zaginęło bezpowrotnie. Twórczość literacka Schulza wyrosła z jego korespondencji; pisał m.in. listy do poety Riffa, literatki Debory Vogel, z którą chciał się żenić i rzeźbiarki Magdaleny Gross.

Ficowski przez całe lata zbierał wszelkie możliwe dane, echa, ślady i listy Schulza, w warunkach, których opisanie mogłoby stać się materiałem do pasjonującej książki. Odbył nawet kilka lat temu sentymentalną pielgrzymkę do Drohobycza, ale niestety niewiele z niej przywiózł; bo Drohobycz dziś jest nie ten sam, co przed wojną. Nie ma tam już tamtych spraw i ludzi, którzy bardziej niż sam krajobraz (który też uległ zmianie) tworzyli Drohobycz Schulza. Dziś na kirkucie, na którym znajdowała się niezidentyfikowana mogiła Schulza, stoją bloki mieszkaniowe dla Rosjan.

Książka Ficowskiego napisana jest piękną polszczyzną, na pewno przez długie obcowanie wzorowaną na prozie Schulza, zawiera wiele cytatów i fragmentów z pism Schulza i dużo intuicji. Niemniej plusy i minusy tej książki wyznaczała już z góry sama jej koncepcja: jest to Schulz Ficowskiego, jest to percepcja twórczości Schulza na inteligentnego pisarza, jakim jest Ficowski, jest to Schulz z lukami w życiorysie, załatanymi najlepszymi chęciami i inwencjami autora — ale ciągle nie jest to jeszcze taki Schulz, jakim go ja sam i inni znaliśmy (w Melbourne żyje ponad 10 osób które znały dobrze Schulza; sam zbieram materiały o Schulzu od lat i „siedzę w nim”!).

Natomiast dużą wartością książki Ficowskiego jest nie tylko zebranie i uściślenie wielu faktów i danych (w których nie znając Schulza i miasta, które pobudziło go do pisania, łatwo się

zgubić), ale przede wszystkim to, że, jak nikt inny dotychczas, zbliżył Schulza do czytelnika.

Nie łatwo mi jest pisać o książce Ficowskiego, gdyż, jak wspominałem, sam nad Schulzem pracuję i w ramach krótkiej recenzji niesposób polemizować z niejedną opinią, czy sformułowaniem. Na to trzeba by dużego szkicu. Warto wszakże zanotować kilka spraw:

Książka zyskałaby pod każdym względem, gdyby jeden z rozdziałów zawierał jak najdokładniejszy i chronologiczny życiorys Pisarza. Różne dane „pływają” w tomie i nieraz sobie przeczą. Dla mnie i dla tych którzy Schulza znali, jego przejście na katolicyzm jest sprawą udowodnioną, natomiast Ficowski w oparciu o Szelińską, całą sprawę nieprzekonywująco odrzuca. Schulz nas, gimnazjalistów, prowadził do kościoła, klękał i modlił się z nami, mówił o swoim chrzcie, znane było nawet nazwisko dziecka ks. dr. Kotuli, który go chrzczył, a Ficowski zeznania jednemu z osób odrzuca, bo odrzuca je Szelińska, która już w tym czasie odeszła od Schulza, więc nie może chyba wszystkiego dokładnie wiedzieć.

Szelińska zresztą wykropkowuje szereg ustępów z listów, zapewne chcąc zachować swoją wizję Schulza i do tej wizji może próbować naginać rzeczywistość. Była ona niewątpliwie najbliższą osobą Schulza i ma moralne prawa do praw autorskich po nim, które są własnością jedynej żyjącej bratanicy Schulza, uważającej kiedyś Brunona za wujka-wariata. Ironia losu.

Ficowski nie wszędzie podaje od kogo usłyszał zapisane dane co sprawia, że dla kogoś, kto znał Schulza, niejedno w książce wydaje się wątpliwe, lub wręcz niewiarygodne. Przytacza np. z szacunkiem mizerny szkic Izabelli Czermakowej-Hermanowej, we mnie i w innych wzbudza uśmiech politowania, bo nie żyjąca już dziś autorka pisze po prostu bzdury o Drohobyczu a z Schulza robi lewicowca, w sposób mogący zadowolić tylko tępego cenzora. Natomiast pominął Ficowski szkic Hanny Olczakowej-Mortkowicz (*Przekrój*, 23 marca 1958), który jest chyba najpiękniej napisaną o Schulzu rzeczą.

Warto by też nareszcie rozprawić się z utartymi u naszych krytyków opiniami o podobieństwie i kuzynostwie Schulza z Gombrowiczem, Witkiewiczem i Kafką, czy nawet, jak chcą niektórzy, z Celine’em. Współczesność debiutu i „inność”, której Sarmata roztrząsać nie lubi, niejednego doprowadziła na manowce przy domorosłym wyśledzaniu wpływów i analogii. Schulz był genialnym prekursorem.

Wreszcie szkoda, że Ficowski nie pokusił się o szkic o Schulzu-grafiku. Ta sprawa ciągle czeka.

Nie wiem czy Ficowski czytał niezwykle inteligentne i zasadnicze uwagi Gombrowicza o Schulzu na temat tego co ich różni. („*Diennik*”); nie wiem czy zwracał się do niego. Ficowski nie jest krytykiem, a pełnym rewerencji hagiografem i to jest złe. Bo dopiero gdy się dostrzeże wszystkie braki, śmieszności, hyzje

i zboczenia Schulza i to wszystko razem, po ludzku, zrozumie — można ocenić jego dzieło i życie.

Na koniec jeszcze jedno: Nie wiem czy pominięcie wielu opinii i zapisów o Schulzu, drukowanych na emigracji jest winą Ficowskiego, czy cenzury. Faktem jest, że to zubożyło tak potrzebną książkę.

Andrzej CHCIUK

Sex dla kolekcjonerów

Problemy seksualne można omawiać w sposób zabawny albo naukowy. W swej książce *The English Psycho-analysed** Z. Grabowski stara się połączyć oba te podejścia, co nie zawsze daje zadawalające rezultaty. Piszac książkę która leży, aby użyć jego własnych słów, „na pograniczu psychologii”, autor przyznaje jednocześnie że jest ona amatorską próbą omówienia zagadnień związanych z życiem Anglików, ze szczególnym uwzględnieniem problemów seksualnych.

Dla emigracji polskiej Anglicy przedstawiają nielada zagadkę i książka naświetlająca ich życie emocjonalne mogłaby służyć jako pomost wzajemnego zrozumienia się, chociażby nawet w dziedzinie erotycznej. O tym jak bardzo tego rodzaju prace są potrzebne świadczy fakt, że książka George Mikes'a „How to be an Alien” cieszy się wciąż ogromnym powodzeniem.

Grabowski zdaje sobie sprawę że wpada pomiędzy dwa stołki, i, jak sam pisze, rezultat jego studiów i badań, gromadzenie informacji zbieranych między przyjaciółmi, znajomymi lub z wiarogodnych źródeł, nie zadowoli ani znawców ani szerokiego grona czytelników. Píše on wprost: „W naszych czasach kiedy polega się głównie na badaniach naukowych i statystycznych, pisarze, którzy mają odwagę wkraczać na teren zarezerwowany dla znawców są straceni”.

Książka robi wrażenie zbioru artykułów niedostatecznie przygotowanych przez autora do wydania książkowego. Sporo w niej powtórzeń, np. w rozdziale o homoseksualistach autor pisze o homoseksualistach w krajach arabskich, w podrozdziałach 16-tym, 20-tym i w 21-ym (o piękności chłopców arabskich).

Na początku książki autor próbuje określić narodowy charakter angielski, porównując w sposób ogólny narody Północy i Południa, przy czym wydaje się że cała sympatia autora jest po

* *The English Psycho-Analysed* by Z. A. Grabowski, Sidgwick & Jackson, London 1967. 307 str.; 20 szyl.

stronie Południowców. Z rozdziałów takich jak „To nie przychodzi naturalnie”, „Kraft Durch Freud”, „Uczuciowe środki zastępcze” (za jakie uważa picie herbaty, krykiet, psy i koty i „thrillery”) dowiadujemy się tylko tego, że Anglicy, zwłaszcza mężczyźni, nie mają naturalnego, zdrowego zainteresowania sprawami erotycznymi, ale mimo swych kłopotów seksualnych uprawiają bigamię, romanse, jakkolwiek głównie w wieku zaawansowanym, i różne rodzaje perwersji. Cechuje ich sadyzm, masochizm i okrucieństwo (rozdział jest poświęcony temu w całości) a z grzechów lżejszych, hipokryzja. Ze wszystkich faktów, starannie zakatalogowanych ploteczek czy wyszperanych wycinków z gazet, niewiele wynika i trudno dojść do jakichkolwiek wniosków.

Do jakiego stopnia można poważnie traktować zarzuty wysuwane przez Grabowskiego wskazuje na przykład podrozdział o psach i kotach („Uczuciowe środki zastępcze”). Trudno jest doprawdy zgodzić się z twierdzeniem, że uczucie do zwierząt jest w Anglii zjawiskiem nienormalnym i patologicznym na skalę narodową, zajmującym w życiu emocjonalnym Anglików miejsce należne dzieciom i starcom. To samo można powiedzieć o podrozdziale dotyczącym picia herbaty. Kto jej nie pije lub nie lubi, nigdy nie pojmie że płyn ten nadaje się do konsumpcji. Faktem jest jednak, że mocna herbata z mlekiem jest napojem nadzwyczajnie przystosowanym do angielskiego klimatu i przypuszczalnie spełnia tę samą rolę co mała czarna, słodka kawa w Grecji, wódka w Polsce czy wino we Francji. Dopatrywanie się tu zastępczego środka uczuciowego, ba nawet seksualnego, traktować należałoby jako żart, gdyby nie to że autor traktuje to poważnie.

W podrozdziale o krykiecie czytamy takie zdanie: „To zdumiewające, uczuciowe przywiązanie Anglików do krykieta, zawsze będzie zagadką dla cudzoziemców”. Pomijając fakt że nie ma w tej grze nic zagadkowego, uderza określenie „przywiązanie Anglików”. Grabowski pisze tu o narodzie jakby monolitycznym, chociaż Anglicy są jednym z najbardziej klasowo zróżnicowanych narodów na świecie. I tak na przykład, klasa robotnicza bardziej pasjonuje się piłką nożną niż krykietem, którym interesuje się głównie klasa średnia.

Autor kończy swą pracę radą, utrzymaną w tonie pobłażliwej wyższości: „Jeżeli (Anglia) ma osiągnąć nową wewnętrzną równowagę sił, nowy ideał zachowania, musi ich szukać poprzez odnowienie uczuć, dając im ucywilizowany i pełniejszy upust i ułatwiać dostęp do piękna... Tylko wielkie odnowienie rozwagi i wrażliwości, spontaniczności i emocji, może prowadzić ku nowej erze Elżbietańskiej”.

Wrażenia Grabowskiego odnoszą się głównie do Anglii z okresu poprzedzającego drugą wojnę światową i bezpośrednio powojennego. Zważywszy że książka została wydana w r. 1967, sporo też zdezaktualizowało się w momencie jej wydania. Anglia zmienia się tak szybko, że nawet to co było pięć lat temu niewiele ma wspólnego z teraźniejszością. Nie upominam się o „swinging London”, Carnaby Street czy „Flower Children”. Grabowski jed-

nak opuścić zasadnicze problemy seksualne i społeczne, takie jak ogromny problem socjologiczny adoptowania dzieci, problem dzieci nieślubnych, legalizacja przerywania ciąży, masowe udostępnienie kobietom środków antykoncepcyjnych, kampanię świadomego macierzyństwa i regulowanie urodzin, prowadzone na skalę masową, obejmującą i -nastolatków i kobiety zamężne. Problem zażywania narkotyków jest w tej chwili również w Anglii znacznie poważniejszy niż pieszczanie kotów.

Magdalena CZAJKOWSKA

Dobra robota

Ukraińcy albo raczej Kanadyjczycy ukraińskiego pochodzenia są poważnym czynnikiem w Kanadzie. Nie zamierzamy w tym miejscu kreślić historycznego obrazu grupy ukraińskiej, jej dziejów, ani też analizować oblicza społecznego, ale wyłącznie omówić prace dra Paula Yuzyka i w związku z tym wskazać na pewne aspekty.

Z ostatniego spisu ludności przeprowadzonego w 1961 r. wynika, że ludność pochodzenia ukraińskiego wynosiła — 473.377 a więc 2,6 % ogólnej ludności. Z tej liczby 77 % urodzonych było w Kanadzie a obywatelstwo kanadyjskie posiadało 97 %.

Dla uzyskania wyraźniejszego obrazu warto przytoczyć dane kilku innych grup. I tak najliczniejsza — poza oczywiście anglosaskimi i francuską — niemiecka liczyła 1.049.599 to jest wynosiła 5,8 % ludności. Z tej liczby urodzonych w Kanadzie było 73 % a obywatelstwo kanadyjskie posiadało 87 %. Grupa włoska liczyła 450.351 to jest 2,5 %. Z tego urodzonych w Kanadzie — 41 % a obywatelstwo kanadyjskie posiadało 61 %; grupa holenderska: 429.679 — 2,4 %, z czego urodzonych w Kanadzie 64 %, obywatelstwo kanadyjskie posiadało 81 %; grupa polska — 323.517 — 1,8 %, z czego urodzonych w Kanadzie 60 %, posiadających obywatelstwo kanadyjskie 90 %.

Z zestawienia tego wynika, że z wszystkich grup etnicznych — poza anglosaską i francuską — ukraińska posiada najwyższy odsetek rdzennych Kanadyjczyków. To trzeba stale mieć na uwadze, gdyż uchroni się w ten sposób od pochopnych i fałszywych wniosków.

Najliczniejsze grupy ukraińskie znajdują się w prowincjach: Ontario — 127.911 (2,0 % ludności), Manitoba — 105.372 (11,4 % ludności), Saskatchewan — 78.851 (8,5 % ludności i Alberta — 105.923 (8,0 % ludności).

Aby skończyć z liczbami zacytujemy ostatnie dane odnośnie ilości ukraińskich Kanadyjczyków w kilku miastach: Winnipeg,

— stolica Manitoby — 53.918 to jest 11,4 % mieszkańców; Edmonton — 38.164 to jest 11 %. Ale w Toronto 46.650 oznacza nieco ponad 4 %.

Gdyby grupa ukraińska zamieszkiwała zwarte okręgi wówczas niewątpliwie odgrywałaby większą rolę w życiu publicznym.

Dr Yuzyk*, były profesor nadzwyczajny historii i przedmiotów slawistycznych Uniwersytetu Manitoba w Winnipeg postanowił napisać popularną pracę, w językach angielskim i francuskim, która trafiłaby do rąk przeciętnych czytelników informując ich o znaczeniu i roli ukraińskich Kanadyjczyków. Autor we wstępie zaznacza, że chciał wykorzystać stulecie Kanady kiedy to przybędzie wielu turystów, dla spopularyzowania grupy ukraińskiej.

Książka ukazuje się również z nieomal zbieżnej okazji a mianowicie 75-lecia osadnictwa ukraińskiego, które przypadło w ubiegłym roku.

Nie jest to ani pierwsza ani najbardziej wyczerpująca praca o grupie ukraińskiej. Dr Yuzyk jest autorem książki „The Ukrainians in Manitoba”, która ukazała się w 1953 r. W 1964 r. ukazało się podstawowe w tej mierze dzieło „Early Ukrainian Settlements in Canada” dra Vladimira J. Kaye’a. To są jednakże prace dla zainteresowanych tym zagadnieniem a nie dla szerokiej publiczności. Podejmując się napisania popularnej pracy i publikując ją ukraińscy Kanadyjczycy dali dowód wielkiego realizmu. Spełni ona na pewno zadanie, które przyświecało Autorowi i wydawcom.

Dr Yuzyk został w 1963 r. mianowany senatorem przez ówczesnego premiera Johna Diefenbakera. W Kanadzie senatorowie pochodzą z nominacji i uprawnienie to należy do szefa rządu. Stąd w Izbie tej zasiadają wysłużeni i zasłużeni członkowie partii. Senatorowie mianowani są dożywotnio. Gdy rządzą liberałowie wypełniają wolne miejsca swoimi, a gdy konserwatyści — swoimi. Dr Yuzyk mianowany został przez konserwatywnego premiera z którym blisko współpracował. Jest zresztą charakterystyczne, że wyborcy pochodzenia ukraińskiego popierają głównie kandydatów konserwatywnych i to zarówno w wyborach federalnych jak i prowincjonalnych. Dr Yuzyk należy do tych polityków, którzy propagują koncepcję „trzeciej siły” w Kanadzie. Zarówno w przemówieniach w Senacie jak i w publicznych wystąpieniach oraz publikacjach prasowych sen. Yuzyk wskazuje na liczebność grup etnicznych innych aniżeli anglosaska i francuska. Rola tej grupy będzie wzrastać. Z niektórych wypowiedzi wynikałoby, iż oczekuje jakiegos współdziałania innych grup, co zapewniłoby im naturalnie znacznie większe wpływy i pozycję w kraju. Nie jest oczywiście pozbawiony wymowy fakt, że właśnie wybitniejsi działacze grupy ukraińskiej są najżarliwszymi rzecznikami — orędownikami „trzeciej siły”. Próba rozebrania tej koncepcji a nawet poważnego ustawienia jej, wymaga

* Paul Yuzyk: *Ukrainian Canadians: Their Place and Role in Canadian Life*. Toronto 1967, pp. 104.

oczywiście poparcia innych grup etnicznych, możliwie jak największej ilości. A z tym już poważny kłopot.

Omawiając tę sprawę przy innej okazji wskazałem, że jakkolwiek koncepcja „trzeciej siły” jest dla wielu pociągająca, to jednak, w obecnym stanie rzeczy, brak jest szerokiej podstawy porozumienia i współdziałania między grupami etnicznymi. Zbyt wiele je różni, zbyt mało je łączy.

Akcja czynników pseudo-politycznych — to jest szczytkowych grup emigracyjnych — o ile była podejmowana, szła w innym kierunku a w konsekwencji doprowadzała raczej do zaostrzenia wzajemnych stosunków aniżeli do ich polepszenia. Wygrywano po prostu wzajemne wrogości, uprzedzenia i pretensje. Ci prowadzący nie byli zainteresowani problematyką kanadyjską a więc i sprawami praktycznego ułożenia sobie życia przez imigrantów ukraińskich. Celem ich było — jest i nadal — wykorzystanie Kanadyjczyków pochodzenia ukraińskiego, dla swoich celów politycznych. W miarę upływu czasu musiało to doprowadzić do pewnego rozejścia się dróg. Ale to problem oddzielny.

Dr Yuzyk skrzętnie rejestruje każde osiągnięcie ukraińskie w Kanadzie, nie pomija chyba żadnych osób pochodzenia ukraińskiego piastujących jakiekolwiek stanowiska w życiu publicznym, obojętnie czy w samorządach, administracji prowincjonalnej czy federalnej, w nauce czy w sztuce.

Zarejestrował wszystkich autorów ukraińskich znajdujących się w Kanadzie, piszących po ukraińsku i angielsku, uwzględniających tematykę ukraińską i kanadyjską. Dopiero pod koniec książki jako „appendix D” znajdujemy 6-stronicowy rozdział pt. „Fakty o Ukrainie i Ukraińcach”. Zawarte tam krótkie notatki cechuje „obiektywna propaganda”, tak określiłbym dane, które w zasadzie nie są fałszywe, ale przedstawione w ogromnym skrócie muszą dać fałszywy obraz.

Reasumując wypada stwierdzić, że popularna praca sen. Yuzyka spełni swój cel a mianowicie uświadomi wszystkich o wkładzie Ukraińców w rozwój Kanady i o ich miejscu w życiu tego kraju.

Do sprawy zaś „trzeciej siły” powrócimy w niedługim czasie.

B. HEYDENKORN

Nadesłane nowości wydawnicze

ZABŁOCKI (Janusz). *Kościół i świat współczesny*. Wprowadzenie do soborowej konstytucji pastoralnej „Gaudium et spes”. Str. 527. Tom 21 Biblioteki „Więzi” (Wyd. Biblioteka „Więzi”, Warszawa, 1968, cena zł. 70,00).

PIETRASZKO (Jan Ks.). *Spotkania*. Pamięci Księdza Kardynała Adama Stefana Sapiehy w stulecie urodzin. Str. 200 i 4 nlb. (Wyd. „Znak”, Kraków, 1967, cena zł. 40,00).

WILKOSZEWSKI (Walenty). *Rys historyczno-chronologiczny Towarzystwa Wolnego Mularstwa w Polsce*. Str. 84 i XIV + 10 nlb. Indeks nazwisk i Lista subskrybentów. Wydał z rękopisu Tadeusz Święciecki. (Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1968).

HLASKO (Marek). *Les dos tourné. Récits*. Przekład z polskiego Joanny Ritt i Jacqueline Trabuc. Str. 254 i 2 nlb. (Wyd. Editions Seuil, Paris, 1968).

Les Communications de masse dans les pays Socialistes. I-ère Partie. Powielacz. Cours de Georges

Mond, attaché de recherche au C.N.R.S. 1967/1968. (Institut Français de Presse, Université de Paris, Paris, 1968).

RADWANSKI (Pierre A.). *Man, the Known*. Str. 206. (Universum Press Co., New York, 1966).

SYMMONS - SYMONOLEWICZ (Konstantin). *Modern Nationalism Towards a Consensus in Theory*. Przedmowa Theodore Abel. Str. 66. Bibliografia i Indeks nazwisk. (Wyd. The Polish Institute of Arts and Sciences in America, Inc., New York, 1968).

TABORSKI (Bolesław). *Polish Plays in English Translations*. A Bibliography. Str. 80. Indeks. (Wyd. The Polish Institute of Arts and Sciences in America, New York, 1968, cena dol. 2,50).

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 148 — TOMASZ STALIŃSKI

WIDZIANE Z GÓRY

Pierwsza powieść o Polsce Ludowej, której bohaterami są członkowie Biura Politycznego KC PZPR

Str. 320

Cena egz. 18,50 F (dol. 4,00)



TOM 150 — SERIA „ARCHIWUM REWOLUCJI”
SWIETLANA ALLILUJEWA

DWADZIEŚCIA LISTÓW DO PRZYJACIELA

Przełożył z rosyjskiego L. Perzanowski

PRZEDMOWA GUSTAWA HERLING-GRUDZIŃSKIEGO

Str. 256

Cena 15 F (dol. 3,25)

DATA	POLITYKA
16-2-68	Gomułka i Kliszko spotykają się po raz pierwszy z nowym kierownictwem czechosłowackiej partii komunistycznej, w Ostrawie.
17-2-68	Szef Sztabu sowieckich sił zbrojnych, marszałek Zacharow, oświadczył, że żadna siła nie może już powstrzymać floty sowieckiej od wpłynięcia na wszystkie morza i oceany świata. Zacharow uzasadniał obecność floty sowieckiej na morzu Śródziemnym.
18-2-68	Oddziały Wietkongu podejmują nową ofensywę na 47 miast i obozów wojskowych.
19-2-68	Rumuńska delegacja partyjna z pierwszym sekretarzem Ceausescu na czele przybyła do Pragi na rozmowy z nowym kierownictwem partii.
20-2-68	<i>Komsomołskaja Prawda</i> potępia wypadki nadużywania władzy przez policję i osoby prywatne, współpracujące ochotniczo z policją.
21-2-68	200 więźniów politycznych w sowieckich obozach pracy koło miejscowości Potma, rozpoczęło strajk głodowy domagając się polepszenia warunków bytu. Wśród strajkujących ma się znajdować Juli Daniel.
22-2-68	Sekretarz Generalny ONZ, U Thant, rozpoczął rozmowy z prezydentem Johnsonem na temat Wietnamu. U Thant twierdzi, że Północny Wietnam gotów jest podjąć negocjacje po upływie 3 tygodni od czasu zaprzestania bombardowań Północnego Wietnamu przez lotnictwo amerykańskie.
23-2-68	Nowy Szef Zarządu Politycznego armii czechosłowackiej, gen. E. Pepich, ujawnił na łamach tygodnika <i>Obrana Lidu</i> , że w czasie przeprowadzania zmian w kierownictwie partii „niektórzy wojskowi” próbowali interweniować w wewnętrzne sprawy partyjne.

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
Filozof, prof. Roman Ingarden, otrzymał nagrodę uniwersytetu wiedeńskiego im. Herdera.	W Londynie, w sali Westminster Cathedral Hall odbyło się uroczyste zebranie z okazji Dnia Niepodległości Ukrainy.
Zmarł w New Yorku wielki poeta ukraiński, Jewhen Małaniuk.	Polska zajęła po raz pierwszy 9 miejsce w światowej tabeli producentów stali.
Trzej intelektualiści rosyjscy: P. Jakir, J. Kim i I. Babaj ogłosili w Moskwie petycję przestrzegającą przed powrotem stalinizmu. Petycja krążąca z rąk do rąk nawołuje inteligencję do protestu.	Wielka Brytania wprowadziła na stałe czas europejski. Przewidziane jest na rok 1971 wprowadzenie systemu dziesiętnego.
34-letni Janusz Szpotański skazany został na 3 lata więzienia za rozprzestrzenianie w druku „informacji szkodzących interesom państwa”.	B. oficer sowiecki gen. J. Bordziłowski, zajmujący ostatnio stanowisko Głównego Inspektora Wyszczolenia, odszedł na emeryturę. Jego następcą mianowany został T. Tuczapski. Ustąpił również ze stanowiska gen. dyw. prof. Owczynnukow.
Prasa angielska zamieszcza pochlebne recenzje o trzech filmach z Europy Wschodniej, wyświetlanych w kinach londyńskich: „Moja droga do domu” — film węgierski o Wietnamie, „Szczęśliwi Cyganie” film jugosłowiański i polski film Skolimowskiego „Walkover”.	Gen. W. Prehlik, znany przeciwnik Novotnego, mianowany został szefem departamentu administracyjnego KC partii, któremu podlega służba bezpieczeństwa. Zwolniono z tego stanowiska M. Mamula, który był zaufanym Novotnego.
Od 1 września w Warszawie i w Krakowie obowiązywać będzie szkolnictwo powszechne do 18 roku życia.	Polacy znaleźli się na pierwszym miejscu wśród turystów zagranicznych odwiedzających Sowiety. 355 tys. Polaków stanowiło 20 % wszystkich turystów w roku ubiegłym.
W odbudowanej ujeżdżalni w Wilanowie powstaje pierwsze na świecie muzeum plakatu. 31 maja otwarte tam będzie międzynarodowe Biennale Plakatu.	Telewizja brytyjska rozpoczęła nadawanie 5 półgodzinnnych programów poświęconych Polsce współczesnej.

DATA

POLITYKA

- 24-2-68 *Kulturni Noviny* zamieściły artykuł prof. M. Lakatosa domagający się utworzenia niezależnych partii politycznych, jako jedynej gwarancji funkcjonowania systemu demokratycznego.
- 25-2-68 Amerykańska piechota morska zdobywa ostatnie komunistyczne punkty oporu w dawnej stolicy Wietnamu Hue. W bitwie o Hue zginęło 8 000 osób.
- 26-2-68 W Budapeszcie rozpoczynają się obrady konferencji konsultacyjnej partii komunistycznych, zwołanej z inicjatywy Moskwy. PZPR reprezentują: Kliszko, Starewicz, Czesak i Werblan.
- 27-2-68 Generał czechosłowacki Jan Sejna, zaufany prez. Novotnego i inicjator nieudanej próby interwencji zbrojnej przeciw nowemu kierownictwu partii, zbiegł na Zachód i zwrócił się o azyl polityczny do Amerykanów.
- 28-2-68 Minister spraw zagranicznych NRF, Brandt, proponuje utworzenie strefy wolno-cłowej na towary przemysłowe, która obejmowałaby Wspólny Rynek i państwa ubiegające się o członkostwo EWG.
- 29-2-68 Po 5 dniach obrad delegacja rumuńska opuściła demonstracyjnie konferencję partii komunistycznych odbywającą się w Budapeszcie.
- 1-3-68 W przemówieniu telewizyjnym prezydent NRF Lübke zaprzeczył oskarżeniom wschodnioniemieckim, jakoby w czasie wojny zajmował się budową obozów koncentracyjnych.
- 2-3-68 Włoska partia komunistyczna sprzeciwiła się na konferencji partii komunistycznych w Budapeszcie zwołaniu światowej konferencji komunistycznej, której celem byłoby — zdaniem Moskwy — przywrócenie jedności obozu komunistycznego.
- 3-3-68 Trzy mocarstwa zachodnie odrzuciły zarzuty sowieckie jakoby Niemcy Zachodnie używały Berlina Zachodniego do zaostrzania napięcia w Europie.

KULTURA I NAUKA

Prof. T. Kotarbiński otrzymał doktorat honorowy uniwersytetu w Oksfordzie.

Czasopismo amerykańskie *Micromegas* wydało numer specjalny poświęcony w całości poezji polskiej.

W londyńskiej Grosvenor Gallery otwarto wystawę obrazów Feliksa Topolskiego. Prasa zamieszcza pochlebne recenzje.

W ubiegłym roku w Czechosłowacji ukazało się 57 przekładów polskich książek, większość z dziedziny literatury pięknej.

Kilkunastu intelektualistów sowieckich wystosowało list do prezydium konferencji partii komunistycznych w Budapeszcie, protestujący przeciwko ostatnim procesom politycznym w Sowietach. List podpisali m.in. P. Litwinow i P. Grigorenko.

Na zebraniu nadzwyczajnym warszawskiego Oddziału Związku Pisarzy uchwalono większością głosów rezolucję potępiającą zdjęcie ze sceny *Dziadów* i domagającą się złagodzenia cenzury.

Władze w Polsce zakazały wystawiania Nocy Listopadowej Wyspiańskiego oraz sztuk Witkiewicza i Bałuckiego.

W Pradze ukazało się nowe pismo literackie *Literarni Listy*, które jest organem Związku Pisarzy. Do 7 rano sprzedano cały nakład w ilości 120 tys. egzemplarzy.

RÓŻNE

Dwaj obywatele NRF, A. Kipper i E. Scharbatke skazani zostali w Polsce na 9 i 6 i pół lat więzienia za „działalność rewizjonistyczną”.

Według doniesień z Warszawy z PZPR wystąpili ostatnio: prof. W. Brus, Prof. Z. Bauman, prof. Helena Eilstein i dr A. Pawełczyńska.

Parlament brytyjski uchwalił nową ustawę ograniczającą przyjazd do Wielkiej Brytanii emigrantów azjatyckich z Kenii, mających paszporty brytyjskie. Przeciw tej ustawie wystąpił m.in. Arcybiskup Canterbury dr Ramsey.

Na uniwersytecie warszawskim zebrano 3154 podpisy pod apelem odwołania zakazu wystawiania *Dziadów*.

Studenci włoscy domagający się większego głosu w sprawach administracji uniwersytetów starli się w Rzymie z policją, która usuwała studentów siłą z budynków uniwersyteckich.

DATA	POLITYKA
4-3-68	W Sofii rozpoczęły się obrady politycznego komitetu doradczego Organizacji Układu Warszawskiego. Rumuni wystąpili z zarzutem dominacji Rosjan w Układzie Warszawskim.
5-3-68	Znany niemiecki instytut badania opinii publicznej — Allensbach Institute — ogłosił, że 56 % Niemców w NRF jest zdania, że tereny na wschód od Odry i Nysy nigdy nie powrócą do Niemiec. W 1953 r. tylko 11 % wypowiedziało taką opinię.
6-3-68	Członek Prezydium KC partii w Czechosłowacji, odpowiedzialny za sprawy ideologiczne, Jiri Hendrych, zwolniony został ze stanowiska. Jego miejsce zajął J. Spacek. Hendrych był zwolennikiem Novotnego.
7-3-68	Władze w Rodezji podjęły decyzję przeprowadzenia egzekucji 2 skazanych na śmierć Murzynów, wbrew ułaskawieniu ich przez Królową. Uważane to jest za ostateczne zerwanie Rodezji z Wielką Brytanią.
8-3-68	Gwałtowne demonstracje studenckie w Warszawie. Studenci wnoszą okrzyki: „Nie ma chleba bez wolności” i „Nie ma nauki bez wolności”.
9-3-68	Czechosłowacki dziennik <i>Prace</i> zamieścił list oskarżający szefa wydziału administracyjnego partii Mamula o koordynowanie akcji policji i wojska celem obalenia nowego kierownictwa partii. Mamula zwolniony został ze stanowiska.
10-3-68	Prasa amerykańska podaje, że naczelny dowódca amerykański w Wietnamie, gen. Westmoreland zażądał dodatkowych posiłków w ilości ponad 200 tys. żołnierzy.
11-3-68	Na ulicach Warszawy toczą się nadal starcia studentów z policją. Około 50 studentów aresztowano i skazano na 4 do 6 miesięcy więzienia. Studenci wnosili okrzyki: „Niech żyje Czechosłowacja”.

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
Krzysztof Penderecki komponuje muzykę do filmu A. Resnaisa „Kocham Cię, Kocham Cię”. Resnais był twórcą filmu „Hiroshima moja miłość”.	Grupa zachodnioniemieckich intelektualistów katolickich „Koło Bensberg” ogłosiła memorandum wypowiadające się za uznaniem granicy na Odrze i Nysie.
W londyńskiej Royal College of Art odbywa się wystawa 6 malarzy polskich oraz wystawa polskiego plakatu. Krytycy zamieszczają przychylne recenzje szczególnie o malarstwie P. Potworowskiego, natomiast krytykują polskie plakaty, które „były interesujące 10 lat temu”.	Dziennik czechosłowacki <i>Prace</i> przypomina los osób zrehabilitowanych, których wypuszczono z więzień, ale nie dano pracy. Mogliby oni wiele dać krajowi.
W Rzymie odbyła się premiera sztuki Mrożka pt. <i>Tango</i> . Prasa zamieszcza wiele przychylnych recenzji.	
W Londynie ukazała się bibliografia opisowa dramaturgii polskiej w przekładach na język angielski, w opracowaniu B. Taborskiego. Bibliografia wydana przez Polski Instytut Sztuk i Nauk w Nowym Jorku grupuje 240 przekładów 79 autorów.	Na łamach <i>Słowa Powszechnego</i> ukazał się artykuł-donos na studentów i „syjonistów” jako sprawców i inspiratorów ostatnich zajść. Był to początek kampanii zniewolonej prasy.

DATA

POLITYKA

12-3-68

Studenci Wyższej Szkoły Planowania i Statystyki w Warszawie uchwalili 11 punktową rezolucję domagającą się zniesienia cenzury, sprostowania kłamstw o demonstracjach studenckich i napiętnowania brutalności milicji.

W demonstracjach ulicznych młodzież wdarła się do budynku ministerstwa Kultury.

13-3-68

Demonstracje i starcia studentów z milicją odbywają się w Krakowie, Poznaniu i Lublinie oraz w wielu innych ośrodkach akademickich.

Trzej wyżsi urzędnicy: wice-minister Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego J. Grudziński, dyr. gen. Min. Skarbu J. Górecki i pełnomocnik rządu do spraw lokalizacji przemysłu F. Topolski zostali zwolnieni ze stanowisk, ponieważ ich synowie brali udział w demonstracjach.

14-3-68

Propaganda komunistyczna twierdzi, że demonstracje studenckie w Polsce zorganizowali syjoniści i imperialiści zachodnoniemieccy.

Premier Słowacji M. Chudik, zwolennik Novotnego zwolniony został ze stanowiska. Wice-minister Obrony Władimir Janko, jeden z organizatorów próby interwencji zbrojnej na rzecz Novotnego, popełnił samobójstwo.

15-3-68

W Pradze ustępują ze stanowisk dalsi zwolennicy Novotnego: minister spraw wewnętrznych i Naczelnny Prokurator.

Organizacja partyjna Związku Pisarzy Czeskich wystosowała list do pisarzy polskich wyrażając głębokie zaniepokojenie z powodu wytwarzania atmosfery anty-semickiej i metod stosowanych w rozgromieniu demonstracji studenckich.

W Warszawie i w innych miastach uniwersyteckich studenci podejmują decyzje bojkotu wykładów. Delegacja Związku Dziennikarzy zapewnia Gomułkę o lojalności i potępia „wystąpienia bankrutów politycznych i podżegaczy”.

Wiosenne manewry wojskowe Paktu Warszawskiego, które mają się odbyć na początku kwietnia, „przypadkowo” mają mieć miejsce w Czechosłowacji. W manewrach wezmą udział wojska sowieckie i wschodnoniemieckie. Wywołuje to duże podniecenie w Pradze.

KULTURA I NAUKA

Londyński *The Guardian* zamieszcza obszernie omówienie „Dziadów” w inscenizacji Dejmk, które zdjęte zostały ze sceny Teatru Narodowego w Warszawie.

Kurier Polski oskarżył 7 pisarzy o podżeganie studentów do demonstracji. Są nimi: P. Jasienica, A. Kijowski, A. Słonimski, S. Kisielewski, J. Grzędziński, L. Kołakowski i J. Andrzejewski.

Autorem tego donosu jest Ryszard Gontarz, który oskarża Jasienicę o zbrodnie pospolite. Inny donos w formie artykułu Kazimierza Kłosa w *Życiu Warszawy* oskarża St. Kisielewskiego.

VII Zjazd Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich wykluczył ze Stow. Januarego Grzędzińskiego za „sprzeczne z etyką dziennikarską publikowanie artykułów w dywersyjnym miesięczniku emigracyjnym — *paryskiej Kulturze*”.

99 matematyków sowieckich, w tym 7 członków Akademii Nauk, złożyło protest przeciw umieszczeniu siłą w szpitalu dla umysłowo chorych, matematyka A. Jesienina-Wołpina.

RÓŻNE

Stany Zjednoczone sprzedają złoto wartości prawie pół miliarda dol. by utrzymać zagwarantowaną cenę złota.

ZBOWID warszawski wydał ulotkę do studentów, w której twierdzi, że ostatnie zajęcia zostały zainspirowane przez USA, NRF i syjonistów. Wysłał ponadto list do Gomułki, domagający się sankcji. Nie wiadomo czy wyżsi oficerowie AK i P.S.Zbr. na Zachodzie — należący do ZBOWID'u brali w tym również udział.

Sen. E. McCarthy zdobywa w prawyborach w New Hampshire 42 % głosów, co skłania sen. Kennedy do „rozpatrzenia możliwości zgłoszenia własnej kandydatury przeciw prez. Johnsonowi”.

Zmarł w wieku lat 67, red. Józef Tomczek, wieloletni naczelny redaktor *Ostatnich Wiadomości* w Mannheimie.

Projekt nowej konstytucji wsch. niem. przewiduje zakaz emigracji w przeciwnieństwie do konstytucji ostatnio obowiązującej która teoretycznie emigrację dopuszczała.

W Leningradzie rozpoczął się proces przeciw 7 czy 10 osobom. Oskarżonymi są studenci i wykładowcy Uniw. w Leningradzie. Proces jest tajny, dziennikarzy nie dopuszczono.

Z Warszawy wydano korespondenta *Times'a*, Ryszarda Davy, pod zarzutem tendencyjnego informowania o zaburzeniach studenckich.

Humor krajowy

Kiedy Grzegorz Lasota w programie telewizyjnym „Pegaz” udzielił głosu Witoldowi Fillerowi, kierownikowi działu rozrywki w Polskiej Telewizji, który dał komentarz w linii partyjnej do „Dziadów” w reżyserii Dejmka — nazajutrz powstały w Warszawie dwa dowcipy:

- 1) Lasota sprzedawał kulturę polską za 30 fillerów.
- 2) A kto to jest Filler? — Eichmann kultury polskiej.

— Czy komunizm może zlikwidować alkoholizm?
— Czemu nie, jeśli socjalizm zlikwidował zagrychę...

— Dlaczego Sejm jest okrągły?
— A czy kto widział kiedy kwadratowy cyrk...

— Jaka jest najdłuższa ulica w Warszawie?
— Rakowiecka, bo ciągnie się od Niepodległości do Moskwy...
(Należy wyjaśnić, że w Warszawie na Rakowieckiej znajduje się więzienie i że mowa tu o Alei Niepodległości i kinie „Moskwa”).

Nowy proszek do prania: ORMO.

Nowy zespół big-beat'owy: MOCZAR-PĄŁKA.

— Czy milicjant może mieć stosunek z prostytutką?
— Naturalnie, bo skąd by się brali ORMOWCY.

Moczar pisze operetkę BARWY PĄŁKI, jest to daszy ciąg jego książki „Barwy walki”.

— Czy jest podobieństwo między Kosyginem i Mojżeszem?
— Tak, Kosygin też wyprowadził Żydów.

Do kawiarni wpada zadyszany facet i krzyczy:
— Czy wiecie, że premiera Australii zjadł rekiny!
— A u nas tylko dorsze, dorsze, dorsze...

Do sklepu z zagranicznymi towarami wchodzi facet i pyta:

— Towarzyszu, czy są Silver zyletki?

— Nie ma.

Facet wychodzi.

— Dlaczego mówisz, że nie ma — dziwi się drugi sprzedawca — przecież jest cała kupa.

— Jak on taki towarzysz, to niech się goli sierpem...

Największy gwałt w Europie — Wydupezenie Nowotnego.

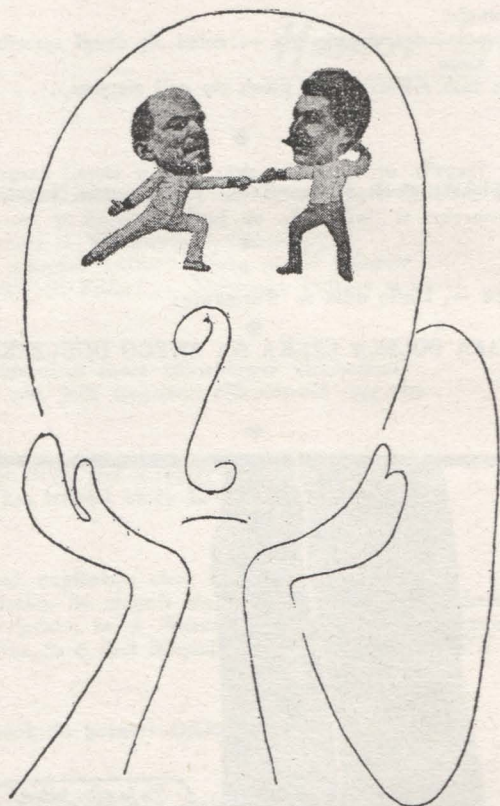
15 marca 1968 — Hasło dnia w Warszawie:

CAŁA POLSKA CZEKA NA SWEGO DUBCZEKA



Humor czeski.

Humor czeski:



Kresba Bohumila Štěpánka

JESZCZE O OCHABIE

Rozeszła się po Warszawie wieść, że ulica Kubusia Puchatka ma być przemianowana na *Głuptaska Ochabka*.



Podobno Arabowie z wdzięczności za pomoc stawiają w Warszawie piramidę Ochapsa...



Wykopki w Warszawie

- Co się dzieje? — krzyczy przechodzień, który o mało nie złamał nogi.
- Szukają świadectwa maturalnego Ochaba.

Zebrala Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Luty, New York City.

Szanowny Panie Redaktorze,

Ostro napastliwy ton artykułu p. Herling-Grudzińskiego o Erenburgu (*Kultura* Nr 11/341, 1967) wywołał we mnie potrzebę protestu. Chcę ten protest uzasadnić.

P. Herling opowiada, że na zebraniu w Neapolu w r. 1959 Erenburg pozwolił sobie na twierdzenie, że „Doktor Żiwago” jest złą powieścią. Nie sądzę, ażeby ta ocena, aczkolwiek sporna, mogła być uważana za zbrodnię. Istotnie, w czasie rozruchanej hysterii antysowieckiej, wywołanej na Zachodzie przez tę powieść (dodam — wbrew intencjom jej autora), niepopulärne były próby stosowania do „Doktora Żiwago” zwykłego miernika literackiego. Nie wstydzę się stwierdzić, że i wtedy uważałam utwór Pasternaka, zawierający mnóstwo pięknych ustępów, za źle skomponowany.

Chcę opowiedzieć o innym zebraniu, na którym Erenburg przemawiał o Pasternaku. Odbyło się ono w zimie 1923-24 (dokładnej daty nie pamiętam). W drodze z Moskwy do Paryża Erenburg zatrzymał się w Warszawie i został zaproszony na pogawędkę przez Związek pisarzy żydowskich.

Zaznaczył na wstępie, że na ogół unika wygłaszania odczytów, lecz gotów jest odpowiadać na pytania, dotyczące literatury. Jedno z pierwszych pytań dotyczyło twórczości Demjana Biednego, autora prymitywnych rymowanych „agitek”. Erenburg przez chwilę milczał, a potem powiedział: „Zastrzegłem się, że będę mówił tylko o literaturze”.

Bolały mnie ręce od okłasków, gdy nabazgrałam na skrawku papieru imię Pasternaka. Erenburg się rozchmurzył i powiedział, że chce zacząć od recytowania kilku wierszy. Recytował w uniesieniu jeden wiersz po drugim. Gdy na sali o niskim suficie zaszumiały deszczem, zapachniały wiatrem wspaniałe rytmy pasternakowskie, pomyślałam, że tak recytować wiersze potrafi tylko poeta.

P. Herling zbywa kilkoma — przeważnie złośliwymi — uwagami wieloletnią pracę literacką Erenburga, lecz rozwódzi się nad tym, jak autor „Jurenito” skakał „z Paryża do Moskwy i vice versa z dezynwolturą konika polnego”. Szczegółowo opisane są zygzyki ideologiczne Erenburga (nie wiem, kto ponosi za to większą odpowiedzialność — p. Herling, czy eseista angielski, na którego się powołuje), oraz usiłowania ukrycia prawdy o tragicznym losie intelektualistów żydowskich.

Erenburg bohaterem nie był i nigdy do roli bohatera nie pretendował, aczkolwiek nie unikał niebezpieczeństwa ani na frontach hiszpańskiej wojny domowej, ani pod Moskwą i Rżewem w czasie wojny z Hitlerem. W swoich wspomnieniach przyznaje się do tego, że bał się Stalina. P. Herling z tego szydzi, bo widocznie nie może wybaczyć Erenburgowi, że nie zginął w odpowiednim czasie. Chciałoby się przypomnieć czytelnikowi, że ocalali w dobie terroru — może cudem — Paustowski, Czukowski, Pasternak.

Ramy listu do redakcji są zbyt ciasne dla oceny pracy literackiej Erenburga. Przypomnę tylko, że rozpoczął on swoją karierę świetnym *Julio Jurenito*, a zakończył cyklem porywających wspomnień, których wartość literacka równa się historycznej. W ciągu wielu lat napisał szereg utworów o nierównej wartości. Miał bystre oko reportażysty i ostre wyczucie paradoksalności sytuacji historycznych, lecz dłuższe jego powieści są rozwlekłe i źle zbudowane. Doskonałe są natomiast krótkie szkice krytyczne, zwłaszcza przedmowy do książek ulubionych autorów.

Postać pisarza nabiera wyrazistości na tle życia umysłowego jego kraju. Otóż mówiąc o autorze sarkastycznego *Jurenito*, nie waham się użyć patetycznego wyrazu „posłannictwo”. Stało się tak, że Erenburg został w literaturze sowieckiej najbardziej konsekwentnym i entuzjastycznym kontynuatorem tego prądu, który w sporze z konserwatyzmem „sławofilów” reprezentowali „zapadniki” (zachodniowcy), idąc w ślady dekabrystów i Herzena. Spór ten nie jest jeszcze zakończony: wystarczy wskazać na epigona sławofilów, izolacjonistę Szołochowa i na młodych pisarzy, szukających kontaktu z Zachodem. Erenburg, który znał i kochał Francję, jej literaturę i sztukę, był powołany do tego, ażeby zostać *maitre*-em sowieckich „zapadników”.

Sprawiedliwość wymaga, aby ocenę pracy pisarza budowano nie na tym o czym on milczał, a na tym o czym mówił. Szkic p. Herlinga jest oczywiście zaprzeczeniem tej zasady.

Zofia DUBNOWA-ERLICHOWA

Różnimy się na pewno w ocenie Erenburga. Nie widzę możliwości usunięcia czy choćby tylko złagodzenia tych różnic, skoro pani Dubnowa-Erlichowa nie zadała sobie trudu by rozważyć dokumentację mojego artykułu; i skoro ze swej strony nie przytacza żadnych dowodów, które mogłyby mnie przekonać o „posłannictwie mistrza sowieckich zapadników”. Kilka punktów zastręga jednak na wyjaśnienie.

1. Chętnie wierzę, że w roku 1923 czy 1924 Erenburg recytował z przejęciem w Warszawie wiersze Pasternaka. Także w roku 1959 w Neapolu mówił z podziwem o poezji Pasternaka. Ale rzecz w tym że w roku 1959 stało się automatycznie po stronie organizatorów nagonki na Pasternaka, mówiąc z podziwem o jego poezji a z lekceważeniem o *Doktorze Żiwago*.

2. Nie chodzi o wybaczenie czy nie wybaczenie Erenburgowi tego, że „nie zginął w odpowiednim czasie”. Chodzi o stwierdzenie faktu, że ocalał nie w ten sposób w jaki ocalali Paustowski, Czukowski i Pasternak, czyli z godnością ludzką i pisarską.

3. Zdaniem autorki listu „sprawiedliwość wymaga, aby ocenę pracy pisarza budowano nie na tym o czym on milczał, a na tym o czym mówił”. Przeczytała ona pobieżnie mój szkic. Starałem się w nim właśnie wykazać, że w okresie „kultu jednostki” Erenburg najczęściej milczał kiedy powinien był mówić, a mówił kiedy powinien był milczeć. I tak się jakoś składało, że w obu wariantach dogadzał tym bardzo „jednostce”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Sao Paulo, 20 lutego 1968 r.

Do Pana Redaktora „Kultury”.

Wyniki pracy tłumy speców, urzędowo pracujących w setkach pseudonaukowych i politycznie utylitarnych ośrodkach światowej sowietologii, chyba nie dadzą tyle do myślenia, co jedna krótka nota pana Herling-Grudzińskiego w 1/2 numerze „Kultury” (1968), zatytułowana: „Człekoźwierz czyli Sukinsynologia”.

Po przeczytaniu wyrazów, jak skalpel ostrych i subtelnych w dotyku do materii, o najintymniejszym co się dzieje obecnie w Rosji, uważny czytelnik doświadczy braku intelektualnego tchu pragnąc objąć świadomością i zrozumieć jakiego wymiaru i jakiego rodzaju pierwiastki dochodzą do zmagania się z rutyną paralitycznej powierzchni życia sowieckiego, co to wszystko znaczy i co z tego wszystkiego tam musi wynikać. Nie może, a właśnie musi, tak jak z myśli Nieczajewa, Dobrolubowa, Czernyszewskiego i tysięcy innych myślicieli i pisarzy musiała, ze starej Rosji wynikać nowa.

Tylko mały drażniący oko szczegół. Rosyjskie słowo „rokowej” tym bardziej w zastosowaniu do jaj nie może chyba brzmieć po polsku „brzemienny”, a tylko „fatalny”. Również trzy błędy, zapewne drukarskie, na str. 193, 2 od góry — „Powieści o Diable i Teatru”, 5 od góry „trafnej i słusznej wiemy” i 33 od góry „dobroczynca”.

Słowo „brzemienny” bliskie omawianej treści po rosyjsku byłoby „czrewatyj”. Jeśli moja znajomość językowa nie jest przekonywującą, proszę sprawdzić u pani Zoi Jurjewej w „Nowom Żurnale” w N.Y., ona zna polski głębiej ode mnie, a rosyjski lepiej od nas wszystkich.

Z poważaniem,

Karol WĘDZIAGOLSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 151 — SERIA „ARCHIWUM REWOLUCJI”
ALEKSANDER WEISSBERG-CYBULSKI

WIELKA CZYSTKA

Przekład Adama Ciołkosza

Ze wstępem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego

Najbardziej wstrząsający dokument z okresu stalinizmu.
Str. 576

Cena egz. 30 F (dol. 6,50)

TOM 152 — LEOPOLD TYRMAND

ŻYCIE TOWARZYSKIE I UCZUCIOWE

Str. 520

Powieść o potędze małości w socjalizmie

Cena egz. F 26 (dol. 5,50)

GRYF-KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.
Wyłączne przedstawicielstwo na Wielką Brytanię

KULTURY

i wydawnictw INSTYTUTU LITERACKIEGO (Paryż)

KSIĘGARNIA S.P.K.

- jest zaopatrzona w książki wszystkich wydawców emigracyjnych,
- prowadzi kolportaż wszystkich pism niepodległościowych wydawanych na emigracji,
- posiada na składzie podręczniki dla szkół nauczania przedmiotów ojczyznych,
- jest składem głównym (na prawach wyłączności):

GRYF PUBLICATIONS LTD.,
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO IM. GEN. SIKORSKIEGO,
POLSKIEGO TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO
W WIELKIEJ BRYTANII,
POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,

- jest bogato zaopatrzona w wydawnictwa krajowe.

Wszelkie zamówienia i wpłaty (czeki, P.O. i I.M.O. należy wystawiać na: P.C.A. PUBLICATIONS LTD.), prosimy kierować na adres:
20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.

U w a g a : Przy przesyłaniu należności prosimy o podawanie numeru rachunku.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”. Wacław IWANIUK,
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. Telefon: 481 93 63.

Korespondent „Kultury” w Stanach Zjednoczonych: Leopold TYRMAND,
State University of New York at Albany, Social Sciences,
1400 Washington Ave., Albany, N.Y. 12203.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 2^e Trimestre 1968

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.
Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5,00 F	28,00 F	54,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Pocobut, Wien 1, Schönlatern-gasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300.000 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Jerzy Pomian-Piatkowski, rua Guirara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F	50,00 F
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto 3, Ont, K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. Montreal 28, Quebec, tél. : HU 8-5224; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, téléphone : 233-7212.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ..	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopecki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305 ; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083; Polish Amer. Book Co 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; R. J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11	5,00 F	28,00 F	54,00 F
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta
2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 153 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYNASTY

Zawiera m.in. prace: Tadeusza Katelbacha: *Zet*; W. T. Drymmera: *Zagadnienie żydowskie w Polsce 1935-1939*; E. Puacza: *Powstanie Warszawskie w notatkach Adama Bienia*; T. Romera: *U kolebki pewnego sojuszu*; J. Weinsteina: *Scenariusz ministra Gafencu*.

Str. 240.

Cena egz. F. 15 (dol. 3,00)



TOM 154 — KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

CZARNY POLONEZ

P o e z j e

Str. 40.

Cena egz. F. 7 (dol. 1,75)



TOM 155 — CZESŁAW DOBEK

DRUGI RZUT

I INNE OPOWIADANIA

Str. 288.

Cena egz. F. 17 (dol. 4,00)



JANUSZ SZPOTAŃSKI

CISI I GĘGACZE

CZYLI

BAL U PREZYDENTA

O P E R A

ODBITKA Z « KULTURY » MARZEC 1968

Str. 32.

Cena egz. F. 3.

Cena 5,00 F